

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/494

1988



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

REDAKCJA : **OBSERWATORIUM**

J. PIŁSUDSKI : **LISTY MARSZAŁKA DO ŻONY**

Zb. HERBERT :

ELEGIA NA ODEJŚCIE PIÓRA ATRAMENTU LAMPY

D. MACA : **HEIM**

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	3
Józef Piłsudski:	<i>Listy Marszałka do Żony</i>	9
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Kamień filozoficzny</i>	21
Kazimierz Brandys:	<i>Kilka stron zakończenia</i>	28
Dariusz Maca:	<i>Heim</i>	33

WIERSE

Zbigniew Herbert:	<i>Elegia na odejście pióra atramentu lampy</i>	49
-------------------	---	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Krzysztof Gawlikowski:	<i>Burma na trudnej drodze do demokracji</i>	54
------------------------	--	----

K R A J

Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	65
Wincenty Kłysz:	<i>List do Redakcji</i>	76

WYWIADY „KULTURY”

T.J.:	<i>Rozmowa z Wojciechem Giełżyńskim</i>	79
Marek Ciesielczyk:	<i>Głosnost', pieriestrojka, uskorienje ..</i>	88

SPRAWY I TROSKI

Wiktor Grotowicz:	<i>Cudzoziemcy w RFN</i>	96
-------------------	--------------------------	----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Jezus Kazantzakisa i Scorsese</i>	102
-----------------------	--------------------------------------	-----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	110
Andrzej J. Chłedki:	<i>Kronika niemiecka</i>	116
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	121
(amp):	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	125

CI, CO ODESZLI

Leszek Kołakowski:	<i>Długi Janek</i>	127
Henryk Wroński:	<i>Stulecie urodzin prof. Edwarda Lipińskiego</i>	130

KRONIKA KULTURALNA

I. M. Bocheński:	<i>O nawrocie w filozofii</i>	135
------------------	-------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Mikołaj Ruszkowski:	<i>Nowości literatury krajowej</i>	139
—	<i>Nowe zasady w sprawie prohibitów ..</i>	149
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	150



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kronika kandyjska</i>	152
---	---	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	158
--------------	----------------------	-----



Z. Stankiewicz, St. Toper:	<i>Listy do Redakcji</i>	159
----------------------------	--------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Listopad - Novembre

1988

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Bronisław Baczko, Genewa — zamiast kwiatów na grób prof. Małgorzaty Ciswickiej-Sznajderman	F. 200,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 68-y — \$ 100,00	F. 620,00
Ignacy Fonberg, Jonesborough, TN (USA), po raz 8-y — \$ 20,00	F. 124,00
Jan i Kamila Halpernowie, Kolonia (RFN) — zamiast kwiatów na grób Witolda Kuli	F. 600,00
Dr Małgorzata Kloc, Houston, TX (USA) — dla uczczenia pamięci Dziadka, Waleriana Wdowickiego, żołnierza I Brygady 1 pułku Legionów, żołnierza 5 pułku Legionów w wojnie 1920 roku, żołnierza A.K. odznaczonego Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych dwukrotnie, zmarłego w Warszawie w sierpniu 1988 roku — \$ 50,00	F. 310,00
Ilse Maybach, Heilbronn (RFN), po raz 25-ty	F. 538,32
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Zona	F. 100,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 33-ci — \$ US 100,00	F. 620,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 12-ty	F. 500,00
W drugą bolesną rocznicę śmierci dr. Maksymiliana Pszenieckiego, zmarłego w Londynie 29. X. 1986 — Zona, dzieci i wnuki — £ 50,00	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKA”

E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Fundacja Kulturalna Polskich Kombatantów w Waszyngtonie — z uchwałą Rady Powierników — na Fundusz Pomocy Niezależnej Kulturze w Polsce (nadesłali: prezes — Zdzisław Dziekoński i sekretarz — Ludwik Zaraniski) — \$ 200,00 ..	F. 1.240,00
♦	
Uchodźcy polscy w Traiskirchen (RFN) — na pomoc dla strajkujących górników z kopalni Jastrzębie (nadesłał Andrzej Woźniak)	F. 600,00
♦	
Dr Wojciech M. Szezygielski, Markham, ON (Kanada) — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 30,00 ..	F. 150,00
♦	
I. Cyran, Arenzano (Włochy) — na NSZZ „Solidarność”	F. 118,00
♦	
Wiesław Badowski, Spartanburg, SC (USA) — zamiast kwiatów na groby pomordowanych przez sowieckich oprawców z PZPR, UB, NKWD itp. — w tym i mego Brata, 15-letniego Grzegorza, zabitego w grudniu 1970 roku, na groby harcerzy, żołnierzy i dzieci — naszych najlepszych synów Rzeczypospolitej Polskiej — na pomoc dla „Solidarności Walczącej” — \$ 112,00	F. 690,00
A. A. Świderski, Ottawa (Kanada), po raz 7-my — \$ c. 7,00 ..	F. 35,00
Maria Topperman, Thornhill, ON (Kanada) — dla uczczenia pamięci tragicznie zmarłego Andrzeja Semkowna, w rocznicę Jego śmierci	F. 259,20
Bezimiennie z Paryża	F. 100,00

Obserwatorium

Kto sprawuje władzę w PRL? Słuchając niektórych rzeczników opozycji — i niektórych komentatorów RWE — odnosi się wrażenie, że dobrzy Polacy, którzy chcieliby narodowi nieba przychylić, ale stale ktoś im rzuca kłody pod nogi i dlatego to im się jeszcze nie udało. Winą za to niepowodzenie obciąża się najczęściej biurokrację, co pozwala uznać przypadek polski za mieszczący się w normie światowej: biurokracja istnieje wszędzie i wszędzie sprzeciwia się inicjatywie i nowatorstwu. Rządziej wskazuje się na nomenklaturę; jeszcze rządziej — na aparat partyjny. Zawsze na Moskwę bądź też, bardziej dyplomatycznie, na ograniczenia geopolityczne. Słowem, gdyby nie te wszystkie wrogie siły, to znany z patriotyzmu generał Jaruzelski oraz otaczający go zwolennicy reform dawno już poczyniliby znaczne postępy w wyciąganiu Polski z kryzysu.

W środowiskach opozycyjnych i wśród emigracji politycznej pogląd ten nie bywa nigdy wyrażany aż tak dobitnie, choć niektórych dzielą odeń tylko niuanse. Jest on jednak, co o wiele ważniejsze, stale obecny w tle różnorakich oczekiwań i ocen, kształtuje postawy i wywiera wpływ nie tylko na wypowiedzi, które skądinąd nie pozostają bez echa, zwłaszcza za granicą, ale również na samą linię polityczną opozycji. Oto władze PZPR desygnowały na premiera Mieczysława Rakowskiego. I zaraz lament: Rakowski? Dlaczego Rakowski? Przecież miał być Baka! Jak gdyby Baka reprezentował całkiem inną orientację niż Rakowski, jak gdyby był większym od niego liberałem, gorliwszym oredownikiem reform, sprawniejszym administratorem. Jak gdyby obaj byli czymś innym niż tylko emanacjami kierownictwa partyjnego. Nie chodzi o to, by pomijać ważne przecież w życiu publicznym różnice temperamentu i osobowości czy zapoznawać

fakt, że Rakowski jest pełen zapiekłych urazów osobistych i że już rokował z „Solidarnością” — wiadomo, jak i z jakim skutkiem: generał Jaruzelski miał wszelkie podstawy, by udzielić mu za to pochwały przed frontem KC — podczas gdy Baka nie ma takiej przeszłości. Wszystko to należało, rzecz jasna, przypomnieć, ale bez popadania w płakiwy ton zawiedzionej nadziei, który pobrzmiewał w różnych komentarzach i który świadczy, że po spotkaniach Wałęsy z Kiszczakiem i zapowiedzi rozmów okrągłego stołu znaczne odłamy opozycji znowu — jak latem 1984 i jesienią 1986 roku — oczekiwały od władzy otwartej polityki, gestów pojednania i dobrej woli, jak gdyby Polską rządili ludzie czekający tylko sposobności po temu. Zresztą, gdy tylko Rakowski oświadczył, że zamierza stworzyć „rząd koalicyjny” o Bace natychmiast zapomniano i zaczęły się kolejne popisy myślenia zachciankowego oraz najbardziej fantastyczne spekulacje, tym razem — na temat przyszłej ekipy. A teraz, po ogłoszeniu jej składu, słyszy się nowy lament, gdyż rząd Rakowskiego okazał się w swym podstawowym, politycznym zrębie rządem Messnera, który był rządem Jaruzelskiego; zmiany personalne dotyczą tylko resortów gospodarczych, przy czym wcale nie wiadomo, czy będzie to miało jakiegokolwiek rzeczywiste skutki. Winnego bezruchu już znaleziono. Jest nim aparat partyjny.

Prawdą jest, że rząd Rakowskiego ma zadowolić aparat partyjny. Nie wynika z tego jednak, by słuszne było przeciwstawianie Rakowskiego aparatowi i dawanie przeto do zrozumienia, iż poszybowałby on o wiele dalej w przestwór wolności, gdyby aparatczycy nie podcinali mu skrzydeł. Nie jest przecież tak, że aparat partyjny cokolwiek by Rakowskiemu narzucał czy zmuszał go do ustępstw na rzecz twardej linii. Rakowski bowiem, tak jak Jaruzelski, Kiszczak i *tutti quanti* — to właśnie aparat partyjny. Są oni do cna przesyleni leninizmem, co znaczy, że ich najgłębszym przekonaniem, niezbywalnym składnikiem ich politycznej tożsamości jest nakaz niedopuszczenia w żadnym przypadku do rzeczywistego pluralizmu politycznego. Zapewne, jako leniści są na swój sposób realistami: rozumieją język siły, wyrażającej się w zdolności poprowadzenia za sobą szerokich rzesz i wiedzą, że gdy stosunek sił staje się dla nich niekorzystny, muszą poczynić ustępstwa, możliwie jak najmniejsze. Ale też język siły jest jedynym, który pozwala coś od nich uzyskać. Cała powojenna historia Polski dowodzi, że na każdy inny pozostają nieuleczalnie głusi.

By przekonać się o tym, wystarczy zresztą historia minionych sześciu tygodni. Lech Wałęsa podczas spotkań z Kiszczakiem ofiarował władzy w prezencie zakończenie strajków i zgodę na okrągły stół — zanim otrzymał od niej jakiegokolwiek wyraźne obietnice. Władza uznała jednostronne ustępstwo Wałęsy za do-

wód słabości i zachętę do wszczęcia ofensywy. Tak więc Wałęsa nie uzyskał od Kiszczaka niczego, w szczególności zaś — publicznego oświadczenia, że wobec strajkujących nie będą stosowane żadne represje, poparte odpowiednimi poleceniami dla instancji terenowych. Kiszczak podobno obiecał to podczas rozmów, ale żaden dokument oficjalny o tym nie świadczy, a uczestnicy strajków poddawani są prześladowaniom, zwłaszcza na Śląsku. W kołach opozycji bywa to uważane za dowód, że Kiszczak nie kontroluje swego aparatu: tak oto czyni się z niego liberała, który nie może zrobić niczego dobrego — tak jakby chciał — gdyż przeszkadzają mu w tym lokalni zamordyści. Nikt jakoś nie zauważa, że w braku odpowiednich rozporządzeń to, co Kiszczak powiedział Wałęsie, nie zobowiązuje do niczego jego podwładnych i że cała obecna polityka jest wierną realizacją uchwał przedostatniego plenum KC.

Jednostronne ustępstwa nie przyniosły opozycji żadnych korzyści. Co więcej, można już dziś powiedzieć, że ją osłabiły, gdyż dały władzy spokojny czas na rozprawienie się z uczestnikami strajków, co poderwało prestiż Wałęsy, wbiło klin między robotników, zwłaszcza górników, a inteligencję, która radzi w stolicy, natomiast wzmocniło autorytet kierownictwa partyjnego w oczach jego popleczników, pozwoliło przeprowadzić roszadę na stanowisku premiera, demonstrując przy okazji wpływ OPZZ, i zacząć kampanię prasową przeciw opozycji w najlepszym stylu minionych lat. W początkach września wydawało się, że rozmowy okrągłego stołu niechybnie dojdą do skutku; ten optymizm udzielił się nawet nam. Dziś nie ma żadnej pewności w tej materii. Władza ma poczucie, że zdołała przejąć inicjatywę i że jest w natarciu. Trudno jej się dziwić. Brak jednoznacznego oświadczenia, że opozycja podejmie rozmowy wyłącznie pod warunkiem zaprzestania prześladowań wobec strajkujących i cofnięcia wszystkich już orzeczonych sankcji oraz pod warunkiem, że przywódcy „Solidarności” będą brali udział w tych rozmowach właśnie jako przywódcy „Solidarności”, a nie jako osoby prywatne, pozwala mniemać, że opozycji zależy na doprowadzeniu do okrągłego stołu niemal za wszelką cenę. Toteż wymagania władzy wzrosły: obecnie usiłuje ona podyktować opozycji listę osób, z którymi jest skłonna rozmawiać. I tak oto kluczową sprawą staje się dyskusja o personaliach, na którą opozycja w ogóle nie powinna była przystać, której samo podjęcie winna była uznać za próbę zerwania rozmów, zanim się jeszcze zaczęły. Ale jeśli uważa się w głębi serca, że ma się przed sobą lojalnego i uczciwego partnera, który musi robić koncesje na rzecz swojej bazy, tzn. aparatu partyjnego, zamiast uznać, że pertraktuje się z przedstawicielami tegoż aparatu — to maszeruje się, jak przez minionych sześć tygodni, od mocno wątpliwego sukcesu do niemal pewnej porażki.

Zapewne, aparat nie jest monolitem. Nigdy nim zresztą nie był. Ale zasadniczy spór w jego obrębie toczy się nie między liberałami a zwolennikami dyktatury, gdyż zwolennikami dyktatury są w aparacie wszyscy. Spór ten przeciwstawia natomiast zwolenników modernizacji systemu rządzenia tym, którzy chcieliby utrzymać ten system bez zmian. Rakowski reprezentuje tych pierwszych. Uważa, że należy zastąpić dawną drętą mowę odświeżonym słownictwem, a techniki agitpropu technikami marketingu, byle towar pozostał ten sam. Tak więc rząd PZPR będzie nazwany „rządem koalicyjnym”. Rakowski uważa też — co jest bez wątpienia faktem pozytywnym — że należy pozwolić na względnie szeroki zakres wolności słowa publicznego — pod warunkiem jednak, by słowa pozostawały tylko słowami. W centralnej kwestii życia polskiego — kwestii pluralizmu związkowego i politycznego — należy postępować tak, by nie naruszyć podstaw dyktatury aparatu partyjnego, jego monopolu decyzji. A więc wielokrotnie powtarza się oświadczenia odrzucające zasadność i celowość legalizacji „Solidarności”; własne słowa wiążą tu Rakowskiego bardziej niż jego poprzednika na urzędzie i każą widzieć ciemno perspektywy okrągłego stołu. Stąd też skłonność do wydzielenia jakiegoś obszaru, który można by pozostawić opozycjonistom pod warunkiem, by byli „konstruktywni”, tzn. gotowi zadowolić się tytułami i pozorami, pozostawiając pełnię rzeczywistej władzy Biuru Politycznemu, ale dzieląc się z nim skwapliwie odpowiedzialnością za katastrofę polityczną i gospodarczą. Stąd wreszcie powołanie na ministra Przemysłu prywatnego przedsiębiorcy i milionera — ale z legitymacją partyjną w kieszeni; przy czym nie towarzyszy temu żadna zapowiedź zielonego światła dla prywatnej inicjatywy na wsi i w mieście: zniesienia limitów zatrudnienia i obrotów, likwidacji „inspekcji robotniczej”, ulg podatkowych itp. Wygląda na to, że w tej dziedzinie rząd Rakowskiego będzie rządem blichtru i działań pozorowanych.

Odległość między ustępstwami, do jakich skłonny jest Rakowski — tzn. Biuro Polityczne i aparat — a tymi, które opozycja i szerokie środowiska niezależne uważają za bezwzględnie konieczne, jeżeli ma dojść do jakiegoś porozumienia, nie uległa żadnemu zmniejszeniu. Pozostaje ogromna. To, co dla pierwszych stanowi maksimum, do którego nie wznoszą się nawet w najśmielszych myślach, jest dla najbardziej nawet umiarkowanych kół opozycji politycznym minimum, poniżej którego nie sposób zejść, gdyż byłoby to zgłoszeniem akcesu do PRON. Najlepszą ilustracją jest fakt, że wejścia do rządu odmówili m.in. Andrzej Micewski i Wacław Auleytnier, których nawet najbardziej dogmatyczny aparatczyk nie może chyba uważać za ekstremistów. W tych warunkach wolno zastanawiać się nad tym, czy rozmowy okrągłego stołu mają jeszcze jakikolwiek sens. Jest przecież oczywiste, że dojść

do nich może tylko w trzech przypadkach: jeśli Rakowski skapituluje i uzna legalizację „Solidarności” za możliwą; jeśli skapituluje opozycja, rezygnując z tego warunku; jeśli znajdzie się jakaś mętna i wieloznaczna formuła, która pozwoli opozycji twierdzić, że władza uznała „Solidarność”, a władzy głosić coś wręcz przeciwnego. Ale z rozmów podjętych pod znakiem wieloznaczności i zamętu korzyść może odnieść tylko władza. Toteż gdyby jednak do nich doszło, to cały wysiłek opozycji musiałby być skierowany na zachowanie wyraźnej linii podziału; pisaliśmy o tym miesiąc temu. Teraz dodajmy tylko, że w świetle nominacji Rakowskiego znaczenie rozmów okrągłego stołu staje się drugorzędne, gdyż świadczy ona, że aparat PZPR dąży nie do rozsądnego kompromisu, ale do wymuszenia na opozycji jednostronnych ustępstw, które byłyby dla niej równoznaczne z politycznym samobójstwem. Jedyną słuszną odpowiedzią na to nastawienie aparatu są wszelkie działania, które wzmacniają siły opozycji, a w pierwszym rzędzie — „Solidarności”.

Zrozumieli to doskonale ci, którzy zajęli się tworzeniem komitetów założycielskich „Solidarności” w zakładach pracy. Gdyż jasne jest, że „Solidarność” znacznie zwiększy szansę zalegalizowania jej jako ogólnopolskiego związku zawodowego, ze wszystkimi niezbędnymi do normalnej pracy strukturami i uprawnieniami, gdy będzie w tej postaci faktem dokonany. Gdy będzie obecna nie w kilku, kilkudziesięciu czy nawet kilkuset zakładach, ale w ich znacznej większości. Gdy skupi liczący się odłam zatrudnionych w gospodarce narodowej. Wymaga to wielkiego poświęcenia od szeregowych działaczy i poważnego wysiłku od góry solidarnościowej. Organizacja związku wymaga uporządkowania. Jego członkowie czekają na rozliczenie się polityczne i finansowe tych, którzy podejmują decyzje w ich imieniu, oraz na odmłodzenie tego grona i dostosowanie go do dzisiejszej rzeczywistości. Szeroka opinia zaś chciałaby znać najważniejsze postulaty, których realizacji domaga się dziś „Solidarność”, gdyż powszechnie znany jest tylko jeden z nich: postulat legalizacji związku. Kierownictwo „Solidarności” — dotyczy to zresztą ogółu opozycji — stale zachowuje się tak, jak gdyby wszyscy Polacy doskonale wiedzieli, czego opozycja chce i jak gdyby rozumieli zależność między wprowadzeniem pluralizmu związkowego a perspektywą poprawy ich sytuacji. Tak jednak nie jest. Trzeba wreszcie porzucić złudzenia nie tylko na temat władzy, ale również na temat społeczeństwa i uznać za jedno z najważniejszych obecnie zadań uświadomienie każdemu Polakowi głównych postulatów opozycji oraz argumentów przemawiających za ich realnością i za koniecznością działania, by jak najszybciej wcielić je w życie.

Z rozmowami okrągłego stołu nie warto w istniejącym klimacie łączyć poważniejszych nadziei. Nadzieje można zasadnie po-

kładać tylko w ponownym ożywieniu ruchu społecznego i w postępującej regeneracji „Solidarności”. Postawiony wobec faktów dokonanych aparat będzie musiał bowiem zadać sobie pytanie, czy woli „Solidarność” legalną czy nielegalną, a wtedy jego bardziej inteligentni eksponenci dojdą samodzielnie do wniosku, że ta pierwsza jest dla nich korzystniejsza od drugiej, tak jak w 1956 roku doszli do wniosku, że muszą współżyć z Kościołem i przystać na prywatne rolnictwo, choć trzeba było jeszcze dwudziestu z górą lat, by ostatecznie przekonali się, że nie mają innego wyboru. Liczenie na patriotyzm i dobrą wolę aparatu oraz na to, że zrozumie on wreszcie, iż bez „Solidarności” nie wyprowadzi Polski z kryzysu, jest karmieniem się mrzonkami. Katastrofa cywilizacyjna, która każe myśleć z trwogą o przyszłości Polski, jest dziś dla opozycji faktem najważniejszym. Jest ona bowiem przekonana jak najśluszej, że władza zmarnowała siedem lat i chciałaby jak najszybciej zmobilizować wszystkich Polaków wokół odbudowy kraju. Ale dla aparatu PZPR faktem najważniejszym jest kryzys jego panowania nad Polską i na przezwyciężeniu tego kryzysu zależy mu w pierwszym rzędzie. Toteż aparat ma czas, mnóstwo czasu, co właśnie udowodnił zapelniając sześć długich tygodni, jakie minęły od strajków sierpniowych, plenami, sesjami i dyskusjami, wydarzeniami zupełnie pozornymi, obrzędami celebrowanymi na jego wewnętrzny użytek. Polska straciła kolejnych sześć tygodni; aparat kolejnych sześć tygodni zyskał. I będzie tak nadal, o ile wytrwała presja sił społecznych nie zmusi go do zmiany sposobu postępowania.

REDAKCJA

Listy Marszałka Piłsudskiego do żony*

W archiwum córek Marszałka Piłsudskiego, pp. Wandy Piłsudskiej i Jadwigi Jaraczewskiej, znajdują się listy Marszałka do żony pisane w okresie legionowym i internowania w Magdeburgu. Przesyłając nam do druku listy „magdeburskie”, p. Jaraczewska pisze:

„... Wydaje mi się, że wstęp od nas wymagałby czegoś więcej aniżeli suchej informacji. Listy te mają dla nas ogromną wartość sentymentalną, rodzinną i osobistą. Publikowanie i dyskutowanie życia prywatnego, tak jak dla naszej Matki i Ojca, jest dla nas bardzo trudne. *Zachowałem w sobie charakter nieznoszącego ostentacji Litwina, którego cała natura we wnętrzu burzy się w proteście przeciwko robieniu z siebie teatru dla publiczności*. Na pewno Pan to zrozumie.

Listy te oddajemy do druku tylko z poczucia obowiązku wobec Historii i dlatego, że obie czujemy, że charakter naszego Ojca w różnych opracowaniach jest tak zniekształcony, że może Jego własne słowa, pisane do osoby bliskiej, pokażą najlepiej Jego osobowość — taką jaką my obie pamiętamy.

Jeśli chodzi o informacje co do samych listów pisanych z Magdeburga, to ważne jest zwrócenie uwagi, że ich charakter jest inny, niż poprzednich, gdyż przechodziły przez cenzurę, np. podpis zawsze oficjalny — J. Piłsudski. Również ważny jest fakt, że część listów doszła do rąk naszej Matki dopiero w rok lub dwa po wypuszczeniu Ojca z więzienia, przesłane były z Niemiec razem w jednej paczce. Listy, które przesyłam łącznie z innymi były wywiezione z Polski po wybuchu wojny i obecnie oryginały są w naszym posiadaniu”.

* Zachowujemy pisownię oryginału.

3/IX

Kochana Olu!

Przed wyjezdem zawiadamiam
ciebie, że od tygodnia nie jestem
samotnym. Dano mi jako towa-
rysza doli Sosukowskiego, z
którym teraz skracam czas o
ile nas stać na to. Dziś tylko i
przez ten czas egram kilka słów
parę słów drachm. Spróbowano
dowiedzieć mi razem z nim
wychadzić na spacer po całe miasto
cykadeł. Przyjemniej jednak byłoby
mi posiadać do tych spacerów
cykadeł adresem - specjalnie kurtę
kamizelkę i palto letnie i jesienne.

Moje postaram się o to by je nie
wyjechać. Życie angielskie w ten spo-
sób, że obiady i kolacje mamy z
miasta - wiadomości są i herbaciane
własnym językiem. Niech to ci będzie
wskazówką dla przyszłości. Przed wy-
jezdem jak już pisałem nie należę
do przyczyn do konstruowania pod wzglę-
dem czasu i herbaty.

Otrzymałem również od ciebie
fotografię Waidri. Na podstawie
twoich słów odczytałem, że jesteś
padołkowicie, zwłaszcza że teraz
w budowie ciasta, co także nie uwa-
żam za zupełnie niepodobne, gdyż
takie wyrobie ciasto nie powinno
być. Także jest u diawerysty. Lic-
mam, jakby teraz nie miałem na.

Kochana Olu!

Kartkę Twoją z dnia 2 listopada otrzymałem wczoraj. Niezmiernie jestem Ci wdzięczny za nią. O Tobie dowiedziałem się coś nie coś z kartki Stefki, otrzymanej parę tygodni temu, adres jednak twój mam dopiero teraz. Dziwić się więc nie możesz, że dopiero teraz piszę, jak zwykle bez pewności, że list dojdzie rąk Twoich. Niezmiernie żałuję, żeś się nie odważyła bezemnie pojechać do Lublina, gdy nie mogłem Ciebie odwiedzić jak zamierzałem, nie mam żadnego zaufania do klimatu warszawskiego i wolałem wiedzieć, że jesteś pod opieką lekarzy mnie znanych. Ale stało się! Pytasz o zdrowie? Ot, jako tako. Przez pewien czas bałem się, że się rozchoruję na seryo, ale i zdrowie moje jest równie uparcie litewskie jak i charakter, przełamało się na lepiej i do prawdy proszę Cię, nie niepokój się wcale o to. Posylkę otrzymałem, dziękuję. I Stefka i Ty piszecie mi o bracie i jak zwykle po kobiecemu nie przypuszczacie, że bez adresu pisać listu nie można, przypuszczam więc tylko, że to prawdopodobnie piszecie o Bronisiu, ale powtarzam bez adresu pisać nie mogę. Na wszelki wypadek przesyłam Ci już w tym liście powinszowania imieninowe no i życzenia naturalnie, przede wszystkim zaś życzę, abyś zrobiła wszystko, aby nie martwić się i nie niepokoić. Człowiek powinien umieć zrobić z sobą wewnątrz wszystko co zechce, więc chciałbym, żebyś ty umiała teraz wyrzucić sobie z głowy wszelkie zmartwienia i niepokoje, tem bardziej gdy doprawdy niema o co.

Dosyć. Serdeczne uściśnienie i do miłego zobaczenia się.

J. PIŁSUDSKI

12. XII. 1917.

Kochana Olu!

Miesiąc temu pisałem do Ciebie i nie wiem, czy list doszedł rąk Twoich. Liczę, że może ten pisany w dzień Twoich imienin dojdzie do Ciebie koło Nowego Roku z powinszowaniem podwójnem — imienin, Świąt i Nowego Roku, z życzeniami, aby ten Nowy Rok był dla Ciebie szczęśliwszy niż ten co upłynął.

Żebyś się nie niepokoiła niepotrzebnie o mnie, opiszę Ci mój przeciętny dzień. Wstaję rano o pół do ósmej, o ósmej jem śniadanie, o dziewiątej wychodzę do ogrodu na spacer. Nie jestem skrepowany jakimikolwiek godzinami pod względem spaceru i sam sobie określam czas świeżego powietrza. Zwykle spaceruję dwie — dwie i pół godziny, więc po jedynastej jestem z po-

lepiej fotografii, którą ci obie
ciężko wysłać, gdy pauna będzie
dysponować sobą i prawdopodobnie
ryzykując będzie miała bardziej uformo-
wane, niż na tej, którą posiadam
głównie po za czasem naciągają się ocy
wystraszona i rozczarowana.
Pozdrawiam Cię i przyjmuję od Ciebie
kartkę z datą 1/11, pisaną, że jesteś
trochę chore i jeszcze na więcej nie
wyjeżdżasz, to nie dobrane! Ciężko
tem się więc nagrozić, gdybym zupełnie
nie jechał już z przyjaciółmi i z przy-
jaciółkami na wsi i na miasteczku
ze świeżego powietrza. Wierzę Ci
serdecznie dla Ciebie i Twojej
Stefki.

wrotem i czytam do obiadu — gazetę i książki — tych ostatnich mam wybór bardzo mały. O pół do pierwszej obiad — względnie bardzo obfity, obfitszy niż miałem w Warszawie. Po obiedzie mam najprzyjemniejszą chwilę — mianowicie piję własną herbatę przez siebie zaparzoną, w pokoju jest to najcieplejsza chwila, więc zapadam chwilowo w stan rozmarzenia i przy papierosie i dobrej herbacie myśli się snują i pędzą daleko i szeroko. Wobec tego że stan taki na długo jest niezdrowym, przechodzę do najpoważniejszej części dnia — do studyów szachowych, co mi zajmuje dobrych parę godzin, szarą godziną chodzę po pokoju, a gdy zabłyśnie elektryczność, kończę swoje szachy, czytam albo jak teraz piszę, tak przychodzi pół do siódmej i kolacja — też niezła. Po kolacyi dla zaoszczędzenia oczu nie pracuję, a kładę niezliczoną ilość pasyansów na różne przeróżne intencje. Muszę Ci powiedzieć, że jeden z pasyansów, który nigdy nie wychodzi, wyszedł mi raz jeden, gdy go postawiłem na intencję Twojej przyszłej słabości. Cieszyłem się wówczas jak dziecko przez parę dni. To szlachetne zajęcie przerywam często spacerem po pokoju, a o dziesiątej wieczorem kładę się spać. Zasypiam łatwo i tak kończę swoją pracowitą dobę. Stąd sens przysyłać warto herbatę i cukier, z resztą nie jestem źle.

Jeszcze raz powinszowania i życzenia uściśnienie serdeczne.

J. PIŁSUDSKI

20. II. 1918 r.

Kochana Olu!

Za karty Twoje serdeczne dzięki, teraz z niecierpliwością oczekuję karty z zawiadomieniem o końcu i wyniku Twojej słabości. Jeżeli będzie syn, to według umowy ma mieć imiona Józef Mieczysław, jeśli córka, to rozstrzygać Ty sama, jabym głosował za imieniem Wanda. Ale przedewszystkiem zawiadam mnie jaknajprędzej o sobie i dziecku, jak tylko będziesz mogła wychodzić, sfotografuj dziecko i przyslij mi fotografie. Bardzo i bardzo będę Ci wdzięczny za to, naturalnie robić zdjęcie nie wtedy, gdy dziecko śpi, lecz gdy oczki ma otwarte.

Co do mego zdrowia, o które pytasz, to powtarzam, nie masz potrzeby niepokoić się. Jestem jako tako zdrow i nie czuję się gorzej niż zwykle, to znaczy od czasu do czasu da mi się odczuć przez parę dni ta czy inna stara dolegliwość — serce czy reumatyzm, ale daję sobie z tem rady. Teraz chodzę dłużej na świeżem powietrzu i palę trochę mniej.

W posyłkach szukam teraz przedewszystkiem herbaty i cukru.

Herbata mi wyszła i piję teraz kawę, do której nie jestem wcale przyzwyczajony. Ogromnie trudno dyrygować z tak daleka czyjśm życiem i dla tego zatrzymuję w sobie wszystkie moje chęci i zadania co do Ciebie i dziecka, nie chcę jednak ukryć przed Tobą, że marzę poprostu o tem, byś mogła wyjechać na wieś jaknajprędzej. Powtarzam, jest to jedno z moich marzeń i Ty sama najlepiej rozstrzygnąć możesz, co z takiego marzenia daje się urzeczywistnić.

Wszystkie prawne sprawy związane z Tobą i dzieckiem — niestety — zmuszony jestem odłożyć na czas zupełnie nieokreślony i chyba rozumiesz, jak mnie to martwi. Ale trzeba czekać! Jeszcze raz proszę o fotografię dziecka.

Zatem przyjm serdeczne uściśnienie i życzenia wszelkie a przedewszystkiem zdrowia Tobie i dziecku.

J. PIŁSUDSKI

18. III. 1918 r.

Kochana Olu!

Otrzymałem trzy Twoje karty datowane 7, 10 i 14 lutego. Serdeczne dzięki za wiadomości. Przed przyjściem pierwszej ogromnie niepokoiłem się pomimo iż wiesz jak spokojny mam charakter i nieskłonny jestem do niepokojów. Najzabawniejsze jednak jest, że w nocy z 7-ego na 8-y śniłem Ciebie, mówiłaś do mnie, że musisz się położyć, a w sąsiednim pokoju słyhać było kwilenie dziecka. Życzeń moich Tobie ani córce nie potrzebuję wyrażać, chyba wiesz jak one są szczerze i co zawierają. Żałuję ogromnie że nie jestem właśnie teraz z tobą, musi to być ogromnie zabawne śledzić, jak się wykluwa człowiek — nigdy dotąd nie miałem z tem do czynienia. Tu już teraz wiosna, na krzakach w moim ogrodzie już pączki się rozwijają i zielona trawa puszcza, jest cieplej i reumatyzm mi mniej dokucza. Jutro moje imieniny — jeśli chcesz mi zrobić imieninowy choć bardzo spóźniony prezent, przyslij mi dwie talje kart do pasyansów. Te, które mam, już bardzo się zniszczyły. Czytam teraz więcej, pomiędzy innemi francuskie książki, sprawia mi to dużą przyjemność. Posyłki przychodzą, od kogo nigdy nie wiem, więc nie wiem komu mam być wdzięcznym, na wszelki wypadek dziękuję i Tobie, jeśli zaś wiesz, kto posyła, podziękuj odemnie.

Uściśnienie serdeczne dla Ciebie i Córki.

J. PIŁSUDSKI

Kochana Olu!

Zadnych wiadomości od Ciebie nie mam tak dawno, że zaczynam się niepokoić, co się z Tobą i dzieckiem dzieje. Znasz mnie, jak nieskłonny jestem do niepokojów i bezużytecznej trwogi, ale jednak teraz nie zawsze spokojnie o Was myśleć mogę. Uspokoilo mię trochę, gdy otrzymałem świeżo dwie talie kart passyansowych, o które w liście do Ciebie prosiłem.

Zdrów teraz jestem, o ile wogóle zdrowym już być mogę, gdyż naturalnie nie łudzę się i wiem, że organizm mam mocno nadzarpnięty. Zresztą takie mamy piękne lato, że nawet reumatycznych bólów nie odczuwam teraz. Lato — zamiast bzu na stole mam róże zupełnie już rozwinięte. Poza tem spędzam czas jak dawniej: spacer, czytanie, rozmyślanie i rozpamiętywanie oto treść samotnego życia. W tych rozmyśleniach sporo miejsca udzielam dziecku. Tak mało z tem w życiu miałem do czynienia pomimo tak liczne go młodszego rodzeństwa, że dziecko zaczyna się w myśli u mnie od dwóch, trzech lat, gdy nieraz w przeszłości stawały się moimi małymi przyjaciółmi, ale taki berbec, co bezmyślnie krzyczy, wywijając niezgrabnie nogami i rękami — nie mogę w myśli nawet znaleźć sposobu do zaprzyjaźnienia się z taką osobą. Ciekaw jestem czybym sobie dał rady w praktyce z Wandzią.

Serdeczne uściśnienie dla Ciebie i Wandzi łączę.

J. PIŁSUDSKI

Magdeburg, 24. IV. 1918 r.

Kochana Olu!

W ostatnich latach z powodu bólów serca mam na myśli możliwość nagłej śmierci przed wyjściem z więzienia. Ostatnie moje myśli pewnie będą z Tobą, moja droga, i z Córką. Ale przedewszystkiem chcę zostawić swoje ostatnie życzenia, dotyczące się Córkę. Nie będę Ciebie zapewniał, moje dziecko, jak przykro mi i boleśnie, że zostawiam Ciebie w tem położeniu jak jesteś z nieślubnem dzieckiem na ręku, jest to myśl, która dręczy mnie codzień, pomimo to chcę wierzyć, że w Córcę wychowasz nie tylko przebaczenie, lecz może szacunek i miłość dla jej nie zawsze szczęśliwego ojca.

Nie mogę jednak znieść poprostu myśli, że dziecko nie będzie nosiło mego nazwiska. W razie śmierci w więzieniu nie będę mógł załatwić tak sprawy, jakbym chciał, to znaczy rozwód i zupełnie prawne posiadanie i Ciebie i Córkę, ale przypuszczam, że

są jakieś prawne możliwości, które umożliwią urzeczywistnienie tej nagorętszej mojej chęci. Otóż dla pomocy Tobie przy opiece oraz dla przeprowadzenia tej prawnej sprawy wyznaczam dla dziecka opiekunów w osobie mego brata Jana Piłsudskiego w Wilnie i pułkownika Edwarda Rydza, do których równocześnie piszę. Gdyby do tego czasu dziecko nie było chrzczone, chciałbym byś zaprosiła na ojca chrzestnego — tego ostatniego. Opieka nie powinna Ciebie krępować ani w sprawach wychowania, ani w decyzjach w sprawach życiowych Córkę, umrę jednak spokojniej, gdy nad Córką będzie i męska przyjazna opieka — nie gniewaj się o to, kochana feministko!

Do Córkę a zatem i do Ciebie ma należeć moja pamiątkowa szabla, ofiarowana mi przez oficerów mojej brygady 6 sierpnia 1916 roku i złoty zegarek, który mam przy sobie, ofiarowany mi przez tychże oficerów na imieniny w 1915 roku. Otem piszę do pułkownika Rydza.

Nie mogę, pisząc w stanie zupełnego zdrowia, przenieść się w stan człowieka przed śmiercią, dlatego nie znajdziesz w tym moim liście wszystkiego, co miałbym Tobie do powiedzenia. Jest to raczej list załatwiający interes. Nie szukaj więc w nim niczego innego. To inne, o ile zostało w Twojej pamięci i sercu, tem lepiej dla mnie, tem łatwiej mi myśleć, że krzywda nie będzie Ci tak ciężka do wspomnienia. Ja zaś zawsze będę Ci wdzięczny za miłość i serce, do grobu, a jeśli można to i za grobem.

Twój

ZIUK

13. V. 1918.

Kochana Olu!

Dawno nie miałem od Ciebie żadnej wiadomości, a tęsknię do niej tembardziej, gdy nie jesteś jedna i w każdej kartce donosisz mi cokolwiek o dziecku. Fotografii córkę jeszcze nie otrzymałem i dotąd wyobraźnia moja nie ma się do czego przyczepić, żeby przedstawić sobie, jak ta poważna osoba wygląda. Przypuszczam, że teraz, gdy ma już trzy miesiące, już się śmieje i poznaje Ciebie. Nieprawdaż?

Tydzień temu przy zmianach pogody złapałem influencję. Jak zwykle po influenzy jestem bardzo osłabiony — chodzę mało, więcej leżę. Tym razem był to bardzo słaby atak, pomoc lekarską miałem natychmiast, więc sądzę, że i moje osłabienie prędko minie, tembardziej, że to przecie już lato się zbliża, o czem mi przypomina bukiet przekwitającego bzu, co stoi na moim stole. Lato zaś ze swem ciepłem, słońcem i możliwością korzystania stale ze świeżego powietrza — to dla mnie najzdrowsza pora roku.

Czytam teraz dosyć dużo, mam możność wyboru książek zgodnie ze swoim gustem. Możesz więc sobie wyobrazić, po ilu krajach odbyłem już podróż — od okolic podbiegunowych do pustyń afrykańskich i azjatyckich, no i francuskie powieści — bawie się, jak umiem i mogę. Nawet zapuściłem z tego powodu szachy, tylko wieczorem pasyanse stanowią niezmiennie prawo aby oczu przy elektryczności nie męczyć czytaniem.

Serdeczne uściśnienie Tobie i Córce łączę

J. PIŁSUDSKI

7. VIII. 1918 r.

Kochana Olu!

Wczoraj 6-tego sierpnia była czwarta rocznica mego wymarszu na wojnę z Krakowa. Cały czas stały mi w pamięci jak żywe obrazy z tamtych czasów. A dla uprzyjemnienia mi tej rocznicy los łaskawie zesłał mi aż trzy Twoje karty 18/VI, 26/VI i 9/VII z mnóstwem wiadomości o Wandzi. Dzięki serdeczne. Cieszę się bardzo, że wyjeżdżasz na wieś, a jeszcze bardziej, że będziesz z Janką. Mieszkasz co prawda gdzieś na skraju miasta, ale zawsze to miasto, nie świeże zdrowe wiejskie powietrze. Jak się spodziewałem, znalazłem już w listach Twoich wzmiankę o tem, że masz córkę nie tylko bardzo miłą, ale i bardzo mądrą. Mnie, kochana Olu, nie przekonasz, pozostanę sceptykiem w tej sprawie, osobiście, gdy ta rozumna osoba na dowód swego rozwoju mózgowego wkłada nóżkę do buzi. Gdyś tę sztukę łamaną spostrzegł u dzieci, byłem zawsze pełen podziwu dla tak niezwykle go gustu. Najbardziej zaś ucieszyłaś mnie tem, że już nabiła sobie guza. Zawsze miałem słabość do dzieci i ludzi nabijających sobie guzy. Większość ludzi na świecie jest tak bezbrzeżnie głupich, że prawdopodobnie 999/1000 dzieci rodzi się z zadatkami na głupotę, więc wszelkie wstrząśnienie mózgowe w postaci guzów zwiększa zdaniem mojem szanse na rozum. Taka jest moja teoria, z którą matki rzadko się zgadzają, ale ja i w stosunku do Wandzi pozwolę sobie zostać wiernym swoim zasadom. Pytasz co mi posyłać? Raz już pisałem — herbatę i cukier — to jest główna rzecz, reszta to są dodatki, bez których obejść się można. W każdym razie latem nie posyłać ani mięsa ani tłuszczu, bo się to psuje już w drodze dostatecznie długiej jak zwykle. Jeśli u was jeszcze jest, to prosiłbym o dobre mydło, pomimo wielkiej, aż do obrzydliwości, oszczędności z mydłem, wychodzi ono jednak, a doznaję pewnego wstrząsu, gdy myślę o różnych surogatach i „ersatzach”. Co do pani Daniłowskiej, to wobec tego, że dotąd żadnej posyłki z winem nie otrzymałem, bałem się ją martwić

pisząc, że takiej posyłki nie miałem, w każdym razie wdzięcznym jestem za łaskawą pamięć. *A propos* posyłek. Może zechcesz łaskawie zawiadomić Komitet Opieki nad Jeńcami (Mazowiecka 7), że posyłka, o którą Komitet pyta, była przezemnie otrzymana w maju, że niezwykłe jestem wdzięczny na pamięć i serce. Posyłka była wysłana z Włocławka i miała numer, jeśli mię pamięć nie myli, 689.

Olek bardzo dobrze robi, że się Wandzią zajmuje, jestem mu wdzięczny, niech tylko zanadto berbecia nie rozpieszca. Jak jego zdrowie? Czy kładzie jak dawniej pasyanse? Cieszę się bardzo, że masz ich przy sobie, zawsze to stara wileńska przyjaźń, tem droższa, że wileńska, i tem pewniejsza. Serdeczne uściśnienie dla całej jego rodziny łączę. Za wiadomość o Kasztance dziękuję, naturalnie nie chcę, by ją sprzedano, ciekaw jestem, czy kuleje jeszcze i jakiego ma żrebaka, czy tak samo, jak ona ma białe nóżki.

Pozatem życzę wesołej zabawy na wsi.

Uściśnienie

J. PIŁSUDSKI

8. VIII. 1918 r.

Kochana Olu!

Nareszcie po paromiesięcznych wyczekiwaniach oddano mi wczoraj Twoją kartkę. Pomimo że zawiera ona wiadomości z przed dwóch miesięcy — gdyż tyle czasu trzeba było na przebycie przestrzeni, która nas dzieli — uspokoiłem się trochę. Za wiadomości o dziecku serdeczne dzięki, nie masz wyobrażenia, ile każdy szczegół przyjemności mi sprawił. Specjalnie zabawiło mnie wyszczególnienie dźwięków, które Wandzia wymawia. Nie słychanie bogaty słownik! Pisziesz, że jest bardzo miła, śmiałem się i oczekuję, że idąc śladami wszystkich matek, przerazisz mnie wkrótce opowiadaniem o wielkim, wyjątkowym rozumie dziewczynki.

Fotografii Wandzi nie otrzymałem, widocznie trudniej jej przeniknąć przez mury więzienia niż kartom, które mi już dosyć dawno oddano i za które dziękuję. Jeżeli jest podobna do fotografii, którą miałaś na stole, to niech sobie, niepotrzebnie tylko odziedziczyła szerokie brwi, dobre to dla chłopca, dla dziewczynki mniej stosowne, nie każda dziewczęca twarzyczka takie upięk-szenie wytrzyma.

O zdrowie moje nie niepokój się, nie jest teraz źle, trochę apatyczne usposobienie dokucza przy mojej skłonności do energicznego, nie sennego przeżywania życia, odbija się to naturalnie na trawieniu leniwem i jeszcze bardziej leniwem sercu, ale osta-

tecnie nic niepokojącego niema. Byleby nie schwycić grypy, której zawsze się boję jak najcięższej choroby.

Odżywiam się nieźle — kosztuje to drogo, z dniem każdym drożej, ale i pod tym względem powodów do niepokojenia się nie masz. Pytasz co posyłać z żywności? Radzę przedtem upewnić się, czy posyłkę oddadzą. Przez pewien czas miałem mnóstwo posyłek, po co więc narażać się na niepotrzebne koszty, gdy to nie ma dojść do mnie. Co do treści posyłek, to istotnie potrzebna mi jest herbata i cukier do niej. Przyczem jeśli to można, to cukru w większej proporcji niż dotąd. Teraz zaś z cukrem jest dosyć skąpo, no i wówczas trzeba pić herbatę albo bez cukru, albo z tabletkami surogatu, które wyznają się dość obrzydliwe. Poza to wszystko należy do kategorii zbytków, które naturalnie są bardzo przyjemne, ale niekonieczne. Natomiast latem wysyłać cokolwiek z mięsa albo tłuszczu nie opłaca się wcale. Idzie to tak długo, że kiedy nareszcie dojdzie, jest prawie nie do użytku.

Napisz mi nie tylko o dziecku, ale i o sobie trochę. Bardzo serdeczne uściśnienie dla Ciebie i dla Wandzi przesyłam

J. PIŁSUDSKI

NOWOŚĆ!
EDITIONS SPOTKANIA

W BLASKU LEGENDY

Kronika poetycka życia Józefa Piłsudskiego
z 14 drzeworytami

Stanisława Ostoi-Chrostowskiego i Michała Byliny
Opracowanie, noty i posłowie Krzysztof A. Jeżewski

Pierwsza tego rodzaju publikacja w literaturze polskiej. Dzieje legendy Józefa Piłsudskiego i jego Legionów w układzie chronologicznym od wizji jego nadejścia u wielkich romantyków poprzez poszczególne etapy jego życia aż po ewokacje pośmiertne z ostatnich lat. W ogromnej większości nieosiągalne, zakazane i skazane na zapomnienie w PRL 352 utwory 160 poetów, prozaików, polityków, publicystów, artystów, w tym kilkudziesięciu najwybitniejszych nazwisk polskich tego stulecia. Zamiast przedmowy esej Bruno Schulza. Posłowie Krzysztofa A. Jeżewskiego rzucające nowe oryginalne światło na postać Marszałka. Obszerne noty o autorach, źródła tekstów, przypisy, indeksy.

Str. 598

Cena: 140 FF; 23 \$US; 14 £

Kamień filozoficzny

Czytam w książce Roberto Gervaso *Cagliostro* (dobra lektura na piekielny upał): „W wieku rozumu i Oświecenia, Woltera i Encyklopedii, poszukiwanie kamienia filozoficznego było bardzo w modzie, i to nie tylko wśród szarlatanów. Uprawiali je także królowie, książęta, prałaci, uczeni i literaci. Był to sposób ucieczki od burzliwej rzeczywistości, zanurzenia się w irracjonalnym, zawładnięcia nadprzyrodzonym czyli niemożliwym. Gdyż kamień filozoficzny, uważany za panaceum uniwersalne, obiecywał właśnie niemożliwe”.

Kamień filozoficzny w jakiej postaci? Określenie było metaforyczne, czy wyrażało wiarę w istnienie prawdziwego kamienia, ukrytego gdzieś w skale, oczekującego na odłupanie przez szczęśliwego znalazcę, aby w jego rękach odsłonić wszystkie swoje magiczne właściwości? Albo też wyobrażano go sobie jako owoc dociekań filozoficznych oraz tajemnych operacji alchemicznych, twór wyprowadzany ziarno po ziarnku z komórek mózgowych i alembików, ulepiany cierpliwie i okrzepnięty wreszcie w formie kamienia wszechmocnego, który wszędzie przenika, każdą rzecz potrafi zmienić, nie zna naturalnych przeszkód ograniczających człowieka?

Nie jest to jasne, jakkolwiek wiele przemawia za metaforą łącznego działania umysłu ludzkiego, wiedzy sekretnej, boskiej prawie intuicji i nadprzyrodzonego wtajemniczenia. Z drugiej jednak strony interpretację czysto metaforyczną podważa Altotas, pierwszy mistrz Cagliostro, spotkany przez niego w Messynie około roku 1764. Ów mieszaniec grecko-hiszpański w nieokreślonym wieku, z biblijną brodą, posługujący się jak jednym nowym

językiem mieszaniną włoskiego, francuskiego i arabskiego, pokazał dwudziestoletniemu adeptowi u progu zawrotnej kariery Giuseppe Balsamo (tak bowiem nazywał się wówczas z urodzenia — w Palermo — późniejszy hrabia Alessandro Cagliostro) czerwony proszek utarty z embrionalnego kamienia filozoficznego, zdolny przemieniać zwykłe metale w szlachetne. Z tegoż proszka sporządzony był balsam, którym mistrz goił wszelkie rany, aż do świeżego zabiegu przytwierdzenia dwóch uciętych palców do ręki messińskiego rzeźnika.

Warto zwrócić uwagę na aspekt lingwistyczny w dziejach poszukiwania kamienia filozoficznego. Altotas mówił tak, że ledwie go rozumiano. I mówił tak świadomie, celowo, a nie dlatego że jego zdolność wysłowienia była językowym śmietnikiem. Nie korzystał przecież z greckiego i hiszpańskiego rodziców, co oznaczało że mieszając włoski, francuski i arabski, miał na oku stworzenie języka osobistego, własnego, częściowo tylko i słabo uchwytnego dla słuchających. *Chciał* być częściowo tylko i słabo rozumiany, uważał to widocznie za nieodzowną cechę języka filozofów. Młody Cagliostro nigdy tej lekcji nie zapomni. Więcej nawet — w kulminacyjnych momentach przyszłych triumfów urzekał i porywał publiczność lub indywidualnych rozmówców konglomeratem dokładnie tych samych trzech języków, jakie obrał był w swojej działalności jego nauczyciel z Messyny. Może nie trzeba było zbyt wiele czasu by dokonać odkrycia, że im mniej go rozumiano, tym bardziej czczono i podziwiano.

Od Altotasa nauczył się również osobliwego układu głowy i zwłaszcza oczu, gdy w trans wprawiała go wywody w duchu kamienia filozoficznego. Lekko w skos uniesiona głowa, oczy utkwione w górze, lecz nie zwrócone pobożnie ku Wysokiemu Niebu i ku panującej w nim Najwyższej Istocie. Spoglądał w górę i jakby obok, w stronę nieznanego i niewidocznego dla innych rywala Najwyższej Istoty. Kim był ten rywal, zdawał się wiedzieć wyłącznie on. I on wyłącznie zdawał się posiadać jeśli nie klucz, to magiczny wytrych do bramy filozoficznego raj, który obiecywał niemożliwe *hic et nunc*, w świecie a nie w zaświatach, za życia a nie za grobem.

Przypisywano mu zdanie: „Od wieków filozofowie opisywali świat, pora by rzucili wyzwanie siłom rządzącym światem i wydarli im sekret zmieniania go kiedy trzeba, albo kiedy się tego po prostu chce”. Uderza podobieństwo tego zdania do słynnej inwokacji Marksa. Byłżeby Cagliostro prekursorem Marksa? Byłżeby Marks kontynuatorem osiemnastowiecznej gorączki poszukiwania kamienia filozoficznego?

Szarlatan? Filozof? Prorok? Awanturnik? Dobroczynca ludzkości? Książkę Gervaso zamyka rozdział z pytaniem w tytule: *Święty czy szalbierz?* Karykatury hrabiego Cagliostro mogłyby przedstawiać podobiznę jego figury w kształcie pytańnika.

Najczęściej zwykł był mówić o sobie „jestem kim jestem”. Zdarzyło mu się raz, u szczytu sławy, na krótko przed zgubnym powrotem do Rzymu z zagranicznych peregrynacji, odstępstwo od tej lakoniczności. Uczestniczył w tłumnym zebraniu swoich admiratorów i wrogów, którzy na wyścigi usiłowali odgadnąć jego „prawdziwą tożsamość”. Jedni widzieli w nim cudotwórcę, inni Antychrysta. Ktoś krzyknął: „Jest współczesnym Jezusa, trącał się z Nim wodą przemienioną w wino w Kanie galilejskiej”. Przeważał pogląd, że jest „niedocieczoną zagadką”. Cagliostro słuchał, śmiał się chwilami, w końcu zabrał głos: „Sam nie wiem kim jestem. Ale na pewno jestem tym, który uzdrawia chorych, oświeca wątpiących, rozdaje pieniądze ubogim. O mnie i o moim życiu napisano dużo głupstw i kłamstw, nikt jednak nie zna prawdy. Dopiero po mojej śmierci prawdę odsonią moje pamiętniki”. Nie zostawił pamiętników. A jeśli zostawił, to spłonęły na stosie po procesie kościelnym i wyroku skazującym go na dożywocie w lochach więziennych.

Tak czy owak, niezależnie od sądów pełnych bądź uwielbienia bądź niechęci lub wręcz odrazy, przyciągał, intrygował, fascynował. Co prawda Casanova, po jedynym spotkaniu, dostrzegł w nim „szarlatana i błazna”; ale Casanova miał apetyt na jego piękną żonę, zdając sobie sprawę że bez pękatej sakiewki nie zwabi hrabiny (za zgodą hrabiego) do łóżka. Dumas ojciec i Dumas syn poświęcili mu cztery książki. Goethe napisał o nim pięcioaktową komedię satyryczną *Wielki Kofa*, a Schiller dramat *Wizjoner*. Lavater zapewniał Goethego w liście, że będzie zawsze czcił „tego Cagliostora który czynił cuda, gdyż Cagliostro jakiego znałem był zaiste świętym człowiekiem”. Okrutny jego portret naszkicował Carlyle: „Twarz niepokojąca, nalana, wstrętne, o obrzękłych wargach i przygniecionym nosie, o wyrazie zmysłowości i chciwości, z beczelnym czołem i oczami wzniesionymi do nieba, jak gdyby zgubionymi w kontemplacji i boskiej adoracji. Prawdopodobnie najpiękniejsza głowa szarlatana, jaką wydał osiemnasty wiek. Jego idiotyczna twarz skrywała chytrą lisa. Potywczy na przekór swej otyłości, zachowywał się niekiedy jak osaczony, rozwścieczony dzik”.

W sedno trafia konkluzja nowszego historyka: „Wydaje nam się żeśmy go schwytali, że możemy go zmusić do powiedzenia kim jest, a oto wyslizguje nam się z rąk jak węgorz. Postać, która rozpałała swoimi nieustannymi maskami i transformacjami wyobraźnię współczesnych i potomnych, dziś jeszcze nie przestaje być tajemnicą. Od Goethego do Schillera, od Dumasa

do Carlyle'a i dalej, do naszych dni, artyści, krytycy, psychiatrzy, lekarze, moralisci czuli nieodpartą potrzebę przejrzenia tego sfinksa".

Sfinks urodził się w plebejskiej rodzinie palermitańskiej z urojeniami arystokratycznymi. Ojciec miał sklepik z bibelotami. Wcześnie osierocony, chłopiec został przeznaczony do zakonu. W nowicjacie zatrudniono go w klasztornej aptece, gdzie zabłysnął szybko talentem w przyrządzaniu leczniczych ziół, mikstur i eliksirów. Czarna tunika nie przeszkadzała mu zaglądać cichaczem po nocach do lupanarów i szynków. Wyrzucono go z klasztoru za bluźnierstwa. Zarabiał odtąd na życie drobnymi szachrajstwami i złodziejstwami. Decydującym krokiem do dojrzałości była wizyta u Altotasa w Messynie. Z Altotasem wybrał się do Egiptu, a stamtąd na Maltę. Na Malcie udało im się obu wkraść w łaski Zakonu Kawalerów Maltańskich, szczególnie tych jego członków, którzy interesowali się okultyzmem i wiedzą ezoteryczną. Dotarli do samego Wielkiego Mistrza, namiętnego alchemika i poszukiwacza (wciąż niefortunnego) kamienia filozoficznego. W jego bogatym laboratorium jeden z eksperymentów spowodował wybuch i zabił trującymi wyziewami Altotasa. Zrozpaczony i pewnie przerażony Balsamo (jeszcze nie Cagliostro) uciekł do Neapolu. Przebywał w Neapolu krótko, postanowił spróbować szczęścia w Rzymie.

Znalazł je w osobie piętnastoletniej Lorenzy Feliciani, córki blacharza, niezwykle urodziwej analfabetki. Zanim ją poznał, utrzymywał się w Rzymie ze sprzedaży cudownych leków, filtrów miłości i afrodyzjaków, z podrabiania starych sztychów, z publicznych pokazów sztuki hipnozy. Utrzymywał się nieźle, toteż przyjęto go w domu blacharza z otwartymi ramionami, gdy poprosił o rękę dziewczyny. Był od niej o dziesięć lat starszy. Kochał ją przez całe życie. Lorenza nigdy tej miłości nie odwzajemniała. Była zahipnotyzowana, zauroczona, należała do niego jak bezwolny przedmiot. Wykonywała posłusznie wszystkie jego polecenia i rozkazy, on uformował ją i ogładził, stopniowo zrobił z niej damę. I równocześnie kurtyzanę. Wpoił jej mianowicie zasadę, że „cudzołóstwo nie jest grzechem u kobiety oddającej się za pieniądze a nie z miłości do innego mężczyzny”. Miał później wielokrotnie, w chwilach trudności finansowych, ciągnąć zyski z tej zasady.

Wkrótce po ślubie małżeństwo wyruszyło w podróż. Wenecja, Marsylia, Barcelona, Madryt, Lizbona, Paryż, Bruksela, Londyn, Palermo, Neapol, znowu Londyn. Powoli wschodziła na niebie gwiazda sfinksa. Ale wzbijał się do lotu nierówno, to wznosząc się, to opadając. Gdy opadał, wszystko stawało

się dobre dla ocalenia siebie i Lorenzy od nędzy, łącznie z pomysłowymi szantażami i zachęcaniem żony do prostytucji. Wznoszenia się zawdzięczał okresowym przyływowi natchnienia: uzdrowiał wtedy śmiertelnie (zdaniem lekarzy) chorych, zadziwiając odmładzał starych, przywoływał zza grobu zmarłych na płatnych seansach spirytystycznych. „I nigdy (pisze jego biograf) nie zwątpił, że z każdym dniem zbliża się do znalezienia kamienia filozoficznego”.

Drugi pobyt w Londynie był punktem zwrotnym, zapoczątkował rozdział równego już i niepowstrzymanego lotu wyżej i wyżej. Przybywszy z kontynentu ujawnił naraz dar jasnowidzenia i trafnego przewidywania przyszłości, zdobył ogromną popularność i znaczną sumę pieniędzy. Być może to właśnie przyniosło mu zaproszenie do loży masońskiej *Hope*. W ceremonii wtajemniczenia Giuseppe Balsamo otrzymał nazwisko Alessandro Cagliostro i tytuł hrabiego, a Lorenza stanęła u jego boku jako hrabina Serafina Cagliostro. Był rok 1777.

Masoneria, głęboko w osiemnastym stuleciu zakorzeniona i szeroko rozgałęziona, dawała hrabiemu — i rychło Wielkiemu Mistrzowi loży *Hope* — dostęp do możnych tego świata i pole do popisu dla jego płodnego umysłu filozoficzno-ezoterycznego. Zaczął od Hagi, gdzie holenderskie loże masońskie, podobnie jak niemieckie a w przeciwieństwie do racjonalistycznych łóż francuskich, pławiły się w magii, okultyzmie i mistycyzmie. Przerzucił się potem do Lipska, nawiązując bliski kontakt ze „spirytualistą” Adamem Weishauptem (Spartacusem), profesorem filozofii i prawa kanonicznego, propagatorem Stanów Zjednoczonych Europy, przeciwnikiem monarchii i zwolennikiem republik autorytarnych opartych na zniesieniu własności prywatnej. Było to coś dla Cagliostrowa, skoro zamierzał jako nowożytny filozof świat „zmienić”, a dzieło „zmieniania” świata musiało przecież w podtekście zawierać pokusę władzy. Szukał więc, w pogoni za kamieniem filozoficznym, sposobu zgarnięcia i podporządkowania sobie większości łóż masońskich. W tym celu wymyślił własny obrządek egipski, obwołał się Wielkim Kofto loży obrządku egipskiego (z Lorenzą-Serafiną w roli królowej Saby) i wydał broszurę *Rytuał masonerii egipskiej*. Broszura stała się, jak by dziś powiedziano, *best-seller'em*. Rytuał był zlepkiem, jak by dziś powiedziano: ekumenicznym, Starego i Nowego Testamentu, scholastyki, naleciałości protestanckich, Kabały, teozofii egipskiej. Wielki Kofto stawiał dwa warunki wstąpienia do loży obrządku egipskiego: wiarę w Boga i nieśmiertelność duszy, oraz uprzednią przynależność do jednej z istniejących łóż masońskich. Zwracał się często do prozelitów „w imię Jezusa Chrystusa”.

Liczba prozelitów rosta bez przerwy, Cagliostro miał prawo uważać się za potęgę, udzielnego władcę tysięcy ludzkich dusz (nieśmiertelnych). Z podniesioną po swojemu głową przeszedł śmiałym i pewnym siebie krokiem przez trzy dwory królewskie: w Petersburgu, w Warszawie i w Wersalu. Podbił serce kardynała Rohana. Potknął się niestety na tej przyjaźni. Zamieszany w aferę Naszyjnika Królowej, wylądował w Bastylii; i chociaż został uniewinniony i zwolniony z więzienia, na jego gwiazdę w pełnym blasku padł cień nakazu opuszczenia Francji. Poczuli się ścigani, co popchnęło go na drogę do Rzymu. I, czego nie przeczuwał, na drogę zmierzchu.



Przyjechali oboje do Rzymu w maju 1789. Zastanawiano się jakie były przyczyny powrotu Cagliostro, prócz dekretu wydalenia z Francji. Wymienia się dwie: u hrabiego odezwał się stary podleczoney lues, powodując częste zaćmienia jego bystrego umysłu filozoficznego; hrabina miała dosyć i męża i ciągłej włóczęgi, zatekniła do rodziny, a Wielki Kofto nie chciał za nic w świecie rozstać się ze swoją umiłowaną królową Sabą. W każdym razie wpadł prosto do jaskini lwa. Pius VI był zaciętym, obsesyjnym wręcz wrogiem masonerii, zwłaszcza potężnej loży obrządku egipskiego.

Uwięzienie Cagliostro wymagało formalnego aktu oskarżenia, który Święte Uficjum wydusiło za pośrednictwem spowiedników z zastraszonej Lorenzy-Serafiny. Zadenuncjowany przez żonę, Wielki Kofto został aresztowany w grudniu 1789 i osadzony w celi Zamku Anioła. Śledztwo i przesłuchania oskarżonego trwały szesnaście miesięcy. Długa lista zarzutów obejmowała bluźnierstwa, świętokradztwo, bezbożność i naturalnie masonerię egipską. Cagliostro bronił się jak umiał, niekiedy dość zrzęcznie, zapewniał o swojej wierności Kościołowi, domagał się spotkania w cztery oczy z papieżem (zamierzał, zdaje się, zaproponować mu współudział w zarządzaniu lożą), ale inkwizytorzy Świętego Uficjum mieli nad nim wyraźną przewagę. Raz zbłądł i pograżył się w bełkotliwej konfuzji, gdy inkwizytorzy przyparli go do muru podejrzeniem o konszachty z diabłem, a nawet posunęli się do twierdzenia że jest sam Lucyferem w masońskim przebraniu. Wykrztusił wreszcie akt skrucy, który natychmiast obrócono w akt samooskarżenia. Trybunał eklezjastyczny skazał go na śmierć w kwietniu 1791. Pius VI zamienił wyrok na dożywocie. Nazajutrz po wyroku przeszła nocą nad Rzymem gwałtowna burza, Cagliostro wziął zapewne w chorej imaginacji grzmoty za huk armat, przywarł do kraty z krzykiem: „Jestem tu, jestem tu, uwolnijcie mnie!”. Dla Piusa VI był to dowód, że Wielki Kofto

spodziewa się zbrojnej odsieczy masońskiej. Kazał go czym prędzej przewieźć do niedostępnej twierdzy San Leo, przylepionej do skał na pograniczu Marche i Toskanii. W maju na jednym z placów rzymskich spalono publicznie cały dobytek Cagliostro, w tym instrumenty masońskie, listy i papiery. Stos płonął blisko godzinę.

Wielki Kofto umarł w podziemnym, nagim lochu San Leo pod koniec sierpnia 1795. Przez cztery i pół roku szalał, mijał się, szarpał, złorzeczył, groził samobójstwem, majaczył, urządzał głodówki, bił głową w mur. Pochowano go na zboczu skalnego wzgórza. Według legendy, po latach żołnierze napoleońscy rozkopali jego grób i popijali wesoło wino w jego czaszce. Inna legenda głosi, że rozkopany grób okazał się pusty.



Piekielny upał podsuwa mi stosowniejszą wersję. W ostatnich miesiącach życia Cagliostro zdobył jakimś cudem mały płaski kamień, nie większy od męskiej dłoni. Straż więzienna chciała mu go odebrać (z obawy że posłuży mu do popełnienia samobójstwa), lecz dała po namyśle spokój, widząc jak uspokajająco i kojąco działa na więźnia. Nie rozstawał się z nim, spał z nim przyciśniętym mocno do piersi, mówił o nim z półobłąkanym i zagadkowym uśmiechem: *la mia pietra filosofale*. W odkopanym grobie znaleziono tylko ten kamień, w miejscu gdzie powinna była spoczywać czaszka. Dośćgnięty wreszcie przez Cagliostro kamień filozoficzny pokazywał do czego jest zdolny, spowodowawszy zniknięcie ziemskich resztek swego upartego poszukiwacza. W ten sposób przekazywał tajemną zachętę dla kolejnych poszukiwaczy, niezliczonych i niestrudzonych aż po kres naszego najlepszego ze światów.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Sierpień 1988

Kilka stron zakończenia

Wrzesień 1988

Półtora roku temu, w kwietniu, wysiadłem z pociągu na stacji Maisons-Laffitte. Szedłem w ulewnym deszczu do Instytutu Literackiego niosąc pod parasolem maszynopis *Miesiący*. Był to ostatni tom, czwarty, obejmujący lata 1985-1987.

Pierwsze dni po zakończeniu dłuższej pracy nie są przykre. Przypominają rekonwalescencję. Choroba minęła, uprząta się jej ślady. Można drzeć i wyrzucać, usuwa się zabazgrane świstki jak zużyte bandaże. Jest się wyleczonym i wolnym. Przez parę tygodni żyję po ludzku, chodzę na przedpołudniowe spacer, obiecuję sobie zwiedzić muzeum sztuki nowoczesnej. Aż do dnia, kiedy budzi mnie rano niepokój. W mojej wolności jest coś podejrzanego, niezastużona słodycz egzystencji powoduje we mnie wyrzuty sumienia, przeobraża się w męczarnię moralną (nie darmo wolne narody cierpią tak często na kompleks winy) i w końcu każe mi tęsknić za jarzmem.

Z tego okresu wyraźniej pamiętam lektury niż fakty. Czytałem we francuskim przekładzie autobiografię Klausa Manna, *Opowieści zimowe* Karen Blixen, *Dał nam przykład Bonaparte* (wspomnienia i relacje żołnierzy polskich 1796-1815), notatnik wojenny Ernsta Jüngera. Co jakiś czas brałem z biblioteki jeden z tomów Pawła Léautaud w wydaniu *Mercure de France*. Paul Léautaud był synem aktora, późniejszego suflera Komedii Francuskiej. Pozostawił dzienniki z lat 1893-1950, dwudziestotomowy monument dziwactwa, nienawiści i bezwstydnego odwagi. Mówiłem do M., że w tym spotwornieniu musiała być ukryta podeptana dobroć: zraniony marzyciel, tacy najdotkliwiej rania. W lecie wyjechaliśmy do Dinard.

Znalazłem niedrogi hotel pod nazwą *Océanides*. Niedaleko, w domu Biblioteki Polskiej, zamieszkali JMRowie z piętnastoletnim synem Wawrzyńcem, szachistą i czytelnikiem Spinozy, a także Andrzej Krzywicki z żoną. W pustawej restauracji hotelowej podawano nam ościste, niesmaczne ryby w sosach, z sąsiedniej salki dobiegało pokrzykiwanie papugi, która — tłumaczył właściciel — w deszczowe dni jest źle usposobiona. W Bretanii są częste deszcze, trafiliśmy na opady ciągłe, pościel była wilgotna. Kiedy papuga drzemała, zza szyb restauracji słychać było plusk ulewy, oddzielającej nas od niewidzialnych plaż i morza. Po obiedzie, zanurzeni w mgłę, pod parasolami i w płaszczech, szliśmy do domu Biblioteki Polskiej, gdzie wejście tarasowały zmoczone peleryny i parasole mieszkańców, rozpięte w przedsionku. Z przedsionka wchodziło się do salonu.

W salonie siedziało zwykle kilka osób. Grano w szachy, stawiano pasjanse, ktoś czytał książkę, staruszka w fotelu robiła na drutach. Był to pokój z dużym kominkiem, na ścianie wisiał portret kobiety w balowej sukni, chyba dziewiętnastowieczny. Przy drzwiach stała ogromna harfa z jedną tylko, zwisającą struną. Lustro nad kominkiem dawało przyćmione odbicie, miejsce pod oknem zajmował stolik do kart. Trudno by określić zapach, jakim był przeniknięty ten pokój: kurzu czy pleśni? myszy? — czułem go jednak za każdym razem wchodząc z przedsionka. Miałem przy tym wrażenie, że wchodzę w dekorację teatralną, parodiującą dawny szlachecki lub mieszczański salon i że podniszczenie sprzętów i materii, ich zmatowiała wytworność, a zwłaszcza symbolika harfy o zerwanych strunach, że zostało to umiejętnie przygotowane, ze stylistycznym wyczuciem polskiego upadku, tak aby można tu było odegrać narodowy repertuar od Fredry, poprzez *Warszawiankę* i *Zapolską*, aż do Witkacego i *Tanga* Mrożka. Kuchnia — samoobsługowa, gotowało się i podawało samemu — mieściła się w podziemi, wraz z jadalnią. Stoły nakryte ceratą, drewniane krzeselka, zawieszzone patelnie, kafelki, półki z talerzami i kubkami, to już przypominało stołówkę w Lublinie roku 1945; z salonu gość zstępował w sceneryjnego czasu. Przychodziliśmy tu co parę dni na kolację.

Nie brałem udziału w rozmowach. Zamknięcie czterotomowego cyklu *Miesiący* po niemal dziesięciu latach sprawiło, że czułem się jak emeryt, który odpracował swoje i nie ma więcej nic do powiedzenia ani do zrobienia. Ostatni tom kończyłem w pośpiechu, wybierając drogę „na skróty”, był to pośpiech człowieka zmęczonego. Teraz, wyeksploatowany, słuchałem jak Wawrzyniec Rymkiewicz, piękny i prawie dwumetrowy, o twarzy giermka w okularach, tłumaczy Andrzejowi Krzywickiemu, że zachodnie demokracje nie tworzą *sacrum*. Kiedy deszcz ustawał, wychodziliśmy na spacer. Szliśmy ponad wybrzeżem, posuwając

się gęsiego na śliskim kamiennym chodniku wykutym w skałach. Skały w Dinard są urwiste i brunatne, o zachodzie słońca mają odcień fioletowy. W trakcie spaceru trzeba się było nieraz pochylać, bo wisiały tuż nad nami, a w dole także widzieliśmy je sterczące z morza. W jednej z takich skał na wpół zatopionych w morzu pochowany jest Chateaubriand, nie w Dinard, tylko nieco dalej, w innej miejscowości. Morze kojarzyło mi się od dzieciństwa z Sopotem, z jasnym piaskiem, białym pomostem i kępami zarośli oddzielającymi promenadę od plaży. Na skały nie byłem przygotowany. (Francuski Sopot miałem odnaleźć dopiero po roku, miesiąc temu w Cabourg). Deszcz, wewnętrzna dziura po *Miesiącach*, skrzeczenie papugi, intelektualna chłopczość Wawrzyńca, alegoryczność salonu i skalistość Dinard, wszystko to, poplątane z myślami o niedawnej stracie przyjaciela, zamknęło mi usta. Przestałem mówić. W czasie spaceru pod skałami Ewa nagle przystanęła: — Dlaczego ciągle milczysz, o czym myślisz? — Jak pamiętam, nie odzywałem się przeszło tydzień.

W październiku zacząłem pisać *Sztukę konwersacji*, opowiadanie w formie dialogu; później, wiosną — biograficzny szkic o Oskarze Wildzie. Sądziłem jednak, że wrócę do *Miesięcy*, mimo iż w czwartym tomie kilkakrotnie zapowiedziałem koniec cyklu. Przyczyną było tylko zmęczenie, tak myślałem, żeby się zachęcić.

Przed miesiącem, w Cabourg, słuchaliśmy codziennie od 7-ej rano wiadomości o strajkach robotniczych w Polsce. Aby nie budzić sąsiadów w małym hotelu o cienkich ścianach, leżeliśmy oboje z głowami nakrytymi pledem, trzymając radioodbiornik między sobą. Komunikaty Wolnej Europy i BBC szeptały pod nakryciem i z tych śpiesznych, przytłumionych głosów dowiadawaliśmy się o wypadkach na Śląsku i Wybrzeżu. Późnym wieczorem, kiedy zmęczeni kładliśmy się na szerokim dwuosobowym łóżku, znów zaciągałem pled, żeby słuchać pod nim komentarzy, oświadczeń Wałęsy, wywiadów z Kuroniem, Michnikiem, Gremkiem. W pokoju na parterze koło biura hotelowego był telewizor. Po 8-ej wieczór, gdy nadaje się dziennik, wśród filmowanych wydarzeń ukazywały się zdjęcia z polskich strajków. Górnicy o młodych twarzach patrzyli na nas z ekranu.

Oprócz telewizora w tym samym pokoju stała biblioteczka wypełniona książkami. Były w niej powstawięte z osobna w różnych miejscach tomy Prousta.

„Wspominałem jego przyjazd do Balbec, za pierwszym razem, gdy ze swymi zielonkawymi oczami, ruchliwymi jak morskie fale, ubrany w jasne wełny, szedł przez hall przyległy do wielkiej, oszklonej sali jadalnej, która dawała widok na morze”.

To zdanie w *Czasie odnalezionym* dotyczy Roberta de Saint-Loup, o którym narrator rozmyśla po jego bohaterskiej śmierci na froncie. Wiedziałem, że Balbec jest kryptonimem Cabourg, gdzie Proust spędzał długie okresy na pisaniu. Przyjeżdżał tu przez siedem lat z rzędu, do wybuchu wojny w 1914. Ten hall Grand Hotelu, w którym mieszkał, mijalem prawie codziennie, bo chcąc skrócić sobie drogę do promenady nad plażą najlepiej przejść przez hotel. Do hallu przylegała ta sama oszklona sala jadalna, może nie tak wielka, jaką była w pamięci Prousta, ale pełna światła, z panoramicznym widokiem na morze. Podczas odpływu plaża wchodzi w morze bardzo daleko i nieraz przed zachodem słońca widać było z promenady kilka małych żagli z uczeplonymi ludzkimi figurkami, które ledwie potrafiłem dostrzec. Ci chłopcy na deskach z żaglem manewrowali wprawdzie blisko plaży, lecz wskutek odpływu brzeg plaży odległy był o kilometr. Przed zmierzchem wzdłuż najdalszej linii brzegu przesuwali się mikroskopijni jeźdźcy na konikach, dżokeje wyścigowi powracający z treningów. Był to znak, iż wkrótce z promenady zejść spacerowicze, nadchodziła bowiem pora kolacji. Raz zdarzyło się, że kiedy szliśmy we dwoje opustoszała już promenada, M. krzyknęła, jakby raptem pchnięta. Byłaby upadła, gdybym jej nie podtrzymał. Zobaczyłem chłopca w pomarańczowej koszulce, który uciekał. M. nosiła torebkę przewieszoną przez ramię; musiał cicho podbiec z tyłu i zerwać ją nagłym szarpnięciem. Rzuciłem się, żeby go dogonić, wołając *au voleur!* Biegłem za nim sto czy dwieście metrów, był szybszy, zabrakło mi tchu. Z jasnobieżową torebką w ręku skoczył w prawo i zniknął w uliczce za Casinem. Stałem łapiąc oddech. M. nadeszła blada, z potarganymi włosami, ale spokojna. Powiedziała, że niepotrzebnie biegłem, mogłem sobie zaszkodzić. Przystanęła koło nas osoba z pieskiem: — Widziałam jak wyrwał pani torbę, poznałabym go. Może trzeba wezwać policję? — Pojawił się też mężczyzna, który pytał, ile było w torbie pieniędzy. Sto pięćdziesiąt franków, na szczęście żadnych dokumentów. Pożegnaliśmy ich, dziękując za pomoc. M. była jednak dalej blada, nalegałem więc, żeby wrócić do hotelu. Czuliśmy się sponiewierani, wstrząśnięci. Nie strata torebki, tylko własną bezsilnością. Łatwy rabunek dokonany przez chłopca w koszulce tak sprytnie i czelnie, moja bezskuteczna pogoń, była w tym porcja upokorzenia obrzydliwa w smaku.

Wracaliśmy główną ulicą, o tej porze tłum pchał się do restauracji. Szedłem przodem, M. o kilkanaście kroków za mną. Łudziłem się jeszcze, że gdzieś wypatrzę chłopca w pomarańczowej koszulce, ale prawdę mówiąc oboje chcieliśmy jak najprędzej znaleźć się w hotelu. Kiedy spostrzegłem idącą naprzeciw wysoką dziewczynę, już z daleka uderzyło mnie jej podobieństwo, od razu wiedziałem do kogo, i w miarę jak nadchodziła, jej rysy, figura,

sposób trzymania głowy potwierdzały je coraz wyraźniej. Szła nie widząc mnie, patrząc przed siebie i chyba nagle coś ją przestraszyło. W momencie gdy ją mijalem, z wolna kroku i wskazała kogoś oczami młodemu człowiekowi, który szedł obok niej. Przypuszczam, że nie tylko bladość i szare, potargane włosy M. idącej za mną wywarły na niej tak silne wrażenie, ale że musiała zauważyć, ona także, jak bardzo są do siebie podobne. Może uroiła sobie, że widzi swoje odbicie w przyszłości, siebie po latach, i przez chwilę poczuła zgrozę na myśl że jej młodość, jak wszystko w naturze, przybierze z czasem odmienny wygląd, o innych barwach i rysunku.

O przygodzie z wyrwaną torebką postanowiliśmy zapomnieć. Kupiłem bilety na wycieczkę do Saint-Malo. Było dużo słońca, przez uliczki przelewała się masa turystów. Schodziliśmy z murów obronnych. W dole brzmiała melodia znajomej francuskiej piosenki. Mężczyzna w kapeluszu przygrywał na akordeonie śpiewającej kobiecie. Była niemłoda i niezbyt ładna, kraciastą czapkę z wystrzępionym daszkiem nosiła ściągniętą na ucho. Śpiewała mocnym, trochę ochrypłym głosem, z nogą w obcisłym sznurowanym buciku wysuniętą naprzód. Po każdej zwrotce wykonywała w stronę grupki słuchaczy retoryczny gest dużą, kształtną ręką, jakby ich zapewniając, że śpiewa prawdę: w życiu ważna jest tylko miłość. Wtedy mężczyzna z akordeonem uśmiechał się i patrzył na nią spod obwisłego ronda. W tej parze, w łączącej ją melodii było jakieś czułe powiązanie i wspólna odwaga wobec losu. Wydawali mi się szlachetni i rozumni, poetyczni w swojej rozśpiewanej biedzie. Nie odchodziłem, wysłuchaliśmy wszystkich piosenek. Zakończyli występ, kiedy publiczność się rozeszła.

Te kartki są właściwym zakończeniem *Miesiący*. Dlaczego napisałem je dopiero teraz, w rok po ukazaniu się ostatniego tomu? Tak mi się zdarzyło. Należałoby je umieścić po końcowym ustępie obecnego wydania i również w przyszłych wydaniach. Autor wierzy w swoje przyszłe wydania.

Kazimierz BRANDYS

Heim¹

To stary szpital. Budzi strach, bo rzeczywiście jest ponury. Obdrapana, brudna cegła, zacieki, uszkodzone rynny to jeszcze nie wszystko. Najbardziej trwożą te małe okienka zagubione w tych murach tak że budynek sprawia wrażenie więzienia. Zresztą jest nim poniekąd. Nie, nie tylko dlatego, że po korytarzach biega paru facetów z obrazkami² na łapach i cynkami³ w kąciku lewego oka, którzy w jakiś sposób narzucili styl życia, niejako dopełniają *Heim*. Nie, więzieniem jest dla nas całe nasze położenie tutaj: i to, co sami wytworzyliśmy, i to, co nas otacza, i przepisy nas dotyczące, i prawo dla nas, które krępuje. Zakaz poruszania się, ciągła kontrola i obserwacja, to na początku męczyło, irytowało... teraz jest już bez znaczenia. Jest do kogo jechać, nie ma; jest gdzie jechać, nie ma! po co jechać? Nie wiem, czy mnie pan dobrze rozumiał? Dla nas nie może być inaczej.

Ten *Heim* jest specyficzny, bowiem nie ma tutaj nikogo, kto przyjechałby przed majem osiemdziesiątego siódmego. Wszyscy jesteśmy tutaj tylko gośćmi, tylko chwilowo i tę właśnie tymczasowość wyczuwa się. Wszystko jest ulotne, nic stałego... żadnego

1. *Heim* — Popularne określenie kwater zbiorowych, w których mieszkają ludzie czekający na azyl. *Heimy* często są ogrodzone, wchodzi się przez portiernię za okazaniem przepustki lub tymczasowego dowodu, zwanego *szmatą*. Takie *Heimy* są np. w Zirndorfie, Helmstedt (kobiety), Brunświku (przejściowy). W *Heimach* mieszka od kilkunastu do kilkudziesięciu mieszkańców, na ogół różnych narodowości. Niekiedy *Heimy* mają kilkunastuosobowe sale z piętrowymi łózkami, ale bywają też normalne mieszkania.

2. Tatuaż.

3. Wytatuowane na twarzy kropki, oznaczające przynależność do określonej grupy. Na przykład kropka na grdyce oznacza alkoholika, na prawym policzku — homoseksualistę, na środku czoła — wariata, w kąciku lewego oka — „git człowieka”, tj. zatwardziałego i bezwzględnego kryminalistę.

planowania na rok, czy dwa, żadnych nadziei... tylko marzenia. Wisimy. Wyczuł pan to, prawda? To irracjonalne trwanie wisi w powietrzu. Ciągłe pytanie: po co? Pełne zawieszenie. Poczekałnia, getto, skrzyżowanie więzienia z hotelem robotniczym, ale nade wszystko poczekałnia. Taka jak w Koluszkach, z oplutą podłogą usianą petami, gdzie pod wyblakłym plakatem na obdrapanej ławce czeka się na pociąg, który nie wiadomo czy przyjedzie, nie wiadomo dokąd jedzie.

Heim ma trzy piętra. Parter niemiecki, pierwsze brudasów, drugie i trzecie nasze — polskie. Na parterze mieszkają penerzy⁴: alkoholicy, byli więźniowie, bezrobotni. W zasadzie są spokojni, chociaż niekiedy zapatrzą się na nasze piętra — tylko oni spośród Niemców pozdrawiają nas na ulicach. Dobrze i to. Na pierwszym piętrze kilku Turków — właściwie oprócz Imrama ciągle zmieniają się, uciekają do normalnych mieszkań — kilku Pakistańczyków i jeden Jugosłowianin. On tak jak my, nie wie kim jest. Pochodzi z Kosowa. Drugie i trzecie nasze, arcy-polskie. Nie ma drzwi, które nie byłyby skopane, czy uszkodzone, korytarz w śmieciach i petach cuchnie rozlanym olejem i moczem. Wódka smakuje, pić się chce, ale szczać także, a do kibla daleko, więc najprościej na korytarzu, a najlepiej komuś pod drzwiami. Jeszcze lepiej komuś, kogo się nie lubi. Piją faceci ze słabymi żołądkami, nie zawsze zdążą dobiec do ubikacji. Bywa, że posprzątają na drugi dzień, bywa, że nie. Wyschnie, wyparuje. Wokół mury, grube mury, małe okna, słabe światło... i zimno, cholernie zimno. Ponuro. Dlatego wszyscy nowi, którzy przyjeżdżają, tak jak ten, są wystraszeni. Kiedy tylko dowiedzą się, że jest możliwość ucieczki stąd do normalnych mieszkań, zaczyna się taniec. Czytanie ogłoszeń, szukanie pustych lokali i kontaktów, podjazdy i judzenie. Kto szybszy, kto silniejszy, kto kogo przekreśli?... Nie wiedzą jeszcze, że to beznadziejne. Żaden Niemiec nie weźmie Polaka na mieszkanie, żaden nie ma zaufania. Nie mogą być pewni, że ich nie okradnie, nie podpali, nie zrobi z mieszkania pijackiej meliny. Niemcy wstydzą się policji pod swoimi oknami. Na jak długo biorą tego Polaka — tego też nie wiedzą. Nie chcą, boją się. Dlatego jesteśmy skazani na ten *Heim*, na siebie.

Przyjechaliśmy z Posterunkowym pierwsi. Pierwsi z Polaków. Całe drugie i część trzeciego piętra były jeszcze w remoncie. Odnawiano wspólne kuchnie, przerabiano ubikacje, remontowano mieszkania. Tapety krzywo położone, wykładziny niepodklejone, gniazdzka i przełączniki wisiały na kablach albo w ogóle nie były założone, brudne ramy pociągnięto farbą, a wszystko to wbrew niemieckiej dokładności i rzetelności. Zna pan: *Ordnung muss*

4. Pener — z niem., pogardliwa nazwa człowieka, żyjącego z najniższego zasiłku społecznego.

sein. Niemcy nie musieli pracować dobrze, wiedzieli, kto będzie tutaj mieszkał... Do mieszkań tych zwożono meble, różne meble, z ulicy, z czerwonej⁵, od ludzi. Niekiedy były to porządne meble, prosto z mieszkań — ktoś kupił nowe, stare oddawał biednym Polakom. To był początek, już kształtował się *Heim*. Kto pierwszy, korzysta, kto pierwszy, ten lepszy. Zaczęły się włamania do pustych jeszcze, ale umeblowanych mieszkań. Nocne szuranie, trzaskanie, noszenie, wiecznie trwająca przeprowadzka. Doszło do tego, że gdy przyjechali nowi, weszli do pustych mieszkań. *Hausmeister*⁶, który oprócz swoich zwyczajowych obowiązków był informatorem Larwy, powiadomił ją. Jakoś rozeszło się po kościach, mimo że straszyla policję, sądem. Wtedy to trwożyło jeszcze, dzisiaj pusty śmiech, *Heim* hartuje...

Nowi są zawsze wystraszeni przy pierwszym zetknięciu z *Heimem*, później ich wsysa. Kiedy wypiją pierwszą wodę, rozejrzą się trochę, porozmawiają, pokazują siebie. Właściwie wszyscy tak zaczynaliśmy tutaj, od strachu. Nie, nie wszyscy. Gruby i Śruba od razu mieli ostre wejście. Zaraz, kiedy to było? Ja z Posterunkowym, Ormianie, Garbus i chyba oni. Nie, przed nimi sciągnął Stefan. Tak, oni mieli ostre wejście. Pijani, z butelką w kieszeni spodni, łazili po korytarzu żądając osobnych pokoi. „Nie po to jechałem pół świata, żeby spać z tym gnojem” — ryczał Gruby, wlokąc za sobą schlanego Śrubę, a ten padł na kolana przed Larwą i wstawił jej ten swój warszawski greps⁷: „Królewno, nadziejo moja jedyna złotousta, nie rzucaj mnie na kwadrat⁸ z tym bydlakiem, bo mnie zeżre cham w ryj kopany”. Wtedy to jeszcze było śmieszne. Śmieszne wejście miały także Psy: zawsze czujne i ostrożne, rolę przechwytywaczy przejęły później, z cieniem esbeka za plecami, raz tylko rozprężyły się, zdjęły maskę, właśnie wtedy, w dzień przyjazdu. Tradycyjnie, do tej pory, nowych przechwytywali Gruby, Śruba i Mietek. Śruba zagadał i Psy zaczęły stawiać. Tak, Witek miał dobry dzień. Gruby później opowiadał, jak Starszy Pies płakał i zaklinał się, że kocha „Solidarność” i Kuronia, że różnaby te czerwone kurwy, ale suchego chleba to on żreć nie będzie, ani on, ani żona nie będą stali w kolejkach, a w ogóle to nie po to robił maturę, żeby w komunie z głodu zdychać, a tak naprawdę to nikt go nie szanował, a on od początku był w związkach i działał, nawet i trzynastego to wszystkich wkoło aresztowali, a jego nie. „Patrz jaka niesprawiedliwość — szłoł na ramieniu zostałem, nie wie-

5. Czerwinka — Czerwony Krzyż. Niemiecki Czerwony Krzyż opiekuje się azylantami, dostarczając ubrań, mebli, sprzętu domowego itp.

6. Dozorca.

7. Greps — Gwara więzienna.

8. Kwadrat — mieszkanie w gwarze więziennej.

dzieli, kogo zostawili na wolności". Młodszy Pies krzyczał na cały *Heim*, że jak on do usa, tak właśnie krzyczał, do usa pojedzie, to do Busha, albo kto tam będzie pójdzie i na kolanach będzie prosił, żeby dolarów nie dawał, niech zdycha komuna, a ludzi w Polsce to mu w ogóle nie żal, niech siedzą jak głupi i wyjechać nie potrafią, bo rewolucji tam nie robią, a w ogóle najlepiej, żeby drugi stan wojenny był, to on tu zostanie i potem żona przyjedzie. Przepiły wtedy biedne Psy połowę socjału, pourywały im się filmy i długo potem nachodzili jeszcze Mietka i Grubego, by wyciągnąć z nich, co mówili.

Psy. Oni już cechami zewnętrznymi przypominają charty. Obaj wysocy, żyłaści, z resztką na głowie, mają wiecznie niespokojne, rozbiegane spojrzenie. Kiedy się na nich spojrzy, nie można się oprzeć wrażeniu, że poruszają cały czas nozdrzami, szukając czegoś, wiecznie węsząc. Poza tym dziwnie skręcają głowy, nie patrząc w oczy w czasie rozmowy, jak skarcony pies bojący się spojrzeć na pana. Teraz przechwytują nowych i pod pozorem pomocy wyciskają z nich każdą informację, to oni właśnie są najlepiej poinformowani na *Heimie*. Wiedzą, lub wydaje im się, że wiedzą wszystko o wszystkich, ale nie robią tego chyba jako delatorzy, mimo że dla większości to ubecy. Raczej wyszukują potencjalnych donosicieli i zagrożenia dla siebie. Nie wiadomo dokładnie, na czym to zagrożenie polega, ale są święcie przekonani, że komuna ma wszędzie swoje wtyczki. Popijali kiedyś z Adasiem i ten dla żartu opowiedział im, jak jego koledze założono podsłuch nad framugą drzwi. Jeszcze tej samej nocy Psy zrobiły przemeblowanie pokoju, szukając mikrofonu w meblach i ścianach. Ich prowadzenie korespondencji powinno się znaleźć we wszystkich poradnikach konspiratorów. Jeżdżą do innego miasta, ze względu na stempel pocztowy, wysyłając listy do żon na adres przyjaciół w kraju i adresując je wymyślonym nazwiskiem. Żony przesyłają im w identyczny sposób, na adres jakiegoś znajomego we Frankfurcie, skąd trafiają do nich. Psy twierdzą, że ubecja posiada adresy wszystkich *Heimów* w Bundes, więc automatycznie każdy list jest kontrolowany. Nie wyobraża pan sobie, w jaką panikę wpadli po wyjeździe Posterunkowego! Byli pewni, że po powrocie do komuny, w chwili zdawania paszportu, wyda wszystkich, którzy mieszkają tutaj, a ich w szczególności. Ta obsesja, patrząc na nią z boku, wydaje się śmieszna, ale z bliska i na dłużej jest denerwująca i jakaś śliska. Psy, oprócz tego, że są najzwyczajniejszymi plotkarzami, mają w sobie coś takiego, co każe ich się bać, czy raczej być ostrożnym. Tę właśnie śliskość nieodwzajemnionego spojrzenia. To ten gatunek, który wystawia na licytacji własną matkę chcąc ratować skórę, ale mimo wszystko raczej nie donoszą. Oni wiedzą, jak to się kończy. Jak? Opo- wiem panu, bo to charakterystyczne dla *Heimu*.

Był przez pewien czas taki facet na *Heimie*, Brudas go wołali, bo pił z Pakistańczykami. On kapował. Jakims dziwnym trafem Larwa wiedziała, co się tutaj dzieje: kto pije, z kim pije, kto kradnie, kto sprzedaje, kto kupił samochód, kto jest komu winien pieniądze i ile. Policja przyjeżdżała na *Heim*, niezależnie od rutynowych objazdów, wchodziła do mieszkań. Jak? Oni już nie pukają nawet, *Hausmeister* ma klucz. Szukała towaru. W ten sposób Henio miałby sprawę, trzymał w szafie dwie skóry z metkami, zresztą towar musi mieć metki, bo nie dadzą za niego nawet połowy ceny. Henio z tego wyszedł jakoś. Trochę to trwało, zanim doszli kto kapuje. Wie pan, co się stało z Brudasem? Wszedł kiedyś do ubikacji, a kiedy się z niej wyczołgał, miał złamany obojczyk, nos i zdeformowaną twarz, poza tym był cały zeszczany. Nie, nie ze strachu czy bólu. To oni. Leżał tydzień w szpitalu. Jeszcze w ten sam dzień policja zabrała Śrubę, Henia, Grubego, Ryśka i przesłuchiwała pół *Heimu*. Nikt nic nie widział, nikt nie słyszał, nikt nie chciał tak wyglądać. Wypuścili ich tego samego dnia, a Brudas po wyjściu ze szpitala dostał nowe mieszkanie, cztery kilometry za miastem. Tyle go było. Jeszcze długo potem Gruby palił oficjalnie na korytarzu wszystkie jego listy, jakie przychodziły na ten adres. O Brudasie się nie mówi, ale pamięta się. Podobno nie trzeźwieje, podobno chce wracać do komuny. Garbus spotkał go kiedyś w *Sozialamcie*⁹. Brudas mówił, że chciał zarobić na azyl, chciał być lojalny... Psy o tym wiedzą, byli już, więc chyba nie popełnią tego błędu... nie wiem.

Witek bije kasę nie pracując. W dwa dni po przyjeździe Witek rozglądał się, poszedł do sklepu, wziął dwa zamki, dwa łańcuchy i zamontował w drzwiach. Na trzeci dzień poszedł do Kaufhalle, wziął cztery butelki — małe butelki, bo lepiej się wynosi — i założył melinę. „Dwadzieścia lat w Polsce melinę miałem ze starą do spółki, tylko pięć kolegów i jeden wyrok. Major z ubecji przyjeżdżał do mnie pijany jak świnia i kupował flachę, pewnie, że płacił, no jak nie? Wojsko brało, wszyscy. No i co, tutaj mam nie mieć? Patrz. Są Polacy? Są, tak. No to jak są Polacy, to musi być gorzała, nie? jak sklepy zamkną, to gdzie wytną¹⁰, no? Na tankszteli? Gówna wytną, nie da się, sprawdzałem. No i co robią, no? Przyjdą do Wicia, trzy krótkie, dwa długie — to mój sygnał, z komuny — pieniążki na łapkę i po normalnej cenie dostaną, no nie?”. Witek po dwóch dniach zorientował się w tym szambie, inni potrzebują miesiąca, a poza tym jest uczciwy. To znaczy na tyle, na ile uczciwy może być złodziej. Sprzedaje zawsze po normalnej cenie i tylko jedną daje na kredyt, a *Heim* aprobeuje taki układ, to przecież takie pol-

9. *Sozialamt* — Pomoc Społeczna.

10. Ciąć — kraść.

skie. Nie wiadomo, jak on to robi, jak wynosi takie ilości, ale zawsze ma wodę i to nie tylko czystą. Klientów także mu nie brakuje, wiadomo Heim, ale kupują też u niego *penerzy* z dołu i Pakistańczycy, a często przyjeżdżają z zewnątrz, szczególnie w nocy. Miasto wie. Jest kasa? Jest. Czyste ręczki są? Są. A to tylko pięć minut strachu dziennie. I tego właśnie Szkoci mu wybaczyć nie mogą. Próbowali robić konkurencję, ale zrezygnowali po tym jak Rysiek wykopał im drzwi z zawiasów w poszukiwaniu wody. Zgubiła ich ta oszczędność, nie kupili zamków i łańcuchów, nic chyba nawet nie sprzedali. A Witek kręci dalej.

Posterunkowy... jak on miał na imię? Janusz? Nie. Nie, jednak Janusz — nie pamiętam imienia człowieka, z którym mieszkaliśmy pięć miesięcy — więc Janusz został tak nazwany, ponieważ napisał w podaniu o azyl, że codziennie nawiedzał go posterunkowy i walił pałą, czyli prześladował politycznie. Politycznie dlatego, że w osiemdziesiątym wybrali go, Janusza, przewodniczącym „Solidarności” w miejscowym POM-ie, nie wiem nawet, czy w jego wiosce był posterunkowy, ale to nieistotne. To był dobry chłopak o umysłowości dziecka, strasznie naiwny i prosty... ale spalił się. Spalił z tęsknoty za rodziną, tak jak spalają się inni. Wydawał miesięcznie dwadzieścia marek na telefony do komuny, a resztę oszczędzał. Chodził co soboty na główną pocztę i kręcił do upadłego, raz nawet pięć godzin, chcąc uzyskać bardzo ważną dla niego informację. Wie pan o co chodziło? Chciał żonie wysłać paczkę na imieniny, ale zapomniał numeru bielizny. Dbał o rodzinę. Mieszkali na małej wiosce pod Zawichostem i żona chodziła co sobotę cztery kilometry do weterynarza, bo on jeden miał telefon. Dwóch szkrabów i psa zostawiła pod opieką na wpół ślepej teściowej. Posterunkowy miał zdjęcia żony, dzieciaków i nawet tego psa, oglądał je godzinami, snując plany jak ściągnąć ich tutaj, ustawić życie w Stanach czy Kanadzie. O RPA nie chciał słyszeć, to nie jest według niego chrześcijański kraj. Zastanawiał się, jaki dom zbudować, samochód kupić, gdzie osiąść na stałe, ale najciekawsze było to, że nie zrobił żadnego kroku w tym kierunku. Początkowo nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale on w tej swojej chłopskiej filozofii był jednocześnie sprytny. Czekał na rezultaty starań innych, oszczędzając przy tym pieniądze, czas i nerwy. Tak naprawdę to stosował cały czas zasłonę dymną, tak naprawdę nigdzie nie chciał emigrować, tułać się i czekać w nieskończoność na rodzinę. Tak naprawdę to przyjechał tutaj zarobić, wrócić do Polski i kupić ziemię, wybudować dom, może kupić samochód. Nie wiedział tylko, że trafi do tak podłej dziury, gdzie nie ma dla Polaków nawet dziesięciu minut pracy... i ta nasza normalna codzienność. Zaczął się spalać, chudł ogarnięty manią oszczędzania, skręcał się psychicznie, godzinami oglądając te zdjęcia. Gdyby potrafił ukraść

chleb i masło, przez ostatnie trzy miesiące tylko tym by się żywił, nie wydałby z socjału ani feniga, nie licząc telefonów oczywiście.

Na dwa miesiące przed wyjazdem wiadome było, że chce wracać. Zaczął wtedy znosić taśmy video, damską bieliznę, ubrania, perfumy, dezodoranty — to był drobny złodziejaszek tylko na kieszenie — i całe tony zabawek. Wie pan, Lego, Barbie, małe puzzle i tak dalej. Zawsze znosił towar przed wysłaniem paczki, ale nigdy jeszcze w takiej ilości. Tak, wtedy wiedziałem, że chce wracać, poszedł do *Ordnungsamtu*¹¹ i podpisał rezygnację. Przyjechał tutaj z jedną torbą, wyjechał z czterema, a tydzień wcześniej wysłał dwie paczki. Szkoda go, to był dobry chłopak i współlokator spokojny, mało pił. Nie wiem, jak on długo będzie się golił tymi maszynkami, nie wiem kiedy jego żona kupi sobie po raz pierwszy nowe majtki w komunie, ale wiem, że był za słaby, tacy jak on w ogóle nie powinni przyjeżdżać.

To był pierwszy z *Heimu*. Po nim wróciło jeszcze trzech. Mówili, że kochają żony, jeden zostawił dziewczynę w ciąży, ale myślę, że oni też pytali: po co... i znaleźli odpowiedź. Od tych, którzy pytają trzeba się izolować, bowiem oglądanie i słuchanie ich codziennie jest taką samą czynnością jak przeglądanie się w lustrze. Oni krzywią się, coraz trudniej poradzić sobie z samym sobą... po co patrzeć w lustro?

Izolować się... przed tym co na zewnątrz i tym co tutaj.

Raz w tygodniu zakupy, raz kościół i raz cmentarz.

Na cmentarzu jest polski grób z czterdziestego siódmego roku dziewczyny, która walczyła w Powstaniu. Miała dwadzieścia pięć lat. Na płycie jest napis łaciński i potem trzy polskie słowa: „Mojej Świetlistej, Mąż”. Dzisiaj już by nikt tak nie napisał, ale nie o to chodzi. Jak potoczyły się ich losy, jak się tutaj znaleźli, jak chcieli żyć? Nie wiadomo, ale trzeba im oddać pamięć, trzeba zapalić świecę, tym bardziej teraz i tym bardziej tutaj. Trzeba... ale nawet na to nie ma sił.

Izolacja przed wstydem na zewnątrz i życiem tutaj, wewnątrz.

To pozwala na niezależność. Nie stać w środku tego wszystkiego, nie rozgrzeszać jednych, a ganić drugih, nie zajmować stanowiska, nie chwalić, nie miłować, nie gardzić... to jest luksus.

Jesteśmy zbiorowiskiem przypadkowo dobranych ludzi, wtłoczonych w te mury i już z racji tego nie ma mowy o jakiejś symbiozie. Trudno jest mówić o przyjaźniach, chociaż i te bywają, wszystko opiera się raczej na frakcjach, luźno związanych grupach, wspólnych interesach. Nie ma miejsca na indywidualność, tego

11. Urząd niemiecki.

Heim przestrzega i to nie jest dziwne, to przecież polski *Heim*. Łączy nas wspólna przeszłość, marzenia o przyszłości, lub nie łączy nic, a mimo to trwamy obok. Cały *Heim* łączy tylko socjal, wódka i listonosz.

Musi pan wiedzieć, że listonosz jest najważniejszą postacią spoza *Heimu*. On i Larwa. Larwa daje pieniądze, on listy. Dzień się liczy od przebudzenia do czasu jego przyjazdu, tj. około dwunastej, potem już tylko trzeba przemęczyć jakoś do wieczora, do zaśnięcia i na drugi dzień rano znowu czekać... może dzisiaj coś... Czekają na wszystko, list czy kartkę z komuny, odpowiedzi z jakiejś ambasady, organizacji polonijnej, parafii polskich, na listy od znajomych i rodzin w USA, Kanadzie, Australii czy też stąd. Tylko na dwa listy się nie czeka: wezwanie na policję i list z Zirndorfu. Ten drugi to strach *Heimu*, jest początkiem końca.

Heim zawsze ożywa przed dwunastą, zaczyna się ruch na korytarzu, ci co nie mają okien na ulicę kręcą się po ubikacjach, skąd widać nadjeżdżającego listonosza. Potem, gdy ten wejdzie, eskortują go, by nie popełnił błędu i nie pomylił nazwisk. On już zna ten obyczaj i poddaje mu się bez sprzeciwu, oddając listy do rąk własnych. Do rąk własnych od czasu jak Garbus poszedł ze skargą o zaginięcie dwóch listów od brata ze Stanów. To były ważne listy, w jednym było potwierdzenie sponsorowania, a w drugim jakaś ważna kopia. Mogą nie dotrzeć do adresata dla żartu, z zawiści, czy też z zemsty, dlatego *Heim* sam je odbiera. Osobiście. Chyba, że ktoś idzie w tango na kilka dni. Jego strata. Listy są bardzo ważne, przerywają monotonię, informują, tym się żyje. Małe czekanie w wielkim czekaniu. Tak, listonosz jest nasz, wspólny.

Normalnie zawiść i pogarda, podziały i frakcje. Szkoci nienawidzą Witka, wszyscy Szkotów, wszyscy zazdroszczą Garbusowi brata w Stanach, a Zygmuntowi volkslisty, Grubego i Miecia wszyscy się boją, dla Ormian pogarda — chamy. Śruba nie trawi nikogo. *Heim* to frajerzy: „... szóstkę garowałem¹², dwa i pół i trzy i pół. Pajda¹³ dziewięć”. Psy nie ufają nikomu, nikt nie ufa Psom. Zygmunt z Andrzejem kupili samochód. Pierwszy na *Heimie*. Z nikim nie zadzierali, pili normalnie, ale trzymali się raczej z boku. Ten samochód wystarczył. Pierwszą noc stał przed *Heimem*, a na drugi dzień maska była wyłamana, przewody paliwowe wyrwane i rzucone w krzaki. Szkoci byli przezorniejsi, zostawiali swój cztery ulice dalej, ale *Heim* czuwał. Po tygodniu mieli pocięte opony i dziury w karoserii. „Siedzimy w gównie,

12. Garować — w gwarze więziennej odsiadywać wyrok.

13. Pajda — w gwarze więziennej łączny wyrok.

mamy ten sam geld, wszyscy równi i nie podskakuj frajerze, bo się skręcisz”. Przyzna pan, że to takie arcypolskie. Komuna wychowała, jeżeli donos nie pomaga, to trzeba inaczej... podpalić, wytruć, wszystko, wszystko aby zniszczyć.

Wódka godzi, wódka kłóci, wódka wszystkich wyrównuje. Dla Śruby fundatorem może być frajer, czy cwel¹⁴, byle stawiał. Szkoci i Psy nikomu nie odmówią, zresztą poczęstunkiem nikt nie gardzi. A wódka jest potrzebna, pozwala zapomnieć, przecze-kać, zabić ten cholerny, wolny czas. Dwa razy dziennie film urwany. Mało! Po trzech dniach już tylko cztery małe piwa wystarczą. „Ręce? Ręce zawsze mi się trzęsły, przy młocie pneumatycznym robiłem”. I do przodu, najważniejsze, aby czas leciał. Pije się bez okazji, ale okazję można stworzyć, wystarczy iść do sklepu. Deszcz pada — pije się, list przyszedł — pije się, nie przyszedł — pije się. Co dzisiaj? Środa. To pod tę środę. Do przodu!

Różnie się pije. Można jak Śruba przez miesiąc nie trze-wieć, albo jak Psy czy Szkoci zamknąć się w pokoju i do utraty filmu. Można jak Witek przez cały dzień na lekkim rauszu nie upijając się, jak Ormianie po pół butelki przed snem. Mówili, że ostatnio coraz gorzej zasypiają, boją się. Kto się nie boi?

Trzeba odejść stąd, wyjść z tego kręgu. Kraty. Więzienie... wódka mówi. Po stokroć te same Polaków rozmowy. Po sto-kroć te same żale, wieczna licytacja. Kto, z kim, dlaczego, za ile, muszą, miałem, po co? PO CO?

„Ojczyznę, jasne, że kocham — Polska mateczka — te kurwy czerwone tak ją zgnoili. Pod mur bym ich wszystkich...”

„Mówię Heniowi, filuj¹⁵ tego przy flajszu¹⁶, on nas obci-na¹⁷, a Henio jak frajer, w dupe jebany, ładuje się na monopol i dwa Gorbacze¹⁸ w rękawy wrzuca. No i co? Gównu, shalto-wali¹⁹ go przy kasie. Nie chodzę więcej z gnojem, jak jest pijany...”

„Ty, wiesz co? Poszliśmy wczoraj do czerwonej po pościel i mówim jej *brauche*²⁰, ten no, no właśnie, bet wesza²¹, a ta stara szmata mówi najn. Ja mówię habe kaj²², a ona dalej najn,

14. Cwel — w gwarze więziennej podczłowiek, najniższy stojący z wię-ziów, często gwałcony, bity i poniżany przez współtowarzyszy.

15. Filować — uważać, patrzeć na kogoś.

16. Mięso.

17. Obcinać — obserwować.

18. Gorbacz — wódka „Gorbaczow”.

19. Shaltować — z niem., zatrzymać.

20. Potrzebuje.

21. Bettwäsche — pościel.

22. Habe keine — nie mam.

no patrz jo staro france. A po nas Turki przyszlisi dwa worki wyniesli, no. Patrz, brudasom dała, a nam nie...”

„Miałem ten butik, no i co z tego? Jak nie kręciłeś na lewe rachunki, albo bez rachunków, to nie wyszedłeś na swoje. Nerwówka bracie, nie wiesz kiedy Urząd Finansowy wpadnie ci na kontrolę, co miesiąc trzeba dawać w łapę, lizać dupę. Kwiatki, koniaczek, czekoladki, kawa. Znajomego skasowali, dostał sześć milionów domiaru, zabrali samochód, telewizor, video. Teraz siedzi tutaj, tak, też o azyl prosił, ale pisał, że ma robotę u ogrodnika, pięć na godzinę. Mało, ale i tak się odkuje...”

„Żeby gdzie jako robotę dorwał, to by dobrze było...”

„... a kiedy już tam wyjedziesz, to będziesz znowu pytał. Będzie tak samo jak tutaj, to wszystko będzie wracało, tam nie ma ziemi obiecanej. Zobaczysz człowieka na ulicy i pomyślisz, że jest podobny do Pszoniaka, mignie ci twarz w tłumie, ale to nie będzie twarz twojej siostry. Przejdziesz koło ogrodu i zobaczysz taką jabłoń, jaka rosła u twojej babki w ogrodzie. To wszystko będzie wracało, kradzione jabłka, pierwsza dziewczyna, kawałek pejzażu — nie, nie jestem pijany — a kiedy będziesz miał już to, co chciałeś, ten zaszary samochód, mieszkanie, dom czy Bóg wie co jeszcze, wtedy będziesz znowu pytał: Po co? Czy warto? Nie, nie pierdolę, zobaczysz...”

Nocne Polaczków niemieckie rozmowy. Wieczna licytacja, wieczny żal, wieczne pytania.

Trzeba krat, silnych krat, by się odciąć. W każdym więzieniu są kraty... tutaj trzeba je mieć w sobie.

A taniec trwa. Brzęk trzaskanego szkła, ktoś spadł z krzesła, zbiły się szklanki, weźmiemy z czerwonki. Chudy wyrzucił telewizor przez okno, kajn problem, załatwi się nowy. Ktoś śpiewa, ktoś tańczy, znowu uderzono człowieka w twarz. A karuzela się kręci, ktoś nie śpi, aby spać nie mógł nikt. Dzień przeleciał, jutro też jest dzień... Jaki?

Czekamy.

„Żeby jako prace dorwał...”. Jaka praca? Dla kogo praca? Nawet gdyby ktoś pracował, *Heim* czuwałby, tak jak czuwał kiedy Adam pracował przy sadzeniu drzewek. Pracował tylko tydzień, bo tak długo mógł ukryć ranne wstawanie i późne powroty. Po tygodniu pracodawca wymówił mu, odebrał jakiś telefon z ostrzeżeniem. Bał się, tak jak boją się inni. Znają nas i znają naszą mentalność. Jacek mówi perfekt po niemiecku i nie znalazł nigdzie pracy, wszędzie słyszał „nie”, gdy mówił, że jest Polakiem. Szkoci zjeżdżali pół landu i pracowali tylko kilka dni przy zbieraniu malin.

Rozbija się tutaj jeszcze jeden polski mit. Wyjechać, popra-

cować i wrócić. Posiedzieć rok, dwa i zarobiony wrócić, a tam już panisko, można nawet z konta żyć. Ale tej pracy wyszuranej kolanami w kościele, wymarzonej po prostu nie ma. Praca to pieniądź, ale nie tylko. To także czas, czas który wtedy umyka. Pracując nie ma się czasu chodzić na sklepy, nie ma czasu myśleć, nie ma bólu... to też ważne. Pieniądź? Tak, ma pan rację, pieniądze są ważne, najważniejsze. Dla tych, którzy wracają i dla tych, którzy chcą jechać dalej.

Nie ma pracy, więc czekamy. Ta absolutna tymczasowość wyciska takie piętno, że stopniowo się zatracamy. Czy warto przyklejać ten kawałek tapety, który odkleił się dwa miesiące temu? Może wyciąć²³ farbę, pomalować okna? Są brudne i zażółcone, ale takie zostaną, farbę się sprzeda. Prać firany? Po co? Wisały pół roku, to powinny jeszcze... no właśnie. Ile, ile miesięcy? Dwa, cztery, drugie sześć, ile? Jak zabić ten lejący się czas? Przy stole z Moskiewską, przy damie karo i królu trefli? Spać czternaście godzin na dobę? A może jak Ormianie, dziadki wkuwające przez dziesięć godzin dziennie słowniczek angielsko-polski. Po co angielski? Wyjedziemy dalej? Niemiecki? Po co? Ile tutaj jeszcze? Radio, telewizor. Jak długo można?

Co robić?

Jest późno... trzeba iść do Witka. Nie.

Jest późno, jest ciężko, ale ten nowy jeszcze o tym nie wie... to samo do niego przyjdzie, będzie się uczył *Heimu* jak abecadła, ale najpierw będzie pytał, tak jak wszyscy pytają. Kiedy już nie mylą drzwi i wiedzą, gdzie są ich kuchnie i ubikacje, wtedy pytają, jakie mają prawa i co im się należy. Nigdy o obowiązki, zawsze o prawa. Nie wiedzą, jeszcze nie wiedzą, że nie mamy żadnych.

Heim jaki jest, nie jest jeszcze najgorszym, co być mogło. Ci, co przyjeżdżają z przejściówek wiedzą o tym. Wiedzą, że można siedzieć na dziesięcioosobowych salach, gdzie w jednym kącie grają w karty, w drugim piją, wokół gwar, szum, gdzieś się szarpia. Wiedzą, że można dostawać dwadzieścia marek kieszonkowego miesięcznie, może pięćdziesiąt, raz na tydzień suchy prowiant i codziennie gorącą breję. Ci wiedzą, ale tych jest mało. Większość nowych nie potrafi docenić tego, co im tutaj stworzono. Tych trzystu pięćdziesięciu marek miesięcznie, z których dwieście nawet można zaoszczędzić i tego pokoju, własnego pokoiku, gdzie się można ukryć, gdzie jest miejsce na prywatność.

Ale to jest ten polski mit, o którym już panu wspominałem — „wyjechać, zarobić”, i ten blask Zachodu z filmów, gazet,

opowieści. I drugi wielki polski mit: „Nam się należy, bo Szwaby płacą za wojnę. Wymordowali ludzi, wymordowali czy nie? No, to niech płacą teraz”.

Nieodrodne dzieci systemu z całą jego ignorancją, agresywną nietolerancją i pogardą, pogardą przede wszystkim. Ta pogarda, wywodząca się z przekonania o własnej wyższości, oryginalnej niepowtarzalności. Ale dla Niemców jesteśmy tylko Polaczkami, małymi, zapitymi, wulgarnymi Polaczkami. To się widzi ze sposobu patrzenia, pełnego pogardy i litości, ze sposobu rozmowy, lekceważącego i przymusowego. Wiadomo, co myślą o nas w sklepach, jak się zbywa w urzędach. Pozorna grzeczność, fałszywy uśmiech, chłodna rezerwa. To jest ta zewnętrzność, przed którą się trzeba bronić, zamknąć się, odgradzić... Nie iść ulicą pod pręgierzem porozumiewawczych spojrzeń, nie stać w sklepie słysząc dwuznaczne szmery. Wtopić się w ten tłum, niech nie akceptują, ważne, by nie wytykali. Wstyd jest mówić w swym ojczystym języku, śmieszne mówić innym. Cięży ta polskość jak kamień i jeszcze tyle w niej pogardy dla innych, dla Turków, Pakistańczyków czy Kurdów. Nie, nie dla Pakistańczyków i Turków, dla brudasów, bo tak ich *Heim* ochrzcił w imię swej wyższości rasowej i kulturowej. To nie jest istotne, że gdzieś tam trwa wojna, ludzie codziennie narażają życie, głodują i uciekają, naprawdę uciekają. Co to obchodzi Mietka, który stoi w oknie, ilekroć wprowadzają się nowi Turcy na pierwsze piętro i ryczy tak, że słysząc go na Tirschstrasse: *Zurück nach Hause, brudasy*²⁴? Co to obchodzi Chudego, on ma już jasny pogląd: „Azyl? Azyl to powinni tylko Polacy dostawać. No, kto miesza komunie, no kto robił 'Solidarność'? Czesi? Czesi to tchórze. Rumuni złodzieje. Bułgarzy to gnojki, prawie Rusy, Helmuty z enerdówka, no oni się nie liczą, i tak tu zostają, nie? Węgrzy też frajerzy. Co? No nie, dobra, oni też trochę czerwonych wytłukli, kiedy to było, pięćdziesiąty szósty, tak? No dobra, my i Węgrzy, a reszta *weg*, paszli won. Co brudasy? No co ty? Czarne frajerstwo, z powrotem na drzewo, nie?”. Widzi pan, *Heim* wie, kto jest dobry, a kto zły, komu azyl, kto ma wrócić.

Azyl... azyl to największe marzenie *Heimu*, takie samo jak dziadek w Wehrmachcie, ale nierealne i *Heim* wie o tym. Nie wiedzą, albo raczej nie wierzą w to tylko Psy. Młodszy Pies oburzył się do tego stopnia, że uderzył Mietka w twarz, kiedy ten pijany krzyczał: „Ty kurwo polityczny! Ty esbeku, gnoju pierdolony! Jesteś taka sama szmata jak ja. Jacy my polityczni? Pracować kurwa przyjechaliśmy i ciąć. Chuja dostaniesz, a nie azyl”. Psa oczywiście najbardziej zdenerwowało, że ktoś zarzucił mu apolityczność — zna pan ten typ „działacza” solidarności-

24. Wracać do domu, brudasy.

wego, który obudził się w sierpniu i zasnął ponownie w grudniu, prawda? — i zapomniał się, a mogło to dla niego skończyć się szpitalem. Mietek to dwa wyroki z Polski, artykuł pięćdziesiąt sześć i dwieście dziesięć. Wie pan co to jest? Chuliganka i napad z rabunkiem. Ja też nie wiedziałem, ale *Heim* uczy. 208, 210, 56 to tutaj najpopularniejsze artykuły. Miecio, Gruby, Śruba, Henio, Rysiek, Krawiec to właśnie to. Nawet Adam i jeden z Ormian zahaczyli o więzienie, ale z innych artykułów. To od ich przyjazdu zaczęły się sklepy, Rysiek z Henkiem otworzyli *Heimowi* oczy: „Człowieku, towar leży, tylko brać. Krótka obcinka i nie ma sprawy. Nie pękaj, do Żyda pójdziesz i za połowę ceny... Ja ci nie mówię, żebyś ty video wynosił albo skóry, ale przecież żarcia nie będziesz kupował, tak?”. To chwyciło. Dziś codziennie wywoził pod dwukilogramowym woreczkiem ziemniaków dwie butelki. Po miesiącu miał ponad czterdzieści, zaniósł do knajpy Hartmana i skasował około trzystu marek. Pozostał tylko jeden problem — ziemniaki. Chodził po całym *Heimie* prosząc, by ktoś kupił, w końcu wzięli niezawodni Szkoci za jedną trzecią ceny.

„Nie ma pracy, trzeba ciąć, to też praca, nie? Co ty frajerze do komuny przywieziesz, no co przywieziesz? Tauzent²⁵, dwa, no i co to jest? Patrz, idziesz do sklepu i bierzesz dziesięć kompaktów²⁶, nie? Na drugi raz znowu dziesięć i tak do setki. Po miesiącu masz setkę i nie musisz codziennie chodzić, idź trzy razy w tygodniu. Przychodzisz do mnie i jedziemy do Żyda. Ja ci to sprzedaję po piętnaście, nie, po dziesięć i masz tauzent. Trzy razy w tygodniu tylko chodzisz!”. Ale to wszystko jest na krótki dystans. Karol ma zakaz wstępu do Kaufhalle, Chudy i Miecio do Familii, prawie każdy z tych co chodzą na gruby towar był już łapany. Prawie każdy z nich już płacił *strafe*²⁷, tutaj złodziej płaci *strafe*, jeżeli zostanie łapany, chyba że nie ma dokumentów, wtedy dzwonią po policję, ale stary złodziej nie rusza na sklep bez szmaty²⁸. Co myślał kierownik Kaufhalle, kiedy Karol po raz drugi płacił *strafe*? „Znowu Polak”, może „Polaczek”, nie biedak, nie pener, nie dziad, tylko właśnie tak: „Polaczek”.

Żal mi trochę tego nowego, wie pan? On jeszcze nic nie wie, a już przegrany. On nie wie, że gdy tylko detektyw sklepowy usłyszy jego polszczyznę — bo on nie wie nawet, że wychodząc z *Heimu* trzeba polski zapomnieć — nie odstąpi go na krok. Ten nowy jest jeszcze czysty, a już przegrany. Wszyscy jesteśmy przegrani na jeden sposób.

25. Tysiąc.

26. Płyt kompaktowych.

27. Kara.

28. Dowód osobisty.

Niemcy latami starali się o sprowadzenie swych rodaków z Sowietów, Rumunii czy Polski i nagle... *pieriestrojka*, otwarto granice, a całą Bundes załapała fala przesiedleńców, wszystkie obozy przejściowe zatłkane do granic możliwości. Dla współrodaków nie ma mieszkań, pieniędzy i pracy, a na dodatek portami, lotniskami pchają się Polacy prosząc o azyl. Trzeba ich przyjąć, tak mówi Konstytucja, trzeba ich przyjąć, ale długo nie trzymać, tym bardziej, że prędzej czy później z Polaków robią się Polaczki. Oprócz tego jest stary problem turecko-jugosłowiański, trzeba więc oczyścić tę stajnię Augiasza. I druga strona. Czy zauważył pan, jak sprytną i taktyczną grę prowadzi komuna? Wiedzą doskonale, jaka jest sytuacja tutaj, w Bundes, znają także swych obywateli. Wydają więc paszporty na lewo i prawo. Dostaje każdy kto ma pieniądze na wycieczkę lub kupi sobie zaproszenie. To perfidna, jak zwykle u nich, gra, załatwiają bowiem kilka interesów na raz. Komuna zawsze stara się upiec co najmniej dwie pieczenie na ogniu. Przede wszystkim zatykają usta opinii publicznej na Zachodzie, osiągając w ten sposób jakiś sukces propagandowy, stwarzając w ten sposób pozory demokracji. Druga sprawa to nasza sytuacja tutaj. Oni wiedzą doskonale, jak trudno jest wyemigrować, jak mało czasu na to mamy. Wiedzą także, że wielu przyjechało tutaj popracować i zarobić, tam zostali rodziny, więc wróć. Ale nade wszystko znają polską mentalność, jak wracać to z towarem, gotówką. Po prostu wstyd jest siedzieć tutaj rok czy dwa i wrócić z pustymi rękami. Nie uchodzi. Czekać więc spokojnie na powrót synów marnotrawnych, czekają, licząc, kto ile przywiezie. Pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy marek! Tak, ten to dobry Polak. Ten tylko dwa? Dobrze i to.

Komuna załatwia jeszcze jeden interes, pozwalając przyjeżdżać tutaj takim jak Henio, Gruby czy Śruba. Wiedzą doskonale, że to społeczeństwo będzie miało ich kiedyś dosyć — już ich nie trawia, ale miara się jeszcze nie przebrała, jeszcze są humanitarni — i wymusi na swym rządzie odpowiednie ustawy, tak jak ta o zniesieniu *duldungu*²⁹. To wszystko się skończy, nie będzie po co tutaj przyjeżdżać, nie będzie miał kto przyjeżdżać, a ci, którzy będą chcieli emigrować, dalej będą jeździć gdzie indziej, może do Hiszpanii. Obie strony będą zadowolone. Niemcy opustoszeją, będą mieszkania, pieniądze i praca dla przesiedleńców. Komuna też będzie szczęśliwa, Polacy przestaną uciekać, a obywatel będzie umierał tam, gdzie jego miejsce, w ojczyźnie — Polsce Ludowej.

Wspominałem już panu, że *Heim* nie liczy na azyl, ale nie chce także wracać, przynajmniej nie teraz, dopiero jak zarobi.

29. Pobyt tolerowany.

Dlatego też prawie wszyscy zarejestrowani są w biurach emigracyjnych licząc na to, że otrzymają *duldung* do czasu ewentualnej emigracji. To jest możliwe, ale tylko w Nadrenii-Północnej Westfalii, tam można wycofać wniosek azylowy i przejść na *duldung* oczekując emigracji. Tutaj nie, tutaj czeka się tylko na azyl. Trzeba robić wszystko, aby stąd wyjechać dalej, albo żeby zostać. Każdy chwyt jest dozwolony. *Volkslista*, która przez tyle lat chowana była głęboko w szafie, jako wstydlivy dowód zdrady, jest teraz dla Zygmunta najcenniejszym dokumentem. To byłby drugi polski Niemiec z *Heimu*. Pierwszym był Małpa. On też złożył na pochodzenie, ale *Heim* nie spał. *Ordnungsamt* złożył mu rewizję dokumentów i nie jest to dziwne, bo Małpa był szóstym z kolei, który szedł na te same papiery. Deportują go pewnie. Gruby też coś kombinuje z lewymi papierami, ale boi się, na razie czeka. Dzidzius z Krawcem przez dwa miesiące studiowali ogłoszenia matrymonialne. Skończyło się na studiowaniu. Andrzej wysłał listy do wszystkich prawie ambasad i konsulatów w Bundes z prośbą o pomoc w emigracji. Ormianie też piszą prawie wszędzie, gdzie tylko jest cień nadziei. Każdy nowy adres organizacji polonijnej czy parafii, instytucji mogących pomóc w emigracji jest pilnie strzeżony przez posiadacza. Szkoci pobili się między sobą, kiedy młodszy wysłał list do parafii polskiej w Edmonton i nie powiedział o tym starszemu. Stara zasada *Heimu*: kto pierwszy ten lepszy, kto szybszy i sprytniejszy, ten przekreśli innych.

Idą listy do USA, Kanady, Australii, Nowej Zelandii, RPA, listy pełne wiary i nadziei. Długo nie ma odpowiedzi, trzeba wypić. Jest odpowiedź! Nie mogą pomóc... trzeba wypić. „Znowu wszystko przez Żydów”. USA zawiesiło emigrację dla Polaków, przeznaczają fundusze na Żydów rosyjskich. „Jak tu nie być antysemitą?”. Polonia kanadyjska nie chce sponsorować indywidualnie nieznanymi osobami. Rodziny chcą i mogą sponsorować swych krewnych, ale obcemu nikt nie zaufa. To zrozumiałe. Ci, którzy spalili ziemię tutaj, pojechali palić ją dalej. Może to nie ci sami, może inni, nieważne. Ważne jest to, że ci ludzie, tam, boją się nam zaufać, nie chcą kolejnych rozczarowań — Polaczek wytrwale pracuje na swoją opinię. Ta sama sytuacja jest z Australią. Jacek dostał list od pewnej firmy z RPA, firmy, którą prosił o sponsorowanie, tej mniej więcej treści: Osobiście nie radzimy Panu przyjeżdżać tutaj. Potrzebujemy wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Do prac fizycznych mamy czarnych współmieszkańców. Tyle. Nawet tam nas nie chcą. Pozostaje sponsor rządowy, ale to jest wysoki pułap. Trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje, znać język i posiadać gotówkę. To także jest zrozumiałe. Dla nich liczy się interes kraju. Zgoda... I wie pan, co w tym wszystkim jest najgorsze? Że to wszystko jest tak

cholernie logiczne, że to rozumowanie nie ma żadnej luki, w którą można by się było wczepić i mieć chociaż nadzieję.

Znowu ta bezwolność bez możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu. „Pozostaje mieć nadzieję i czekać” — jak napisał ktoś z organizacji polonijnej w Kanadzie. To ważne, że odpisał.

Heim czeka. Pił mniej, będzie więcej; kradł mniej, będzie więcej. Spała się. Czekają.

Nowy jeszcze nie wie, ale też będzie czekał.

Dariusz MACA

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

T A Z A B LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wiersze

Zbigniew HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE PIÓRA ATRAMENTU LAMPY

1.

Zaprawdę wielka i trudna do wybaczenia jest
[moja niewierność]
bo nawet nie pamiętam dnia ani godziny
kiedy was opuściłem przyjaciele dzieciństwa

naprzód zwracam się kornie do ciebie
pióro z drewnianą obsadką
pokryte farbą lub chrupkim lakierem

w żydowskim sklepiku
— skrzypiące schodki dzwonek u drzwi oszklonych —
wybierałem ciebie
w kolorze lenistwa
i już wkrótce nosiłeś
na swym ciele
zadumę moich zębów
ślady szkolnej zgryzoty

srebrna stalówka
wypustko krytycznego rozumu
pośtanko kojącej wiedzy
— że ziemia jest kulista
— że proste równoległe

w pudelku sklepikarza
 byłaś jak czekająca na mnie ryba
 w ławicy innych ryb
 — dziwiłem się że tyle jest
 przedmiotów bezpańskich
 i zupełnie niemych —
 potem
 na zawsze moją
 kładłem cię nabożnie w usta
 i długo czułem na języku
 smak
 szczawiu
 i księżycy

atramencie
 wielmożny panie inkauscie
 o świetnych antenatach
 urodzony wysoko
 jak niebo wieczoru
 schnący długo
 rozważny
 i cierpliwy bardzo
 w kałamarzach przemienialiśmy ciebie
 w morze Sargassowe
 topiąc w mądrych głębinach
 bibułę włosy zakłęcia i muchy
 aby zagłuszyć zapach
 łagodnego wulkanu
 apel przepaści

kto was dzisiaj pamięta
 umiłowani drubowie
 odeszliście cicho
 za ostatnią kataraktę czasu
 kto was wspomina z wdzięcznością
 w erze szybkich głupiopisów
 aroganckich przedmiotów
 bez wdzięku
 imienia
 przeszłości

jeżeli o was mówię
 to chciałbym tak mówić
 jakbym wieszał ex voto
 na strzaskanym ołtarzu

2.

światło mego dzieciństwa
 lampa błogosławiona

w sklepach starzyny
 spotykam czasem
 twoje zhańbione ciało

a byłaś dawniej
 jasną alegorią

duchem uparcie walczącym
 z demonami gnozy

cała wydana oczom

jawna
 przejrzyste prosta

na dnie zbiornika
 nafta — eliksir pralasów
 śliski węzł knota
 z płomienistą głową
 smukłe panińskie szkieleto
 i srebrna tarcza z blachy
 jak Selene w pełni

twoje humory księżniczki
 pięknej i okrutnej

bisterie primadonny
 nie dość oklaskiwanej

oto
 pogodna aria
 miodowe światło lata
 ponad wylotem szkiełka
 jasny warkocz pogody

i nagle
 ciemne basy
 nalot wron i kruków
 złorzeczenia i kłatwy
 prorocstwo zagłady
 furia kopciu

jak wielki dramaturg znałaś przybój namiętności
i bagna melancholii czarne wieże pychy
łuny pożarów tęczę rozpętane morze
mogłaś bez trudu powołać z nicości
krajobrazy zdziczałe miasto powtórzone w wodzie
na twoje skinienie zjawiali się posłusznie
szalony księżę wyspa i balkon w Weronie

oddany byłem tobie
światlista inicjacja
instrumencie poznania
pod młotami nocy

a moja druga
płaska głowa odbita na suficie
patrzyła pełna grozy
jak z łoży aniołów
na teatr świata
skłębiony
zły
okrutny

myślałem wtedy
że trzeba przed potopem
ocalić
rzecz
jedną
małą
ciepłą
wierną

tak aby ona trwała dalej
a my w niej jak w muszli

3.

Nigdy nie wierzyłem w ducha dziejów
wyдуманego potwora o morderczym spojrzeniu
bestię dialektyczną na smyczy oprawców
ani w was — czterej jeźdźcy apokalipsy
Hunowie postępu cwałujący przez ziemskie i niebieskie stopy
niszcząc po drodze wszystko co godne szacunku dawne i bezbronne

trawiłem lata by poznać prostackie tryby historii
monotonną procesję i nierówną walkę

zbiarów na czele ogłupiałych tłumów
przeciw garstce prawych i rozumnych

zostało mi niewiele
bardzo mało

przedmioty
i współczucie

lekkomyślnie opuszczamy ogrody dzieciństwa ogrody rzeczy
roniąc w ucieczce manuskrypty lampki oliwne godność pióra
taka jest nasza żłudna podróż na krawędzi nicości

wybacz moją niewierność pióro z archaiczną stalówką
i ty kałamarzu — tyle jeszcze było w tobie dobrych myśli
wybacz lampo naftowa — dogasasz we wspomnieniach jak
[opuszczony obóz

zapłaciłem za zdradę
lecz wtedy nie wiedziałem
że odchodzicie na zawsze

i że będzie
ciemno

Zbigniew HERBERT

Archiwum polityczne

Burma na trudnej drodze do demokracji

Przybysz z Polski lądujący w Burmie doświadcza dziwnych uczuć. Otacza go egzotyczny pejzaż ze spiczastymi białymi lub złotymi pagodami wśród palm, tłum odziany w kolorowe sarongi, po birmańsku zwane *lungdzi*, z przesuwanymi się majestatycznie buddyjskimi mnichami w ciemnoczerwonych czy brązowych szatach, osłaniającymi głowę wachlarzem z palmowego liścia, niezwykłe zapachy i uliczne psy, gorliwie obszczekujące „obcego”. Dziwna mieszanina wpływów kulturowych południowo-wschodniej Azji, Chin, południowych Indii i Cejlonu, dziesiątki rodzimych grup etnicznych, Chińczycy, indyjscy muzułmanie, resztki dawnej kolonialnej świetności Imperium Brytyjskiego, której nie przykrył jeszcze blichtr nowoczesności. Kiedy jednak rozmawia się z ludźmi, poznaje nieco głębiej mechanizmy polityczne i gospodarcze, słucha narzekań, odnosi się dziwne wrażenie, że przybyło się do drugiej Warszawy, tyle że pod palmami, i z pomieszaniem epok.

Wielkie propagandowe plakaty i malowidła mają wprowadzić napisy birmańskie (pismo to wywodzi się ze starożytnego języka *pali*), ale powiewają na nich czerwone sztandary i szczerzą zęby w szczęśliwym uśmiechu robotnicy z młotami w rękach oraz chłopcy ze snopami zboża, maszerujący w socjalistyczną przyszłość. Takie same powielano w dziesiątkach tysięcy w Polsce lat pięćdziesiątych, w Moskwie aż po czasy *pieriestrojki*, w Chinach Mao czy na Kubie Fidela Castro. Na dworcach spotkać można było młodzież w niebieskich mundurach pod czerwonymi sztandarami, jadącą budować drogi czy realizować inne ambitne plany partii i rządu. A jeśli przyjrzeć się ich robocie, widać było wyraźnie niewspółmierność kosztów akcji „burmańskich ZMP-owców” do

rezultatów pracy. Miejscowi chłopcy zrobiliby to i lepiej, i za jedną dziesiątą straconych pieniędzy. Ale przecież chodziło o efekt propagandowy i polityczny, nie o realną użyteczność tego, co się buduje.

Gdy generał Ne Win w 1962 roku dokonał zamachu stanu i wprowadził Burmę na „drogę socjalistycznego rozwoju”, w ramach likwidacji „prywatnego wyzysku i pasożytnictwa społecznego” znacjonalizował niemal wszystko i wygrał „bitwę o handel”, upaństwowiając nawet ulicznych sprzedawców warzyw z dwoma koszykami na nosidłach. Następstwem tego były oczywiście puste półki sklepów, kartki bez pokrycia, kolejki, kupowanie spod lady. Wieść gminna głosi, że gdy zaczął zakładać spółdzielnie rolnicze, nawet Rosjanie mu to odradzali. Jednak porady z różnych stron nie wstrzymały go. Dopiero milczący ale zacięty opór chłopstwa wymusił zaniechanie akcji. Na chwałę generała należy zapisać, że cofnął się w tym momencie przed zastosowaniem stalinowskiego czy polpotowskiego terroru (choć był pierwszym niekomunistycznym przywódcą, który pojechał ucałować Pol Potą).

Wzorce demokracji także zostały zapożyczone z krajów „realnego socjalizmu”: wybory typu plebiscytu, z kandydatami wysuwanymi przez władze i „wybieranymi” automatycznie, z Burmańską Partią Programu Socjalistycznego jako jedyną dozwoloną, której Komitet Centralny jest super-rządem, z fasadowym parlamentem i takimiż radami lokalnymi. Wszystko pod nadzorem jawnej i tajnej policji. Dwie były jednak istotne różnice: partia przez cały czas swego istnienia pozostawała strukturą fasadową, w rzeczywistości rządziła armia, oddelegowani oficerowie zarządzali fabrykami, sklepami, kolejami itp., jak w Polsce stanu wojennego. Ponadto socjalizm został tam ogłoszony „buddyjskim” i reżim starał się włączyć całą miejscową hierarchię mnichów do sfery rządowej, powierzając im ważne funkcje propagandowo-wychowawcze. W teorii dystansowano się tyleż od marksizmu-leninizmu, co od zachodniego kapitalizmu, w praktyce jednak elementy filozofii i moralności buddyjskiej łączono z koncepcjami i mechanizmami rządzenia wywodzącymi się ze stalinizmu.

Odmienne od wielu krajów Trzeciego Świata, które wkroczyły na drogę „budowy socjalizmu”, Burma zachowała też całkowitą niepodległość. Wiązało się to z rozwijającym się w bezpośrednim sąsiedztwie konfliktem wietnamskim. By uniknąć wciągnięcia doń, rząd przestrzegał ścisłej neutralności, prowadząc wręcz politykę izolacjonizmu. W związku z tym, mimo podobieństwa systemu gospodarczo-politycznego, zachowywał dystans do obu walczących ze sobą komunistycznych gigantów. Nie bez znaczenia było też istnienie w Burmie dość silnej komunistycznej

partyzantki, wspieranej z Pekinu, i licznej emigracji chińskiej, podatnej na maoistowską propagandę. W rezultacie tamtejszy neostalinizm miał charakter autochtoniczny i nie korzystał ani z politycznego, ani z militarnego wsparcia Moskwy.

Rezultaty jednak okazały się dość podobne do osiągniętych w Polsce, Rumunii czy na Kubie. Podczas gdy niekomunistyczni sąsiedzi rozwijali się, największy niegdyś azjatycki eksporter ryżu i jeden z bogatszych krajów regionu zaczął mieć kłopoty z zaspokojeniem elementarnych potrzeb ludności; zaczęło brakować ryżu, oleju (na którym przyrządza się większość potraw), kupno kawałka materii na sarong stało się problemem. Rozwinęły się monstrualna korupcja, nepotyzm, czarny rynek. A ludność, która początkowo zaakceptowała nowy system ludziona wizją utopijnej szczęśliwości i bałamucona nacjonalistyczną propagandą, zaczęła coraz bardziej dystansować się od reżimu. Niesprawność systemu stała się ewidentna. Oto jeden obrazek, dość typowy, jakże dobrze znany i nad Wisłą:

FAO udzielił Burmie bezzwrotnego kredytu w wysokości trzech i pół miliona dolarów na projekt rozwoju rolnictwa w Ye Zin. Zbudowano tamę, która miała umożliwić nawodnienie rozległych obszarów i stworzono tam Instytut Rolniczy i Akademię Rolniczą, mającą kształcić kadry. Prace budowlane przy planowanych gmachach zaczęto w 1970 roku, ukończono je wszakże dopiero po dziesięciu latach. Z oddali budynki prezentują się dość okazale, są nawet dość ładne. Lepiej jednak nie podchodzić do nich zbyt blisko. Duża część cementu zniknęła podczas budowy, „zagospodarowana” przez kierowników i robotników, którzy w ten sposób uzupełniali swoje mizerne płace. W rezultacie ściany składają się głównie z kamieni i piasku i nawet niewielkie trzęsienie ziemi (a w Burmie zdarzają się one często) musi spowodować zawalenie gmachów. W porze deszczowej woda przecieka przez dachy i sufity. Cuda działy się także ze szkłem, armaturą itp., a wszystko wykonane zostało byle jak, z tysiącem drobiazgów, które nie funkcjonują od samego uroczystego otwarcia. Nie można także reperować urządzeń sanitarnych i innych elementów wyposażenia, gdyż część z nich była importowana, a innych po prostu brak na rynku. Zaniedbane więc „nowoczesne centrum” popada w ruinę. Ten sam los podzieliło wyposażenie. Otrzymane buldożery, traktory i inne maszyny rolnicze, jeśli jeszcze pozostały w centrum, stoją bezużyteczne w hangarach. Zaniedbane, bez części zamiennych, których dostać nie sposób, są po prostu bezużyteczne, te zaś nieliczne, które jeszcze są w stanie jeździć, też stoją, gdyż kierownictwo boi się, aby się nie zepsuły. Cóż by wówczas pokazali przy kolejnych wizytach oficjeli? Ponadto przydziały paliwa są tak mizerne, że

starcza go najwyżej na okolicznościowe pokazy, nie zaś do pracy. Studenci uczą się wprawdzie o nowych technikach i maszynach, ale nie widzieli ich nawet na oczy; realnością „wzorowego gospodarstwa” są prastare pługi zaprzężone w woły. Środki chwastobójcze, które otrzymano, zostały wzięte przez armię, teoretycznie miały służyć zwalczaniu plantacji opium, w praktyce zostały użyte do walki z partyzantką i wspierającą ją ludnością, do niszczenia pól w rejonach poza kontrolą rządu.

Praca badawcza jest niemożliwa bez chemikaliów, przyrządów, literatury zagranicznej, nikt też właściwie nie jest zainteresowany jej rezultatami. W związku z tym naukowcy zesłani do głuszy myślą głównie o tym, jakby się z niej wyrwać. Studenci zaś szybko orientują się, że ich nauka nie interesuje tu właściwie nikogo poza kilkoma zapaleńcami, jedyną troską władz jest zaś zapobieżenie jakiegokolwiek ich działalności i dyskusjom politycznym. Wieczorem trudno nawet wyjść na spacer, gdyż okoliczni chłopcy, którym odebrano ziemie na instytut, traktują personel i studentów jako zakaleń ich życia, można więc łatwo dostać kamieniem albo kijami od wiejskich osiłków. Zbyteczne dodawać, że i zapowiadana irygacja nie funkcjonuje, więc pożytek „z nowoczesnego centrum rolniczego” mają głównie ministerialne myszy, które mogą gryźć dowolni optymistyczne sprawozdania.

Sytuację rządu komplikowały problemy narodowościowe. Po epoce kolonialnej odziedziczono liczną imigrację Hindusów i Chińczyków. Łącznie około miliona osób, a jeśli doliczyć małżeństwa mieszane i potomków z nich zrodzonych, to znacznie więcej. Tak się zaś złożyło, że znaczna część Hindusów i Chińczyków oparowała handel, bankowość, załazkowy przemysł, wolne zawody. Reformy nacjonalizacji łączono więc z „burmanizacją”, z likwidowaniem szkół owych mniejszości, z pozbawieniem ich części praw obywatelskich, pracy, itp., Inspirowano nawet pogromy i repatriacje. Krótkotrwałe korzyści w sferze polityki wewnętrznej i zdobywanie poparcia społecznego łączyły się z rozlicznymi negatywnymi konsekwencjami.

Nacjonalistyczna polityka i odrzucanie wszelkiego dialogu zaogniły stosunki także z innymi grupami etnicznymi (jest ich ponad 60) zamieszkującymi głównie tereny przygraniczne. Wiele z nich, odmiennie od Burmańczyków, znanych jest z bitności i talentów wojskowych. W epoce kolonialnej korzystały one z szerokiej autonomii, niektóre miały silne poczucie narodowe. W pewnych wypadkach dołączały się do tego element religijny, bitni Karenowie są na przykład w większości chrześcijanami. W rezultacie rząd utracił kontrolę nad ponad połową terytorium i większą częścią granic lądowych. Z grup partyzanckich i sił samoobrony administracji lokalnych zrodziły się armie rebelianckie, którym

armia rządowa z trudem stawia czoła w bezskutecznie ponawianych ofensywach. Szacunki wydatków wojskowych rządu są rozmaite; różne źródła podają je w ostatnich latach na 40-70 % budżetu. Wraz z upadkiem prestiżu rządu i narastającym niezadowolaniem nasiliły się działania armii rebelianckich, terroryzm miejski, działania partyzantki komunistycznej, a jeszcze bardziej nacjonalistycznej, wywodzącej się z kręgów dawnego premiera U Nu. W połowie lat osiemdziesiątych te rozmaite siły antyrządowe zaczęły współpracować ze sobą, doszło nawet do faktu przełomowego, porozumień między partiami i armiami mniejszości etnicznych i burmańską opozycją w kraju i za granicą. Rozpoczęto opracowywanie programów przyszłej Burmy, która byłaby wspólną ojczyzną dla wszystkich. Za obietnice szerokiej autonomii przywódcy grup etnicznych zgodzili się zrezygnować z hasel secesji i niepodległości ich narodów. Tak zaczął się kształtować wspólny front oporu. Miało to poważne znaczenie psychologiczne, przełamało nacjonalistyczną propagandę rządową i podważyło hasła „obrony ojczyzny”.

Spółeczeństwo burmańskie też nie było całkiem bierne. Należy tu wspomnieć o tradycjach ruchu niepodległościowego w epoce kolonialnej, z którego wywodzili się Aung San, U Nu i Ne Win. Burma była jednym z nielicznych krajów azjatyckich, które wykorzystały uniejętnie okres drugiej wojny światowej. Patriotci burmańscy zaakceptowali współpracę z Japończykami i marionetkową niepodległość pod ich patronatem. Stworzyli silną armię (pod wodzą Aung Sana) i sieć organizacji niepodległościowych, które w ostatniej fazie wojny przeszły na stronę aliantów. W rezultacie Anglia, nie mogąc przywrócić *status quo ante*, musiała się zgodzić na przyznanie Burmie niepodległości (1948) i jej wyjście nawet ze Wspólnoty Brytyjskiej. Zastąpienie demokracji parlamentarnej przez socjalistyczny reżim wojskowy spotkało się z protestami i demonstracjami. Głównym ośrodkiem oporu stał się Uniwersytet Ranguński. W początkach czerwca 1962 rząd wojskowy uciekł się do użycia siły, nie mogąc inaczej przełamać oporu studentów. Do akcji weszły czołgi. Padło 114 zabitych, po czym nastąpiły prawdziwe polowania na studentów, a zabytkowy budynek, w którym mieścił się sztab akcji, historyczne centrum ruchu niepodległościowego, został wysadzony w powietrze. Brutalność tej akcji i zniszczenie gmachu-symbolu narodowego pozostawiło niezagojoną bliznę w pamięci narodowej. Nie przypadkiem dyktator Ne Win niemal połowę swego ostatniego przemówienia na nadzwyczajnym zjeździe rządzącej partii (23 lipca 1988) poświęcił tym właśnie wydarzeniom, starając się zrzucić odpowiedzialność za nie na innych. Wielkie masowe demonstracje antyrządowe nastąpiły w związku z pogrzebem U Thanta, sekretarza generalnego ONZ, którego rząd chciał pochować bez rozgłosu,

a który stał się symbolem narodowym, będąc „wielkim Burmańczykiem” sceny międzynarodowej.

Nowe przesilenie zaczęło się jesienią 1987 roku. W obliczu niezmiennie trudnej sytuacji ekonomicznej i gigantycznego „nawisu inflacyjnego” rząd uciekł się do środka nadzwyczajnego: ogłosił wymianę pieniędzy, banknoty większych nominałów można było wprawdzie wymienić, ale należało udokumentować ich pochodzenie, powiązane to było ze skomplikowaną procedurą biurokratyczną i było ograniczone do kilku dni. W rezultacie tylko niewielka część banknotów wycofanych (80 % wszystkich środków pieniężnych) mogła zostać wymieniona. Operację tę ponowiono pod koniec roku, a w marcu 1988 ogłoszono kolejne unieważnienie banknotów, tym razem nawet bez teoretycznej możliwości wymiany. Środki te, rzekomo skierowane przeciw czarnemu rynkowi i nielegalnym fortunom, uderzyły we wszystkich, zdeorganizowały rynek i obrót pieniężny. Spowodowały nieuniknioną ucieczkę od pieniądza, niebawmy wzrost cen czarnorynkowych i pogłębiły nędzę codziennego życia.

Ponadto władze eksportowały ryż, którego brakowało na rynku wewnętrznym, aby uzyskać dewizy potrzebne mu na spłacanie procentów od zaciągniętych kredytów i na zakupy broni. Chociaż zagraniczne zadłużenie Burmy jest niewielkie (ocenia się je na 3,8 miliarda dolarów), spłata zadłużenia okazała się niemożliwa przy niewielkim eksporcie. Zaniedbania w przemyśle petrochemicznym (Burma ma własną ropę) spowodowały konieczność jej importu, co też okazało się niemożliwe przy braku środków i paraliżowało transport. Pod koniec epoki generałów nasiliło się również wywożenie fortun za granicę, sprzedaż całych partii towarów na prywatny rachunek polityków itp.

Od marca 1988 wrzenie zaczęło rozlewać się po kraju. Głównymi jego ośrodkami stały się uniwersytety. Ich zamykanie niewiele pomogło, podobnie jak wprowadzenie godziny policyjnej i innych środków nadzwyczajnych. Zdesperowane tłumy zaczęły palić budynki partyjne i rządowe, rabować państwowe składy ryżu, atakować komendy policji. Strajki i manifestacje paraliżowały normalne życie. Brutalne ataki policji i wojska tylko chwilowo ratowały sytuację władz. Ocenia się, że od marca do lipca padło około 3.000 zabitych. Wielka liczba ludzi aresztowanych i torturowanych w najwymyślniejszy sposób, studentek gwałconych „dla postrachu” na posterunkach policji itd., tylko rozjuszyła tłum. Szpital miejski w Rangunie, gdzie wtargnęło wojsko w poszukiwaniu rannych i wobec odmowy ich wydania otworzyło ogień do lekarzy i pielęgniarek, stał się centrum wielotysięcznych manifestacji, nowym symbolem martyrologii narodu. Co gorsza, coraz częściej dochodzić zaczęło do bratania się żołnierzy z manifestantami i do odmowy wykonania rozkazu.

W tej sytuacji wśród najwyższych dostojników zaczął się ferment, gdyż zwątpili oni w skuteczność, a nawet możliwość kontynuowania akcji represyjnych wobec społeczeństwa. Jednym z pierwszych, którzy otwarcie wystąpili z protestem wobec Ne Wina, był generał Aung Gyi, jeden z najwyższych dowódców armii. W długim liście do dyktatora opisywał kolejne wydarzenia, zezwierzczenie sił policyjnych i specjalnych oddziałów wojskowych, masakry, tortury, potajemne palenie ciał, by ukryć ślady zbrodni. W społeczeństwie, które ma głęboko zakorzeniony szacunek dla życia i praworządności, wydarzenia które nastąpiły od marca wywołały szok. Poprzednie dystansowanie się od reżimu, narzekania i niechęć zastąpiła zaciekle nienawiść. Klasztory buddyjskie, które w dawnych latach wspierały reżim, też w nowej sytuacji zmieniły postawę, a tysiące młodych mnichów kroczyło w pierwszych szeregach codziennych niemal demonstracji. Zaczynały się one od żądań ekonomicznych, od domagania się ukarania winnych pierwszych mordów, a przerodziły w powszechne żądanie likwidacji monopartyjnych rządów, przywrócenia demokracji i wolnych wyborów. Nieprzypadkowo jednym ze stałych miejsc manifestacji stało się poblize ambasady amerykańskiej. Po części chodziło o poczucie większego bezpieczeństwa, jakie zapewniała bliskość dyplomatów i dziennikarzy zagranicznych, ale w grę wchodziły także symbole. Tłumy wołające „przez z socjalizmem”, żądające wolności działań gospodarczych i politycznych widziały w USA ucieleśnienie swych aspiracji.

W obliczu narastających trudności gospodarczych rząd podjął wprawdzie próby reform, ale przyszły one za późno i nie przewidywał zmian politycznych. Najbardziej znaczący był dekret z początków września 1987 roku, zezwalający na kupno, sprzedaż, przewóz i przechowywanie żywności przez osoby prywatne. Było to jednak tylko usankcjonowanie wieloletniej praktyki „czarnego rynku”, który już właściwie „czarnym” nie był, gdyż handel odbywał się publicznie i prywatny obrót żywnością był codzienną praktyką. Rząd rezygnował więc ze złudnego monopolu skupu i sprzedaży żywności, ale zarazem kończył pewną epokę w ideologii. Zabrakło mu jednak śmiałości w nakreśleniu dalszych reform i chęci porozumienia ze społeczeństwem. Gmach budowanych przez lata socjalistycznych iluzji, oparty na dość powszechnych nastrojach lewicowych, wywodzących się jeszcze z ruchu niepodległościowego, rozsypywał się.

23 lipca przewodniczący partii i faktyczny dyktator Ne Win ustąpił, a Aye Ko, sekretarz generalny, na tym samym pospiesznie zwołanym nadzwyczajnym zjeździe partii wygłosił zaskakujące przemówienie. Zaproponował utrzymanie monopolu państwowe-

go tylko na eksploatację lasów, kopalin, w przemyśle zbrojeniowym i transporcie, poparcie dla rozwoju prywatnej przedsiębiorczości w przemyśle, handlu oraz dla *joint ventures*, likwidację państwowego monopolu na handel zagraniczny. Reformy miały także objąć zezwolenie na prywatne wydawanie gazet i czasopism, co kończyłoby państwowy monopol informacyjny. „Produkcja ulega obniżeniu — mówił on — przedsiębiorstwa [państwowe] nie mogą być sensownie zarządzane, jakość pracy pogarsza się, a straty i marnotrawstwo nie poddają się kontroli”. Referat ten wywołał burzliwą dyskusję, pierwszą od ponad dwudziestu lat. Chociaż ustępujący Ne Win zaproponował referendum, czy system monopartyjny ma być utrzymany, większość delegatów opowiedziała się za kontynuacją twardej linii. Na miejsce Ne Wina wybrano Sein Lwina, dotychczasowego ministra spraw wewnętrznych, który w ostatnich miesiącach zdobył sobie miano „rzeźnika Rangun”. Najbliżsi współpracownicy dyktatora ustąpili razem z nim, ale władza pozostała w rękach tej samej wyalienowanej grupy wojskowo-partyjnych aparatczyków.

Zjazd ten i późniejsze kosmetyczne zmiany reżimu, przeprowadzone na sesji marionetkowego parlamentu, zaogniły tylko sytuację zamiast ją rozładować. Po 17 dniach przebywania u władzy Sein Lwin musiał ustąpić w wyniku manifestacji, które ogarnęły wszystkie wielkie miasta kraju i strajków, paraliżujących jego życie. Dalsze represje sparaliżowały armię, która otwarcie zaczęła wypowiadać posłuszeństwo generałom, obrońcom twardej linii. Przywództwo objął Maung Maung, profesor politologii, absolwent Harvardu, jedyny dość znany (także za granicą) intelektualista reżimowy. Był on jednak nazbyt skompromitowany swoim chwaleniem Ne Wina i kierowaniem prokuraturą. Powszechnie żądano jego ustąpienia i wolnych wyborów. Zapowiedziany przezeń na 12 września nowy nadzwyczajny zjazd partii, który miał zdecydować o referendum (Maung Maung zapowiedział, że w wypadku odrzucenia propozycji referendum w sprawie systemu monopartyjnego poda się do dymisji) i zaniechanie represji przeciw manifestantom nie wystarczyły. Manifestacje uliczne i wiece trwały nadal, w trzymilionowym Rangunie gromadziło się niekiedy około miliona ludzi! Strajk generalny sparaliżował kraj. Kontrola nad wieloma miastami i powiatami przeszła w ręce powołanych naprędce komitetów obywatelskich. W końcu sierpnia w stolicy powołano komitet porozumienia narodowego, na którego czele stanęli sędziwy U Nu, generał Aung Gyi, pierwszy rebeliant reżimu, i Aung San Suu Kyi, córka bohatera narodowego Aung Sana. Komitet ogłosił gotowość utworzenia Rządu Tymczasowego. Studenci ogłosili utworzenie ogólnokrajowego związku, pierwszej niezależnej organizacji, która w praktyce kieruje akcjami i strajkami w rejonie stołecznym. W wielu

ministerstwach odbywają się zebrania, na których funkcjonariusze odcinają się od reżimu (Maung Maung zapowiedział zwalnianie opozycjonistów z administracji państwowej, ale nie ma już na to siły). Dziennikarze prasy i radia wyrazili ubolewanie z powodu kłamstw, jakie musieli głosić przez lata i zapowiedzieli, że odtąd będą podawać tylko prawdę. Gazety obwieszczają, że zrywają z reżimem. Aktywni są pisarze, aktorzy, śpiewacy manifestujący z narodem. Komitety Odbudowy Demokracji w Burmie, główna organizacja burmańskiej emigracji, działająca nadspodziewanie skutecznie, wymogła na władzach Wspólnego Rynku, na państwach Europy Zachodniej i USA zawieszenie wszelkiej pomocy dla rządu i dostaw broni. W związku z tą akcją, która spotkała się ze zrozumieniem zachodnich rządów, Ne Winowi i Sein Lwinowi będzie bardzo trudno znaleźć kraj, który zgodziłby się ich przyjąć na swe terytorium, mimo dawnych wieloletnich powiązań z kręgami *business'u*. W wyniku akcji i nacisków wspomnianych komitetów na ambasady Burmy za granicą, wielu ich pracowników opowiedziało się przeciwko rządowi Maung Maunga.

Gdy piszę te słowa w początkach września, kryzys w Burmie trwa nadal, trwają strajki i manifestacje. Upadek socjalistycznej, neostalinowskiej dyktatury wydaje się przesądzony. Kraj ten wkracza w najbardziej dramatyczny okres swej historii, stoi przed trudną perspektywą odbudowy zrujnowanej gospodarki i demokratycznych instytucji, ułożenia stosunków z mniejszościami etnicznymi i sąsiadami, znalezienia nowego miejsca na mapie świata po latach samoizolacji. Faktem też jest narastająca anarchia i gwałtowny wzrost przestępstw kryminalnych, którym daremnie starają się zapobiec komitety obywatelskie, organizujące obronę ulic i kwartałów miejskich. Reżim generałów pozostawił po sobie pustkę polityczną; brak autorytetów społecznych, kadr administracyjnych, menadżerów, przywódców. Czy nowi ludzie, którzy wyrosli na fali protestu, potrafią pokierować również procesem odbudowy? Czy zachowawcze siły w armii nie podejmą próby nowego puczu? Czy kompromitacja terminu „socjalizm” oznacza, że zarzucone zostaną także socjalistyczne ideały, że społeczeństwo zaakceptuje łatwo nowe mechanizmy wolnego rynku i gospodarki kapitalistycznej, zwykle przybierającej w krajach biednych formę drastycznego wyzysku? W Burmie oznaczać to musi powrót do indyjskiej i chińskiej dominacji w działalności gospodarczej. Czy zatem nie nastąpi nowa eksplozja nacjonalizmu? Wszystkie te pytania pozostają na razie bez odpowiedzi. Jasne jest tylko, iż Burma rozwiązywać będzie swoje problemy bez obcej ingerencji i sprzyja temu obecna sytuacja międzynarodowa. Jeśli jej się uda, będzie to pierwszy przypadek zastąpienia neostalinowskiej dyktatury przez demokrację parlamentarną. Jest to proces trudny, tym bardziej, że garnki świecą dnem.

Post scriptum

Próba utworzenia alternatywnego rządu przez sędziwego U Nu nie powiodła się. Wierząc w magię swego imienia, sam wyznaczył ministrów; tak powstała efemeryda polityczna nie uznana nawet przez opozycję, z której przywódcami posunięcia tego nie uzgodnił. Miał zjednoczyć naród, stworzył nowe właśnie i podziały. Nawet wielkie historyczne postacie przegrywają, gdy w zadufaniu nie chcą się liczyć z nowymi siłami i gdy nie mają poparcia społecznego, rodzącego się ze zbieżności działań przywódcy z oczekiwaniami mas. W chaotycznej, zmieniającej się z dnia na dzień sytuacji zaczęła rysować się możliwość kompromisu między przywódcami opozycji a Maung Maungiem, niezdolnym do opanowania nastrojów i przywrócenia porządku w kraju, ale wciąż mającym za sobą znaczne siły armii. Wydawało się, że w ciągu kilku dni powstanie jednak rząd tymczasowy, który byłby uznany przez społeczeństwo, a któremu zarazem grupa rządząca zgodziłaby się przekazać władzę. 18 września poszukiwania takiego kompromisu zostały dramatycznie przerwane. Podobnie jak 13 grudnia w Polsce, armia — pozornie osłabiona i po części dzieląca nadzieje mas — pokazała kły w obronie starego porządku. Generał Saw Maung dokonał w nocy zamachu stanu, rozwiązał parlament, rozpuścił nieudolny „legalny” rząd i sam objął władzę, ogłaszając, że został „wybrany” premierem przez oficerów. Do swego rządu włączył osoby cywilne i zapowiedział, że zamierza przeprowadzić wolne wybory, gdy sytuacja się unormuje. Protesty i demonstracje uliczne zasypał gradem kul. Wedle niepewnych, jak zwykle w takich sytuacjach, ocen padło wiele set, może nawet ponad tysiąc ofiar. Do tego dołączyły się masowe areszty. Próby walk ulicznych nie powiodły się, cywile nie byli w stanie oprzeć się uzbrojonej armii pod sprawnym dowództwem. W ciągu tygodnia sytuacja została poniekąd opanowana. Tysiące studentów i innych uczestników ruchu ucieka teraz przed represjami na tereny przygraniczne, znajdujące się pod kontrolą sił zbrojnych mniejszości etnicznych, od lat walczących przeciw reżimowi, z nadzieją podjęcia walki partyzanckiej. Do zwycięstwa generałów przyczyniło się też z pewnością zmęczenie społeczeństwa trwającym kryzysem; niełatwo jest w imię świetlanej przyszłości bronić chaosu. Szalał przecież czarny rynek, kupno najprostszych rzeczy stało się niemal niemożliwe, życie było sparaliżowane, a w nocy domy padały ofiarą band rabusiów, gdyż policja i wojsko nie pokazywały się na ulicach. Czy tylko by nie jątrzyć tłumów? Niektórzy twierdzą, że była to świadoma strategia, ukryty zamiar przestraszenia społeczeństwa wizją stanu, w którym nikt nie jest pewien nie tylko swego mienia, ale i życia. Tak bezradny

rząd Maung Maunga pomógł swoją niemocą generałom. Tym razem brutalne represje stłumiły opór. Była to zapewne prawidłowość „opadającej fali” rozhuśtanych nastrojów społecznych, które mają swą fazę wznoszącą, ale i opadającą. W początkach października przyszłość Burmy rysuje się ponuro, dyktatura wojskowych umacnia się, ale czy na długo? Kluczową postacią opozycji staje się teraz Brang Seng, przewodniczący Narodowego Frontu Demokratycznego, który jednoczy niemal wszystkie ruchy mniejszości etnicznych. Teraz dołączają doń Burmańczycy.

Krzysztof GAWLIKOWSKI



HASKOBA Ltd.

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO
BONY DOLAROWE -
KONTA „A” DEWIZOWE
Zwykłe i Telegraficzne
LEKARSTWA - SAMOCHODY -
ŻYWNOSĆ - TELEWIZORY - VIDEO
EMERYTURY - SPADKI -
REPATRIACJE**

**42 LATA DOŚWIADCZENIA
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919**

KULTURA I JEJ KRAĞ

Les amis de Kultura, Paryż, 1988, str. 203.

Pierwsza historia Instytutu Literackiego
i przedstawienie jego dorobku: katalog-album
z okazji wystawy Czterdziestolecia

Zawiera:

- biogramy twórców Instytutu Literackiego, jego czołowych współpracowników i autorów;
- 10 szkiców o historii Instytutu Literackiego, jego działalności wydawniczej, wkładzie do literatury polskiej i światowej, stanowisku wobec najważniejszych problemów życia narodowego, związkach z krajem;
- 120 ilustracji, w tym wiele nieznanych fotografii i dokumentów;
- pełny spis autorów „KULTURY”.

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich oraz
na zamówienie w Instytucie Literackim.

Nakład ograniczony.

Cena 380 F.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Zgadzam się z naszą propagandą: „Będziemy długo pamiętać tę wizytę”. Popłynęły rzeki lizusostwa, strumienie pochlebstw, rozlano morze banału i to wszystko dla człowieka, który wcale tego nie wymagał. Generał pływał w samouwielbieniu. Biedak ma poważny uraz syberyjskiego zesłańca, nieoperacyjnego guza strachu. Nic dziwnego, że nie panował nad sobą i publicznie odetchnął z ulgą: na Kremlu jest ktoś, kogo bać się nie trzeba.

Trzeba przyznać, że Raisa i Michaił Siergiejewicz wyglądają sympatycznie i mają pewną swobodę bycia, która zdarza się światłym samowładcom, gdy żyją w przychylnym im czasie. To prawda, że rozmawiali z Polakami jak z małymi dziećmi, ale przecież tak właśnie mówi się do obywateli ZSSR. Jako że nam trochę jeszcze brakuje do sowietyzacji, ów ton wydał się śmieszny.

Stałem oko w oko z plutonem babć, który rzucony został na trasę przejazdu dostojnych gości. Kobieciny były uzbrojone w kije zakończone szpikulcami i na to przemysłne urządzenie nadziewały śmieci. Ten szpikuliec znamionuje u nas nową erę cywilizacyjną, gdyż dotychczas kije były zakończone niczym.

Postanowiłem dołączyć do entuzjazmu mieszkańców naszych miast, o którym pisała prasa, ale ulice były puste. Dopiero przy alei Sobieskiego dostrzegłem gestwę milicyjnych patroli, a w krzakach czterech robotników z pobliskiej budowy w lekkim przykucu i z wyrazem twarzy ludzi, których czeka za chwilę wielka i nieopisana radość. Jeden spowaźniał i wyciągnął z kieszeni butelkę. Pociągał z niej dzieląc się sprawiedliwie — każdemu według potrzeb — z wprawą, jaką dają tylko lata upartej praktyki. Coś mnie nagle pchnęło i zbliżyłem się do nich: „Towarzy-sze robotnicy, toż Michaił Siergiejewicz będzie tędy jechał, a wy

wódeczkę pijecie! — Pieprz się pan — burknął jeden. (Było trochę brutalniej, ale nie chcę narażać redakcji tak zacnego pisma na konieczność cenzurowania). — Zdżisiu, uważaj, to murowany ubek.

— Chcesz się napić, koleś? — rzekł trzeci, najwyraźniej człowiek ze zmysłem politycznym.

Podziękowałem grzecznie i oddaliłem się, bo zawstydziłem się nagle, że pocziwiałem ludziom zakłócam ich największą życiową radość. A z drugiej strony, Michaile Siergiejewiczu (jeśli można tak z wami *po otczestwu*), przecież podobnie pije 5 milionów Polaków, sami z siebie tak piją, a także dzięki waszej sąsiedzkiej pomocy. Z nimi więc pogadać, a nie z przesianym mieszczańsko-burżuazyjnym tłumem na chodnikach.

Pierwsze od czasów Aleksandra II spotkanie władcy Rosji z polską inteligencją. Gdyby Gorbaczow chciał się streścić w jednym zdaniu, jak to uczynił w 1856 roku car bawiąc w Warszawie, powiedziałby do szanownego grona — możecie sobie panowie pomarzyć, możecie pomarzyć.

O tak, w dziedzinie marzeń postęp jest bez wątpienia wyraźny. Gorbaczow słuchał, uśmiechał się, czasami pokazał zmarszczkę na czole, a kilkunastu polskich intelektualistów odtąńczyło niezgrabny taniec wolności i przyjaźni. Patrzyłem i słuchałem, jak Żukrowski z Safianem, a na dokładkę Sandauer gromili tchórzliwych wydawców, stalinizm i poddawali w wątpliwość samo istnienie partii! Jakże wszyscy odważni i krytyczni, ale na długość poluzowanego łańcucha. Zabrał też głos pułkownik-pisarz Przymanowski i zdaje się, że od nadmiaru wrażeń popadł w szaleństwo. Poza tym były dwa nieprzyjemne dla gościa pytania, a ogólnie to żałość. Należy jednak podkreślić, że nie wszyscy zaproszeni przyszli. Wśród tak zwanych przyzwoitych zaproszonych rozdzwoniły się telefony, składano też liczne wizyty dyplomatyczne. Iść? Nie iść? Wertowano mnogie kodeksy moralne zapisane przez ostatnie lata w społecznej świadomości. Żaden nie przewidywał tak niezwykłego przypadku, jak spotkanie z głową Imperium. Poczęto więc rozglądać się nerwowo wokół. K. idzie, więc ja też mogę — mówił R. i tworzyły się łańcuchy już zdecydowanych. A Wajda? Nie idzie! Łomnicki też nie! I z tego narodził się łańcuch nieobecnych. Co robić, iść, nie iść? Każdy czas ma swoich Hamletów.

Po całej tej wizycie pozostał niesmak. Nie dlatego, że w ramach jawności pokazano ubikację (a ze szczegółów nawet bidet!) w rezydencji, gdzie mieszkali dostojni goście. Przypiębiało to pełzanie przez czołganie, jakie wykonała nasza władza. Nie oszczędzono nawet dzieci. Mała dziewczynka, która miała wręczyć

kwiaty dostojnym gościom w Poroninie, popłakała się ze strachu. Nasza propaganda onanizowała się tym wydarzeniem przez całe tygodnie. Lektorzy telewizyjni sami płakali ze wzruszenia. Gorbaczow był taki dobry dla małej, przytulił ją i nawet nie zjadł, a Raisa podarowała jej bransoletkę!

Nie upieram się, że nie ma w Polsce ludzi, którzy uwierzyli w Gorbaczowa. Na ogół jest to ta sama klientela, która biegnie pod kościół, gdy gruchnie wieść, że na jego dachu pokazała się Matka Boska. Ludzie chcą cudu. Ja też. Ale jestem sceptykiem i nie wystarcza mi, że zapalą reflektory. Cenię pragmatyka Gorbaczowa i wiąże z nim wcale niemałe nadzieje. Nie w tym jednak upatruję szansę, że zdoła on zmodyfikować Imperium — to perspektywa upiorna — ale że próbując tego uruchomi siły, które Imperium niszczy.

Temat emigracyjny wystąpił z brzegów kilku podziemnych pism i rozlał się szeroko po całej prasie. Poruszył nawet kościelne ambony, skąd księża mówią o emigracji z równym ubolewaniem jak o skrobaniach. Ludzie jednak, szczególnie młodzi, z równym zapałem stąd wyjeżdżają, jak i usuwają niechcianą ciężar. Trzeba przyznać, że to drugie w istotny sposób zmniejsza przyszłą emigrację. Zresztą dzisiaj być młodym Polakiem to trochę tak jak być w ciąży i nie wiedzieć, czy się donosi. Powodów do wyjazdu jest tysiące. Ja sam, gdyby nie łańcuch ślepego przywiązania, co mnie tu trzyma, wyjechałbym już dzisiaj z powodów... estetycznych, dla dziecka, by nie stać w kolejkach, nie widzieć urzędów, nie wahać klatek schodowych, z powodu benzyny, zatrutego powietrza, mleka, zatrutych słów... No już wystarczy. Obecnie, jeśli w ogóle można mieć nadzieję, że nie wyemigruje cała młodzież, to tylko dzięki Zachodowi, który począł się dławić Polakami. Wąskim gardłem stają się korytarze wizowe w ambasadach. Przejszć Alejami Ujazdowskimi nie można, żeby nie potknąć się o wystające w dzień i w nocy członki jakiejś kolejki. Jak wiadomo, początek wszelkich towarzyskich spotkań zaczyna się u nas od gwałtownej giełdy: co, kto, gdzie może. Mięso, papier toaletowy, części samochodowe, meble, hydraulik... Teraz zaczyna się licytacja pytaniem o znajomych w zachodnich ambasadach.

Spotykam na ulicy emerytowaną dziennikarkę, która pracowała niegdyś w bardzo partyjnym piśmie. Spojrzała na mnie z oburzonym zdziwieniem, jak kiedyś ja patrzyłem na znajomego, o którym myślałem, że już dawno umarł.

— Był pan za granicą, słyszałam, i wrócił pan jednak. Po co, na Boga? Tylko starzy mają prawo tu zostać... nam i tak już nic nie zaszkodzi.

Coś się we mnie wzburzyło, nie tyle na postawienie sprawy, ale na to, kto ją stawia. I musiałem całą siłą woli powstrzymać lewą nogę, która najwyraźniej zamierzała wymierzyć babie kopniaka. Przepraszam za chamstwo mej lewej nogi, ja w całości nie zwykłem nikogo kopać. Mój gniew stąd, że pamiętam ową kobietę — nieco młodszą — gdy stała na pierwszej linii frontu z miotaczem gówna w ręku. (Czy nie zauważył pan — zwierzył mi się niedawno pewien stary i słynny pisarz — że tu wszystko jest pokryte cieniutką warstwą gówna. Ja mam słaby wzrok, mogę się mylić, ale powonienie mnie dotychczas nie zawodziło). Wracając do naszej dziennikarki — jej gazeta stanowiła część sztabu najeźdźczej armii, która zrujnowała Polskę. I teraz ci starzy przestępcy wojenni — bo jak inaczej ich nazwać — wołają do nas z balkonów swojej emerytury: Uciekajcie, kochane dzieci, uciekajcie, bo się wali. My, starzy, tu zostaniemy, przypilnujemy naszych cmentarzy, przegranych powstań i naszego Sierpnia. (O tak, Sierpień '80 też już jest wspólny).

Nieszczęścia, jak wiadomo, chodzą wilczymi stadami, więc nie dziwnego, że wkrótce spotkałem intelektualistę związanego z obozem władzy. Oj, maluczko ich, maluczko, więc każdy się domyśli, kiedy powiem, że podobny do krokodyla. Co pan myśli o emigracji? — zapytał otwierając szeroko paszczę. Po czym, nie czekając na odpowiedź (co ma w zwyczaju), pouczył, że gdy chodzi o dzieci, to nie ma co się wahać i trzeba wysłać. On sam osobiście nie może sobie darować, że bawiąc przed laty w Paryżu nie został tam na stałe. Nie mógł jednak wiedzieć, do jak rozpaczliwej sytuacji kraj nasz zostanie doprowadzony. Potem skarżył się, jak straszliwie wieje nudą oraz brakiem myśli na różnych naradach, na które z urzędu zmuszony jest chodzić. Zakończył akcentem osobistym: w tym roku już nawet talonów na samochód nie dają, trzeba będzie na czarnym rynku...

Niezwykła książka Markiza de Custine „Listy z Rosji” została wpuszczona w krwiobieg drugiego obiegu. Porażający przenikliwością opis Rosji XIX wieku. Wśród wielu fragmentów, które należałoby wynotować, zwraca uwagę następująca myśl: „Zwyczaj pierwszym skutkiem cywilizacji jest ułatwienie życia materialnego, tutaj zaś wszystko jest niesłychanie trudne. Przebiegła apatia — oto tajemnica życia większości narodu”. Ta „przebiegła apatia” uderzyła mnie szczególnie, gdyż odnosi się również do współczesnej Polski. Aktualność tej książki w stosunku do sowieckiego Imperium stanowi zły znak dla *pieriestrojki*. Tak silnie zakorzenionej tradycji nie obala się za pomocą mydła i proszku do prania. Znajomi wracający z ZSSR opowiadają, że wszystko, co jest tam zmianą, dzieje się niejako na wierzchołku lodowej

góry, gdzie odmarzła jedna kropelka. (Góra smoły byłaby lepszą metaforą, ale do smoły nie pasuje kropelka).

Pamiętam, że gdy czas „Solidarności” chylił się ku swoim kresom, przerażała mnie myśl, że w razie nieszczęścia będę musiał być świadkiem tyłu upadków moralnych. Stan wojenny zgotował niespodziankę również w tej mierze, gdyż zaskakująco wielu ludzi zachowało się przyzwoicie, a nawet dzielnie. Polski honor, który ma przecież swe rogi, rozłożył anielskie skrzydła.

Prawdziwy smak obrzydzenia mam w ustach właśnie teraz. Oto największe kanale ubierają się w demokratyczne garnitury i noszą liberalne krawaty. Codziennie na to patrzę i nie wiem, co robić z odruchami wymiotnymi. Zamordyści demonstrują miękkie pyszczki, antysemici tulą Żydów jak głodne niemowlęta do piersi, dawni stalinowcy własnoręcznie rozsypują prochy słońca narodów. Obowiązkiem wzorowego działacza partyjnego jest być liberałem, a więc mówić prawie prawdę, prawie nie kłamać. Co było wczoraj czarne, dzisiaj jest białe. A że jeszcze niedawno... o tym nie wypada przypominać. Należy zrozumieć, że każda prawda i każde kłamstwo mają swój czas. Był etap kłamstwa, dzisiaj jest etap półprawdy. Bo każdy czas ma swoje konieczności historyczne. Koniec, kropka. A w kropce uśmiechnięty prosiak.

Coraz większa odwilż, coraz więcej błota.

Na publicznym spotkaniu z pewnym umiarkowanym opozycjonistą wstał działacz KPN i rzekł:

— Mędrkujecie i mędrkujecie, a tu trzeba gromadzić broń.

— Czy panowie macie broń? — spytał prelegent.

— To jest wewnętrzna sprawa organizacji — odparł działacz i usiadł, strzelając składanym krzesłem.

Nie tylko niektórzy działacze KPN gromadzą w wyobraźni broń i siadają na wymyślonego konia. Martwi mnie, że tak wielu ludzi stan wojenny utrwalił w gipsie, co udaje marmur, albo... wyrzucił z życia społecznego i wtrącił w ponurą prywatność.

Udałem się do pewnego dużego miasta, gdzie los rzucił mnie w ramiona zbuntowanej młodzieży i zostałem poprowadzony podziemnymi korytarzami, gdzie zagnieżdżyło się nadspodziewanie wiele ugrupowań, o których często nawet nie słyszałem. Federacja Młodzieży Walczącej, Młodzieżowa Konfederacja Polski Niepodległej, Ruch Społeczeństwa Zaangażowanego, RSA, PPS-młodzież, RMP-młodzież itd...

Rzuciło mi się w oczy, że wszyscy są ze wszystkimi skłóceni. Wiele energii idzie właśnie na to skłócenie. Łączy te ugrupowania nienawiść do tego, co nazywają komuną lub czerwonym. Wspólne też są wszystkim gorzkie pretensje do „Solidarności”,

że nie daje pieniędzy, że chce manipulować. Znamienne też, że dla tych młodych Wałęsa czy Borusewicz nie są żadnym autorytetem.

Największym naszym wrogiem są endecy — tłumaczy mi członek Federacji Młodzieży Walczącej. Wyrzałem przez okno — nadal był rok 1988. Nie chciałem go pytać, czym była endecja przed wojną. Daję głowę, że miałby kłopoty z odpowiedzią. Ale prawdą jest, że ruch, który sam siebie nazywa prawicowym, urósł ostatnio, a jego młodzi zwolennicy powołują się na Dmowskiego, którego nazywają pieszczotliwie „Panem Romanem”. Według ich opinii Żydzi i masoni opanowali opozycję w Warszawie. A więc, rzecz można, mamy dzisiaj „pana Romana” z jego ostatniego — najgorszego — okresu. Spotkałem też piłsudczyków, którzy pytali mnie, jak ubierali się zwolennicy Marszałka w dawnych czasach, oraz młodych z PPS, którzy ciągle liżą rany po rozłamie i zastanawiają się, jak połączyć ideały socjalizmu z nauką Kościoła.

Co może wynikać z odmrożenia historycznych potraw? Kiedy młodzi naśladują swoich mistrzów, wychodzi z tego karykatura. Kiedy próbują mówić własnym głosem — bełkocą. Uderza radykalizm tej młodzieży, który jest wspólny mimo podziałów. „Wy, panowie literaci, rewolucji nie zrobicie” — dało się słyszeć z lewa i prawa. A krytykując ich zapominałem, że są to przecież uczniowie ostatnich klas szkół średnich.

W każdym razie wyjechałem z tego miasta z opozycyjnym zawrotem głowy i pod wrażeniem procesów chemicznych, co zachodzą pod skorupą i stanowią zagadkę tak dla nas, jak i dla milicji.

Gdy dowiedziałem się, że wprowadzono u nas zastępczą służbę wojskową, byłem przez chwilę wzruszony. Zaraz jednak zawstydzilem się tego uczucia, bo miało podobny smak, jak poruszenie, gdy wchodząc do sklepu, widzę, że oto... jest chleb i mleko.

Polska zmieniła się przez te lata. Nie jest już krajem politycznym, chociaż posiada niebywałe zastępy mało efektywnej milicji. Nie jest więc państwem totalitarnym w dawnym sensie. Jest w nowym. Otóż totalitaryzmem stał się brak, inflacja, bałagan. Jeżdżący naszej apokalipsy.

Zagalopowałem się i zapominałem, że w swojej istocie ten system pozostał tym, czym był. Widać to wyraźnie nie na poziomie słów, lecz faktów, a im niżej — tym wyraźniej jest to widoczne. Należy tylko pójść na zaplecze sklepu, urzędu, milicyjnej komendy. I wystarczy przyciśnięcie jednego guzika, by wszystko wróciło do normy stanu wojennego.

Sierpniowa lawina przysypała wizytę Gorbaczowa, emigrację,

dramat naszej młodzieży i co tam jeszcze wydusiłem z naszej nie-rzeczywistości. Strajki zakończyły się, ale czas przez nie poruszony płynie szybciej i to, co piszę obecnie, będzie pewnie zgrzybiałym starcem, gdy ukaże się w druku.

Motorem buntu — jak w maju — była młodzież. Ta sama, co ma czekać (według ostatnich badań) 52 lata na mieszkanie. Działacze „Solidarności” wychodzili z kawiarni i dołączali do strajków. Protesty wybuchały jak czkawka w zaskakującym czasie i miejscu. Działo się to w chwili, gdy kraj był pogrążony w „przebiegłej apatii”, w zawziętej krzątaninie wokół własnych ruin, w załatwianiu, braniu i dawaniu łapówek, w wygrzebywaniu się i ponownym wpadaniu w nasz codzienny dołek. Poczucie braku przyszłości budzi nie tylko apatię, ale również utajony gniew. Te dwie przeciwstawne siły potrafią żyć — czy raczej wegetować — ze sobą w niepewnej równowadze. Wystarczy jednak kropla czy okruszek, które spadną w odpowiednim miejscu i czasie, by nastąpiła katastrofa.

W tych dniach uderzała mnie codziennie w twarz bierność Warszawy. Ludzie, owszem, narzekali na komunę, słyszało się „może teraz ich szlag trafi”, nawet zwolennicy świętego spokoju zaczęli marzyć o jakiejś wielkiej katastrofie. (Badania statystyczne wykazują, że grupa zwolenników świętego spokoju, którą ja nazywam cmentarną, jest nadal liczna, ale topnieje). Ta cała marzycielska działalność odbywała się jednak w pozycji siedzącej.

Jeszcze raz okazało się fikcją istnienie struktur „Solidarności” w fabrykach. Różne ciała przywódcze związku, których nazw nie jestem już w stanie zapamiętać, reprezentują przeszłość, a może nawet przyszłość, ale nie współczesność. Czym więc w końcu jest „Solidarność”? Uginam się pod ciężarem tego pytania. Bo oto kiedy wydawało się, że związku już nie ma, wybuchły strajki majowe. Nawet w tak szczególnej instytucji jak telewizja zebrano składki wysokości setek tysięcy złotych na pomoc dla strajkujących Huty im. Lenina. Systematycznie ukazuje się pismo *Solidarność Radia i Telewizji*. Czy jest to tylko karmienie symbolu? Nawet jeśli tak, to bardzo skuteczne, bo gdy w sierpniu symbol stanął na nogi, okazało się, że jest olbrzymem z małą, niestety, głową.

Protest miał charakter czysto robotniczy. Nie strajkował dozór, urzędnicy, inżynierowie. Potwierdza się prawda, że w Polsce najbardziej antykomunistyczną grupą jest właśnie klasa robotnicza, a szczególnie ta wielkoprzemysłowa, co miała być awangardą... Strajkujący czuli się z każdym dniem coraz bardziej opuszczeni przez kraj. Doradcy przyjeżdżali rzadko i na chwilę. Zawiedli zupełnie pisarze, dziennikarze, studenci, którzy tak dzielnie swoją obecnością i piórem wspierali dawny Sierpień. Jakby lu-

dziom brakowało już siły, by wsiąść w pociąg. Z kim się nie spotykam, pokazuje mi jakieś usprawiedliwienie: najczęściej, że niby nie można się było dostać do tych zakładów (co nie jest prawdą, bo jak ktoś naprawdę chciał, to się dostawał). Ja sam też noszę przy sobie usprawiedliwienie, ale jakoś szczęśliwie nikt mnie nie sprawdzał. Strajk topniał, ale ci, którzy zostali, byli już twardzi jak kamień. I aktualna stała się fraza z wiersza Słowackiego — „Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy”.

Wałęsa gasił potem te strajki bardzo ryzykownie i z dużym trudem. „Nie on je zapalił, nie miał więc prawa gasić” — powiedział mi jeden działacz, ten, co się „w gipsie utrwalił”.

Lech Wałęsa, przez tyle lat wyszydzany przez propagandę jako „nikt”, okazał się ostatnią deską ratunku. Dramat układa komedię.

Spotykam przypadkiem na ulicy Janka Rulewskiego, który jest przejazdem w Warszawie. Opowiada, jak był na strajku w stoczni szczecińskiej. „Dla tej młodzieży Wałęsa, a nawet ja, to jesteśmy mięczaki, zgniłe ugodowce. Pokazali mi, jak zabezpieczyli bramy, tu dźwigi, tam beczki. Nie do zdobycia — mówili. To było naiwne harcerstwo, ale jest w nich siła. Wyrosło zupełnie nowe pokolenie! Oni w ogóle nie chcą gadać o reformie, nie wiedzą, co to jest, chcą zmiany systemu, a nie jakichś reform”.

Janek jeździ teraz w Bydgoszczy na taksówce i to chyba taksówka zrobiła mu brzuszek. Słynny niegdyś „watażka” z Bydgoszczy nie stracił jednak energii, nie wyemigrował, co przydarzyło się niepokojąco wielu radykałom, ma więc szansę doczekać czasu, gdy zostanie uznany za mięczaka.

Powstało nowe pojęcie, „konstruktywna opozycja”, i można się spodziewać jeszcze wielu językowych nowotworów, bo ci, którzy się boją tworzyć fakty, będą tworzyć nazwy. A ja budzę się w środku nocy i myślę: konstruktywny jestem czy nie? Łapanki do okrągłego stołu, do programów telewizyjnych, do gazet na wywiady. Co płochliwsi zaszyli się głęboko w matecznikach mieszkani, nie odbierają telefonów, nie odmykają drzwi. Bardzo tajna narada w telewizji. Telewizja też popękała, więc wyciekło. Szef na odprawie oświadczył: „Badania ankietowe są przeciwko nam. Dlatego musimy dopuścić na ekran konstruktywną opozycję, ale pamiętajmy, że naszym zadaniem jest przekonywać do naszych ideałów”. Grono było elitarne, więc nikt nie zapytał, jakie są „nasze ideały”. Doświadczeni frontowcy propagandowi wiedzieli, że obecnie ideologią jest utrzymanie władzy, choćby za cenę ustępstw. Bardzo osobliwy spektakl z premierem Messnerem i jego trupą. Okazało się nagle, że

wszystkiemu co złe w gospodarce winien jest rząd i wali się weń jak w bęben. Premier Messner — cytuję tych, co go znają — „jest ewidentnym osłem”. Dzisiaj najwyraźniej dano mu szansę, by awansował do roli kozła ofiarnego, czeka się tylko na odpowiedni moment, by dokonać egzekucji w możliwie efektowny sposób.

I pomyśleć, że jeszcze wczoraj prawie nikt w PRL nie wiedział, że w ogóle mamy jakiś rząd. Gadanie o drugiej izbie kojarzy się ludziom z budową drugiej sali na bankiety. A na votum nieufności zarządzane przez OPZZ baby wiejskie żegnają się znakiem krzyża jak w kościele. Panie — mówi mi starszy facet w kolejce — ich trzeba z korzonkami, z korzonkami, inaczej będą odrastać jak chwasty, mam działkę, to się na tym znam.

Ci, którzy wtrącali do więzień zapraszają byłych więźniów do swoich gabinetów na kawę. Mówią: trzeba ratować ten kraj. Mówią: oddamy gospodarkę każdemu, kto potrafi ją naprawić. O, nie każdemu. Ja sam znam na pewnej wsi co najmniej kilku chłopców, co by miało pomysł i mam kilku sąsiadów o zdrowym rozsądku. A czegoś tu więcej trzeba niż zdrowy rozsądek? Rzecz w tym, że zdrowy rozsądek z miejsca skierowałby kierowniczą rolę partii do muzeum absurdu. Leżałaby tam za szkłem w sali, do której nie wpuszcza się dzieci.

Ruszyła lawina dyskusji, często bardzo śmiałych. Wszyscy ci „dzielnii” redaktorzy kilka lat temu sami siebie wsadziliby do ciupy za to, co dzisiaj mówią. Gadają w telewizji, gadają gazety i właściwie już wszystko zostało powiedziane, wszystkie konfitury wyjedzone i przeraźliwie skrzypi łyżka na dnie słoików. W rozważaniach strony oficjalnej kryje się element szaleństwa i rozpacz. Bo w samym środku ich przewodów myślowych jak rakowata narodził tkwi PZPR. I doprawdy nie wiadomo, co z tą naroślą zrobić. Mozolne wysiłki umysłowe, by stworzyć system pluralistyczny, który by nie zjadł PZPR mogą tylko zaprowadzić dyskutantów do cynizmu lub szpitala psychiatrycznego. Rzecznik prasowy użył niedawno określenia „pluralizm socjalistyczny”. Tak, wydaje się, że to wyjaśnia i załatwia problem definitywnie!

Poczucie, że właściwie byłoby bardzo śmiesznie, gdyby nie było tak smutno. Nie mamy już siły, by delektować się niezwykłym widowiskiem. Bo oto tak zwany realny socjalizm miota się w pułapce, do której sam siebie zagnał. Smutkiem zawiewa z przyszłości. I to bolesne poczucie tąpnięcia cywilizacyjnego. Europa oddała się, machając do nas kolorową chusteczką.

Władza wycofuje się i widać gołym okiem pola, które można by zająć bez ryzyka utraty nóg czy twarzy. Ale po chwili miejscowych uniesień społeczeństwo śpi ciężkim, chorym snem wyćniętego człowieka, który już nie ma nadziei. Dzieje się to

w chwili, gdy nawet niewielki nacisk społeczny — wydaje się — byłby skuteczny. Czyżby u nas tylko paroksyzmy, szlachetne odruchy? Albo potop? I żadnych form pośrednich?

Okrągły stół, zanim stanął na nogach, już ma swój dowcip: okrągły stół z dużym kantem. Łażę po ludziach, po kolejkach, po kawiarniach, po wiejskich drogach, wszyscy mówią — oszukają. Ten kraj jest cierpko sceptyczny jak przekrojona cytryna. I nagle poczułem, że się nie zgadzam. Musi być jakieś wyjście, choćby przez okno. Wydaje się, że jednak w końcu dopieźliśmy do brzegu błędnego koła, jak w roku 1980. Kiedy jego obręcz łamie się, mają miejsce wydarzenia niezwykle, jak „Solidarność”. Teraz wydaje się, że nastąpiło nie złamanie, ale pęknięcie. Jest to fatalne z punktu widzenia zmian, gdyż nie mobilizuje energii społecznej, jak przed laty. A przecież tylko od nas zależy, czy szczelina będzie się powiększać.

Ludzie, którzy przeżyli okupację i stalinizm wypaleni jak stare piece. Pokolenie „Solidarności” nosi w sobie popiół stanu wojennego, aż dziw, że tyle tego popiołu się uzbierało z tak w końcu małego ognia. Młodzież nasza, jak się wydaje, dzieli problemy młodzieży całego świata, brak wyższych celów życia plus nasze liczne garby i zwykle ma tylko siłę, by uciekać na emigrację. Więc kto, jak, czym... A jednak wierzę, że ukryte źródła energii, których zasoby pokazały strajki, stworzą jakąś przetokę! Myślałem o tym przeciskając się przez zatłoczony chodnik Nowego Świata, pewien, że gdybym powierzył swoje myśli przechodniom, niemal wszyscy wyśmieliby mnie (raczej wyłkali), bo „nic z tego, jak zawsze, nie będzie”. Otworzył się nagle widok na Dom Partii, właśnie odnawiany, i wiszący na budynku wielki napis: „Nie ma wolności bez odpowiedzialności”. Ukradli! Hasło nam ukradli — wyrwało mi się z gardła. (Tylko u nas na końcu była „Solidarność”). Już od jakiegoś czasu dochodziły nas wieści, że władza byłaby skłonna do większych kompromisów, gdyby dokonać choćby symbolicznej zmiany nazwy. Teraz partia wywiesiła konkretną propozycję.

Zassało mnie coś w żołądku, był to chyba głód jakiejś normalności. Pomyślałem, że ukojenie znajdę w pobliskim Muzeum Narodowym. Wchodząc tam myślałem o obrazach Jacka Malczewskiego „Błędne koło” i „Melancholia”, gdzie szczipione polskie postacie wirują beładnie w powietrznym tańcu. Muzeum wydało się nawet zadbane i czyste jak na naszą ruinę. Na piętrze jednak dało się zauważyć, że część sal została zamknięta na czerwony sznurek z powodu braku personelu do pilnowania. Dwoje ludzi już w podeszłym wieku płci obojga miast pilnować „skarbów narodowej kultury”, kręciło się wokół siebie z adoracją ludzi, których łączy wspólna gardłowa sprawa. Rozprawiali żywo o

niskich pensjach i o miejscach, gdzie zarabia się lepiej niż „w tej szopie”. Mówili głośno i wulgarnie jak w knajpie. Ich bieda nie budziła współczucia. Salę sąsiednią wybrało sobie najwyraźniej na miejsce spotkania kilku muzealnych strażników, popychali się, szturchali wrzeszcząc wniebogłosy. I wszystkie obrazy wokół zaczęły gasnąć jeden po drugim.

Czy obyczaje upadły dopiero obecnie, czy były upadłe zawsze, a dopiero teraz leżąc zaczęły krzyczeć? (A poszukiwane przeze mnie obrazy Malczewskiego są w Poznaniu).

Udałem się więc do sklepu, by nakarmić żołądek, skoro duszy się nie da. Uderzył mnie w nos bazgroł na kartce przylepionej do szklanych drzwi: „Sklep zamknięty z powodu personelu”. Domyśliłem się, że chciano mi przekazać informację o braku tegoż personelu, bo obok wisiały podobne bazgroły zawiadamiające o poszukiwaniu kasjerek, magazyniera i sprzątaczek. Zrezygnowany nieco, ale jeszcze nie złamany, udałem się na pocztę, by odebrać list polecony. Z otwartych na oścież drzwi urzędu wylewał się tłum zakończony matką z dzieckiem na ręku. (O tak, matki z dziećmi na ręku często stoją grzecznie w kolejkach). Wdarłem się do środka i słusznie, bo kolejka do poleconych była mniejsza, tylko otorbiona innymi kolejkami. Obfita kobieta grzebała melancholijnie w stercie listów i nagle z dramatycznym wyrazem twarzy oświadczyła: brakuje personelu, a ja jeszcze nie jadłam kolacji. Kolejka milczała z częstą u nas pokorą kolejek, które drżą ze strachu, że z jakiegoś powodu nie dojdą do upragnionego celu. Kobieta uznała to milczenie za aprobatę, wyjęła z torebki bułę owiniętą w gazetę i purpurowego pomidora o imponujących rozmiarach, którego rozkrwawiła gwałtownie zębami. Dopiero w jakiś czas po tej kolacji mogłem się dowiedzieć, że list odesłano z powrotem, Bóg wie dokąd i dlaczego.

Wracając do domu spotkałem znajomą z niesfornym dzieckiem, co przypomniało mi o niedawno dokonanym odkryciu, że miłych dzieci jest tylko co nieco więcej niż miłych dorosłych. Kobieta skarżyła się, że nie może swego „potwora” oddać do przedszkola (co było załatwione na wysokich szczeblach protekcji), gdyż przedszkole jest zamknięte z powodu braku personelu. Podobno w wielu szkołach nie odbywają się lekcje z tej samej przyczyny.

Pożegnałem się i bez nadziei, rutynowo, przemieściłem się do sklepu z częściami samochodowymi. W ostatnim miesiącu dwukrotnie włamywano się do mojego samochodu w celu kradzieży koła zapasowego, co było daremnym trudem, gdyż koło ukradziono mi już wcześniej. Koła nie kupisz, więc kradną nie tylko zwykli złodzieje, ale również poczciwi właściciele okradzionych samochodów i tak przez cały kraj idzie „moralna” reakcja łańcuchowa. Te włamania uszkodziły mi zamek. „Nie ma” —

powiedział sprzedawca, jakby wypluwał pestkę. Z twarzy wystawała mu obnażona kość nudy, typowy objaw u ludzi, którzy są skazani, by nieustannie mówić „nie ma”. Zapytałem, ilu procent części zamiennych brakuje. Speszył się, nieprzyzwyczajony do tak wyrafinowanych pytań, a po chwili namysłu rzekł, że około 90. Zaproponowałem mu więc życzliwie, by sobie założył dzwonek, brzęk to będzie „nie ma”. Prościej i przyjemniej. Począł się zastanawiać nad tą ideą, ale zaraz przybyli nowi klienci, nie ma — nie ma.

Wracalem do domu „ze zwieszoną głową, powoli”, jak ten żołnierz z wiersza Broniewskiego, co wracał „z niemieckiej niewoli”. I oczyma przyćmionej wyobraźni widziałem równinę mazowiecką zupełnie wyfysiałą od zatrutej wody i powietrza i płaczącą wierzbę, pod którą kręci się nasz okrągły stół, a na tej karuzeli migające zapasowe koła, generalskie epolety, fragmenty kolejek, wąsy i eksperckie okulary — nowe błędne koło i melancholia.

Witold CHARŁAMP

List do Redakcji

Panie Redaktorze!

Wywodzię się ze wsi i jestem ludowcem, ale do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, które reklamuje się jako chłopskie, nie należę. Sprawy wsi i ruchu ludowego bardzo mnie obchodzą. Moi rodzice byli chłopami, a teraz nasze rodzinne gospodarstwo prowadzi starszy brat. Ojciec należał przed wojną do Wici, w czasie wojny był w Batalionach Chłopskich i po wojnie działał w Polskim Stronnictwie Ludowym. Lubił dużo czytać i czytał gdy tylko miał trochę czasu. Ale czasu jak każdy dobry gospodarz miał niedużo. W niedzielę albo czasami i w dzień powszedni po kolacji opowiadał nam dzieciom różne historie, co wtedy na wsi zdarzało się rzadko. Czasami do naszego domu przychodzili ludzie na pogawędkę. Palili tytoń i mówili o polityce, o Mikołajczyku, o komunistach, o Stalinie i Trumanie, o tym, że będzie trzecia wojna światowa. Od rozmów odpędzali nas dzieci wtedy, gdy mówili o UB, o aresztowaniach i morderstwach. Byliśmy za mali i bali się, abyśmy gdzieś się nie wygadali. Ale trochę można się było o tym dowiedzieć na wsi. Nam, dzieciom, ojciec opowiadał różne zdarzenia z ostatniej wojny, a czasami o czasach przedwojennych, o pierwszej wojnie światowej, wojnie polsko-bolszewickiej, o życiu na wsi, o wiciarzach i ludowcach. Sam to wszystko przeżył, a o wielu też rzeczach słyszał. Czasami mówił też o tym, co wyczytał z książek. Opowiadał o księdzu Stojałowskim, jaki był dzielny i biedny, o Piłsudskim i o Witosie. Był bardzo dobrym Polakiem, gospodarzem i ludowcem. Później, gdy zaczęły się represje, ludzie przestali

do nas przychodzić na pogawędkę. Przed referendum i przed wyborami sejmowymi ojca na krótko aresztowali. Przyszedł czas stalinowski, kontyngenty, zakładanie kolechozów i ojca znów aresztowali jako kulaka. Dom zrobił się nie ten sam. Myśmy rośli i rozchodzili się do szkół, o co ojcu bardzo chodziło.

Dlaczego zdecydowałem się napisać do Pana Redaktora? Wieś i rolnictwo polskie giną, a w kraju nikt temu nie może zapobiec. Może i Wy na emigracji zaczniecie krzyczeć na alarm? Śmierć wsi i rolnictwa to głód i upadek całej i tak lichiej gospodarki w Polsce, to upadek samej Polski. Polska jest krajem biednym i rolnictwo stanowi podstawę jej życia i gospodarki. Przez tyle lat budowano huty i kopalnie, a na wsi nie ma węgla ani pod dostatkiem dobrych narzędzi. Przemysł budowano kosztem rolnictwa i dziś nie jest on wiele wart. PGR-y to tylko deficyt i demoralizacja. A dalej się je popiera. Spółdzielnie produkcyjne też są nierentowne. Wszystkie gospodarstwa rolne państwowo-spółdzielcze są nierentowne. A gospodarstwa indywidualne ciągle wypadają z użytkowania, nawet w takich rejonach wysokiej kultury rolnej, jak Opolszczyzna. Dużo gospodarstw indywidualnych znika w całej Polsce. Wieś się ciągle starzeje. Praca i życie na wsi są wciąż bardzo ciężkie. Nasza wieś jest bardzo zacofana, nawet nie ma porównania ze wsią tutaj, w Europie Zachodniej, którą teraz oglądam, będąc u rodziny. Nawet nie wiedziałem, że taka może być wieś i rolnictwo. Ostatnio produkcja rolna w Polsce znowu jest zupełnie nieopłacalna. Ceny maszyn rolniczych i wszystkich środków produkcji od dawna idą ogromnie w górę. Nie nadążają za nimi ceny na produkcję rolną. Na wsi wszystko trzeba załatwiać, wszystkim trzeba się kłaniać. Kwitnie dalej łapówkarstwo. Nie można prawie nie normalnie sprzedać i kupić. Rolnika mają ciągle za kogoś gorszego. Wielkim nieszczęściem wsi jest alkoholizm, który wynika z ciężkiej sytuacji wsi. Zanika kultura, jest sporo chuligaństwa. A rolnik tyra od świtu do nocy. Nawet nie popatrz w telewizor, bo ze zmęczenia przy nim zasypia. Wieś ciągnie ostatkiem sił. Trzeba wołać na alarm, aby zapobiec jej upadkowi, póki jeszcze czas!

Nadzieja była w 1980 i 1981 roku. Ale to jak wiadomo się skończyło. A Kułaj, który był na czele NSZZ RI „Solidarność”, wyszedł z internowania za poręką prezesa ZSL, Malinowskiego, a później sprzedał się władzy. Jak słyszałem, ma dzisiaj w swoim gospodarstwie duży interes hodowlano-futrzarski i na dodatek zasiada w Radzie Konsultacyjnej, którą powołał Jaruzelski, nikogo nie reprezentując. PZPR nigdy nie sprzyjała rolnictwu indywidualnemu. Gomułka się na nie zgodził w 1956 roku, ale nigdy nie dano rolnictwu indywidualnemu tego, co było dla niego konieczne. Zawsze myślano o rolnictwie upaństwowionym. Rolnictwo indywidualne było zawsze gorsze, a rolnicy indywidualni obywatelami drugiej klasy, mimo że zawsze dawali najwięcej żywności. Rolnik indywidualny nie pasuje do ustroju. Dzisiaj także trudno wierzyć PZPR, chociaż zmuszona ona jest uznawać rolnictwo indywidualne. Minister rolnictwa, członek PZPR, Zioba, nie tylko nie walczy o interesy rolnictwa, co jest jego psim obowiązkiem, ale przez swoją politykę rolą jeszcze rozkłada rolnictwo indywidualne. Może mu dali takie zadanie? Podobno najważniejsze są dla niego polowania w kraju i za granicą. Jak już zupełnie się skompromituje, a rolnictwo jeszcze bardziej upadnie, to pewnie posłą go na jakąś ciepłą posadę za granicę, tak jak to jest u nas w zwyczaju. Kiedyś Kuberski zniszczył polskie szkolnictwo i jest w zasługę ambasadorem w Watykanie. Dziwię się, że godzi się na takiego człowieka Papież. Kukuryka niszczył polskie budownictwo mieszkaniowe wielką płytą, którą stosowali Rosjanie i w zasługę został ambasadorem w Libii, a na dodatek dodali mu sławnego Siwaka jako radcę itd., itd. Ludzie to wszystko widzą.

Za obronę chłopów ma się ZSL. Jest w nim trochę ludzi uczciwych i na wsi i w urzędach, prawdziwych ludowców, znam takich, ale oni nie mają

nie do gadania. W ZSL rządzą ludzie, którzy zaprzękali się PZPR-owi, bo mają z tego korzyści. A chłopcy działacze ZSL, którzy są potrzebni, gdyż stronnictwo to uważa się za partię chłopską, mogą łatwo załatwić maszyn i kredyty, gdy zostaną radnymi, wejdą do władz spółdzielni gminnych, niektóry to nawet zostaje posem. Chłop poseł ma być w sejmie na pokaz, że reprezentuje chłopów, a gdy mu każą coś wygłosić, to ma wygłosić, co mu każą. Ale gdy jest posem, jaki urząd w gminie i w województwie odmówi załatwienia czegoś dla niego i dla rodziny? Oni już nie są z chłopami, ale dla siebie. Ale na wsi jest teraz dużo takich, co to myślą tylko o sobie.

Kierownictwo ZSL głosi, że jest stronnictwem samodzielnym i w koalicji z PZPR, ale to nieprawda, to tylko propaganda. Żaden prezes ZSL nie był samodzielnym, jak się okazywało, ani Wycech, ani Gucwa i nie jest samodzielnym Malinowski, choć wielki i widać go z daleka. Nie ma do gadania wicepremier z ramienia ZSL Kozioł, a ma on w rządzie bronić wsi i rolnictwa. W ZSL też byli zawsze ludzie tacy jak Ozga-Michalski, co to każdemu ludowcowi przynosił wstyd. Teraz też tak jest. Są tacy jak Kukułka, który jest w dodatku profesorem, Królewski, który był wojewodą w Bydgoszczy w 1981 roku, ormowiec Fortuna i inni. A samo ZSL działa według rozkazów PZPR. Na kongresach ZSL — co wszyscy wiedzą — fałszuje się wybory i dobiera takich ludzi, którzy pasują. Mam dużo kolegów w ZSL i wszystko mi opowiedzą. Czy taki ZSL może bronić chłopów i rolnictwa?

Pozostaje jeszcze Kościół, który od dawna interesuje się wsią i rolnictwem. Bardzo wsią i rolnictwem interesował się nieżyjący już kardynał Wyszyński. Kościół prowadzi duszpasterstwo dla rolników, które zajmuje się nie tylko sprawami religijnymi, ale i warunkami życia rolników i produkcji rolną. Ale Kościółowi sprzeciwiają się PZPR i ZSL, gdy chce pomóc rolnictwu. Nie pozwolono na założenie kościelnej fundacji dla rolnictwa, która miała dać wsi trochę środków do produkcji za dolary. Tej fundacji bardzo mocno przeciwstawiło się Ministerstwo Rolnictwa pod kierownictwem Ziżyby. Teraz Kościół ma pomagać przy zaopatrzeniu wsi w wodę, ale nie wiadomo, co z tego wyjdzie. W Radzie Społecznej przy Prymasie napisano raport o stanie wsi i rolnictwa. Pokazano w nim tragiczną sytuację na wsi i w rolnictwie. Ale nawet najprawdziwsze raporty niczego nie załatwiają. W prasie państwowej też pisze się o wielu bolączkach wsi i rolnictwa. Ale pisanie idzie swoją drogą, a praktyka swoją.

W Kościele znajdują oparcie chłopskie ruchy oporu. Bardzo mocno popiera dążenia chłopskie biskup Tokarczuk. Ale Kościół musi w pierwszej kolejności zajmować się religią. Chłopskie ruchy oporu nie są duże i organizują się tylko w niektórych rejonach, jak Rzeszowski. Odbijają się one pod hasłami „Solidarności” i powrotu do umów rzeszowsko-ustrzyckich z 1981 roku. Chłopskie ruchy oporu nie są w stanie zmienić polityki państwa wobec wsi. Największą nędkę i tragedię polskiej wsi i rolnictwa ukazał redaktor Kuśmierek.

Tak więc nie ma obrony dla polskiej wsi i rolnictwa. Gdy zacznie znów brakować żywności i robotnicy wywołają strajki, wtedy władza rozpocznie nową politykę rolną i trochę da dla rolnictwa. Tak było zawsze. Ale gdy rolnictwo da więcej żywności, zaraz wraca się do starej polityki. Jak długo tak jeszcze może być?

Wysłałam ten list do pisma *Kultura*, bo tak mi poradziła tutejsza rodzina. Czytałam to pismo tutaj i bardzo mi się ono podoba, jest na wysokim poziomie.

Przesyłam chłopskie pozdrowienia i mam nadzieję, że też będziecie alarmować o tragedii polskiej wsi i rolnictwa.

Wincenty KŁYŚ
ze wsi lubelskiej

Wywiady «Kultury»

Rozmowa z Wojciechem Giełżyńskim

T.J.: — *Gdy wychodziłeś ze Stoczni Gdańskiej po tegorocznym, majowym strajku, czy spodziewałeś się, że wrócisz tam tak szybko?*

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI: — Sądziłem, że raczej za rok. Tego jednak, że „znów gruchnie” byłem pewien. Wystarczyło popatrzyć na twarze tych młodzieńców niedostrajkowanych w maju.

T.J.: — *Dlaczego strajk w stoczni rozpoczął się tak późno? Przecież już od tygodnia stały kopalnie, szczecińskie zajezdnie autobusowe i port?*

W.G.: — Wałęsa początkowo wyhamowywał strajk, licząc na sondażowe rozmowy z władzą, prowadzące do „okrągłego stołu”. Jakies kontakty zarysowały się już przed majem. Kiedy jednak stanął Szczecin i kopalnie, Wałęsa popełniłby polityczne samobójstwo, gdyby nie wsparł ich realną i symboliczną mocą Stoczni Gdańskiej.

T.J.: — *Ale w niedzielę, 21 sierpnia, jeszcze się wahał. Co powodowało jego rozterki?*

W.G.: — Głównie niejasność sygnałów z Warszawy. W sobotę prof. Andrzej Stelmachowski skontaktował się z sekretarzem KC PZPR Czyrkim, który dał do zrozumienia, że władze zgodziłyby się na rozmowy z Wałęsą, gdyby nie zastrajkował Gdańsk. Tę wiadomość Stelmachowski i Bronisław Geremek przynieśli do Jarosława Kaczyńskiego, który następnego dnia miał jechać do Gdańska. Kaczyński przyjechał, lecz musiał wpierw udać się do mieszkania „kontaktowego”. Gdyby tam nie poszedł, byłby alarm, że został zatrzymany. Gdy przed 10-tą rano Kaczyński dotarł do

kościół św. Brygidy, Wałęsa był już na mszy. Propozycję władz dyskutowali zatem we czterech: bracia Kaczyńscy, Lech i Jarosław, Adam Michnik i sekretarz Wałęsy, Bogdan Olszewski. Chciano wyciągnąć Wałęsę ze mszy, ale Olszewski powiedział, że prędzej nastąpi koniec świata, niż Lech w czasie mszy wyjdzie z kościoła. Tuż po mszy ubłagano więc ks. Jankowskiego, żeby przez 20 minut przemawiał do ludzi na wiecu, aby uzyskać czas na konsultacje z Wałęsą. Padły wtedy dwie sugestie. Michnik proponował, żeby odpowiedź była pozytywna, z jednoczesnym odwołaniem strajku w stoczni, po warunkiem, że władza publicznie potwierdzi, iż jest gotowa do rozmów. Kaczyńscy sugerowali, by Wałęsa ogólnikowo zasygnalizował skłonność do rozmów i czekał na konkretniejszą ofertę władz. Podobno Wałęsa w pół minuty podjął decyzję, właściwie zgodną z propozycją Michnika, ale przetworzył ją po swojemu. Wyszedł na wiec i powiedział, że strajk w stoczni zawiesza na tydzień. Ludzie przyjęli to bardzo źle. Wałęsa zorientował się, że palnął gafę, szybko wrócił do plebanii i tam Kaczyńscy uświadomili mu bez ceregieli, że „ucina głowę” strajkującym górnikom. Wałęsa zachnął się, lecz od razu wrócił przed tłum i powiedział, że wcale nie chodzi o zawieszenie strajku na tydzień, tylko o potwierdzenie propozycji władz w głównym wydaniu dziennika TV. Jeżeli to nie nastąpi, stocznia staje od poniedziałku.

Ponieważ w radiowych i telewizyjnych wiadomościach wieczornych nie było żadnego sygnału, około 22-ej Wałęsa bez entuzjazmu dał ostateczną zgodę na strajk. Po godzinie — nie wiem, jakimi kanałami — przyszła wiadomość z Warszawy, że władza chce rozmawiać. Za późno. Wałęsa dowiedział się o tym dopiero w poniedziałek, o 7-ej rano, kiedy stocznia już zaczynała stawać, zgodnie z jednomyślną decyzją Komitetu Strajkowego, który poprzedniego dnia również obradował u Brygidy.

T.J.: — *W tym niedzielnym zamęcie chyba nikt nie mógł się połapać...*

W.G.: — Całą niedzielę siedziałem przy radiu, co godzinę słuchałem wiadomości z Wolnej Europy i miałem kompletny mętlik w głowie. Wałęsa dawał sprzeczne sygnały, komentatorzy mylne interpretacje. Jeszcze o 23-ej nie było jasne: staje stocznia czy nie? Dopiero po północy podano informację, że strajk w poniedziałek będzie. Powinienem pojechać pierwszym pociągiem, ale zasnęłam i dotarłam do stoczni dopiero pod wieczór, około godziny 18-ej.

T.J.: — *Majowy strajk był spontaniczny. A sierpniowy?*

W.G.: — Był skrupulatnie zaplanowany. Komitet Strajkowy

wiedział, że sławny wydział K-1, zapłon wszystkich strajków, został przez dyrekcję „rozgłaszony”, pozbyto się większej części buntowniczej młodzieży, a ponadto otoczono go „specjalną troską” straży przemysłowej, partyjnych i SB. Wyznaczył więc 13 miejsc, gdzie miały zbierać się grupy, od kilkunastu do kilkudziesięciu ludzi, i 2 punkty zborne po obu stronach mostu przez Martwą Wisłę, która dzieli stocznię. Przewidziano nawet, że gdyby most był otwarty dla żeglugi, to przy takiej liczbie ludzi można by wymusić jego zamknięcie. Nie było jednak takiej potrzeby. Strajk zaczęły wydziały C-2 i C-3 oraz mała grupka z K-1. Przy moście grupa „z wyspy” połączyła się z grupą „z lądu”, z którą był Szablewski. Ruszono w obchód stoczni. Dołączali następni, choć z początku niezbyt licznie. Około 30 % załogi, i to głównie młodzieży, było na planowanych urlopach. Mimo to zebrało się ponad 2 tys., ale po fajrancie większość poszła do domu.

T.J.: — *Pierwsze wrażenia po wejściu do stoczni?*

W.G.: — Strajk wyglądał źle, bardzo źle. W okolicach stołówki i II bramy kręciło się zaledwie kilkadziesiąt osób — znacznie mniej niż w maju. Lecz — w przeciwieństwie do maja — sporo robotników strajkowało na swoich wydziałach. Na noc jednak zostało zaledwie około 500 osób. To regularność w strajkach: pierwsza noc jest krytyczna. Potem przez cały czas strajk na szczęście rozszerzał się, inaczej niż w maju, kiedy od trzeciego dnia zaczął się zwolna roztopiać. Pod koniec strajku znowu było nas ze 2 tys.

T.J.: — *Kiedy stocznię wsparły inne zakłady?*

W.G.: — Stocznia Północna dołączyła już pierwszego dnia, ale był to mały strajk: 50 osób, a na noc zostało zaledwie 30, nie wystarczyło ludzi do obstawienia bram. W Remontówce trwała nerwowa przepychanka, podobnie jak w roku '80 i w maju. Formalnie Remontówka włączyła się od wtorku, ale strajk był bardzo wahliwy, ludzie nie mogli się zdecydować; potężny strajk rozpoczął się we środę, po wielkim wiecu z udziałem Wałęsy. Był to najbardziej spektakularny wiec, jaki miałem okazję w życiu oglądać, wiec „trójwymiarowy”. Odbывał się na nadbrzeżu, ludzie zwisali z dźwigów, oblepiali burty statków, siedzieli na dachach, stali na ziemi. Było ich około 3 tys. W momencie rozpoczęcia wiecu raptem jedna piąta z nich była w strajku. Wyraźnie widziało się jakby trzy kręgi. Wokół podium, z którego mówił Wałęsa i tuż przy nim „twarde jądro” strajkujących, potem krąg drugi, najliczniejszy, złożony na ogół ze starszych robotników, którzy dopiero za chwilę przystąpili do strajku i „luźne obrzeża”: dozór techniczny, administracja, partyjniacy. Po tym

wieczu w Remontówce przerwała pracę prawie cała załoga robotnicza. Tak byli twardzi, że po sobocie i niedzieli spośród sześciuset, którym Komitet Strajkowy dał przepustki na wyjście do domu, tylko siedmiu nie wróciło na strajkowanie. Stocznia Lenina, która jest zawsze jak gdyby „robotniczą stolicą” — tam jest Wałęsa, MKS, tradycja i rutyna strajkowania — tym razem została zdetronizowana wielkością i determinacją strajku w Remontówce.

T.J.: — *Co dalej ze Stoczną Północną?*

W.G.: — Tam jest najtrudniej: po części produkcja „specjalna”, a więc i specjalne rygory, obostrzenia, groźby. Specjalnie dobrana kadra techniczna. Mimo to, kiedy strajk się ustabilizował, było w nim 500-600 osób. Procentowo tyle samo mniej więcej, co w Stoczni Gdańskiej.

T.J.: — *Kiedy zawiązał się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy?*

W.G.: — Od pierwszego dnia, pod przewodnictwem Jacka Merkla. W poniedziałek wchodzili do niego tylko przedstawiciele Stoczni Lenina i Północnej, od wtorku Remontówki, od środy portu. Potem doszli jeszcze ze stoczni „Wisła” i „Radunia” — zakładów o wiele mniejszych — i symboliczna reprezentacja służby zdrowia.

T.J.: — *Kto strajkował?*

W.G.: — Robotnicy. Nadal istnieje rozłam między robotnikami a nadzorem — to samo co w maju. Tym razem było jednak trochę brygadzystów i mistrzów, trochę technologów. W Stoczni Gdańskiej zastrajkował też wydział konstrukcyjny, lecz chyba nie na długo, bo nie było ich widać.

Wyrównały się natomiast proporcje wiekowe, średnia wieku podskoczyła o jakieś 15 lat. To był strajk wszystkich generacji, co niewątpliwie dało mu większy spokój i determinację. Starsi, jak już postanowią, że „jest sprawa” i trzeba stanąć, są bardziej wytrwali.

T.J.: — *Osoby wspomagające strajk?*

W.G.: — Mniej było WiP-owców, którzy w maju nadawali ton działalności informacyjnej i łączności. Ich miejsce zajęli studenci, nie tylko z NZS. Zresztą kto by się połapał w tym gdańskim młodzieżowym misz-maszu. Tam działa chyba z 10 tajnych organizacji — od anarchistów po konserwatystów, od „nowej lewicy” po narodowców.

Poligrafia była pod względem technicznym bodaj skromniejsza niż w maju, natomiast rozmach prac redakcyjnych — imponujący! Obok *Rozwagi* i *Solidarności* w wersji offsetowej na mieście i powielaczowej w stoczni, wychodziła jeszcze dobra gazeta *Głos III bramy* (RiS to organ KS, a *Głos...* był pismem niezależnym), pisemka grup młodzieżowych, *Aktualności Strajkowe* Stoczni Północnej, *Informator* Stoczni Remontowej, strajkowe wydanie pisma regionu *Solidarność*, doraźne komunikaty; bibuły nie brakowało.

Niebywałą rolę w strajku odegrał Piotr Szczepanik. Piotr świetnie śpiewał XIX-wieczne pieśni powstańcze i patriotyczne, śpiewał piosenki legionowe — to się podobało — ale starsi robotnicy błagali go o „Żółte kalendarze” i „Kormorany”, szlagiery z jego i ich młodości. Niemniej ważna od Piotra była jego aparatura nagłaśniająca, z którą przeskoczył płot. Strajk nie dysponował radiowozem, więc gdyby nie ta aparatura, nie mógłby się odbyć żaden liczniejszy wiec.

Było też kilku dobrych piosenkarzy mniejszej renomy, jak Tolek Filipkowski, portowiec, autor znakomitej ballady „Idą panczy na Wujek”. Furorę robiła sławna z majowego strajku Ałła, która okazała się nie „górką”, ale studentką szkoły muzycznej. Ta rewelacyjna dziewczyna układa piosenki na każdy temat w ciągu kilkunastu minut, jej występy były właściwie aktualnymi programami publicystycznymi na muzycznej nucie.

Przedostatniego dnia przybył Ernest Bryll, którego dosłownie porwano do Północnej — wcześniej z tej stoczni jeździły całe wycieczki na jego „Kolendę — Nockę”.

Nie ma dla strajkujących nic gorszego niż puste godziny, kiedy nic się nie dzieje, kiedy niepokojące myśli krążą po głowie. Dlatego i Szczepanik z innymi śpiewającymi osobami, i artyści teatru „Wybrzeże”, i Bryll, i Wójtowicz z „Piwnicy pod Baranami” odegrali rolę nieprzeciętną.

T.J.: — *Prasa podziemna informowała też o wielkich manewrach „stoczniowych sił pancerno-motorowych”.*

W.G.: — Siła „militarna” stoczni rosła każdego dnia. Na początku mieliśmy czołg z płyt styropianowych, w barwach ochronnych, z rurą-działem i stosownym karabinem maszynowym. Później doszła polewaczka do rozpędzania tłumów, milicyjna suka, armatka przeciwpancerna, samochód pancerny, a na koniec Pershing na ruchomej wyrzutni. Cały ten styropianowy, zamontowany na wózkach akumulatorowych sprzęt jeździł od bramy do bramy, wywołując szaleńczy entuzjazm... także policji. Odbyły się manewry na nadbrzeżu Remontówki i pozorowany atak od wewnątrz na II bramę, odparty gradem styropianowych „kamie-

ni". Starsi robotnicy gorszyli się czasem, że nie wypada bawić się w wojnę, ale potem i ich pochłonęły te militarne operacje.

T.J.: — *Stosunek dyrekcji do strajkujących?*

W.G.: — Wystarczy jedna anegdota. W maju delegacja KS i mediatorzy Episkopatu godzinami wystawiali pod budynkiem dyrekcji, żeby usłyszeć, iż szefostwo stoczni nie ma im nic do powiedzenia. Teraz role jakby się odwróciły. Sławetny dyrektor Deptała, który w maju straszył robotników pałą, teraz pokornie stał pod drzwiami sali Komitetu Strajkowego, prosząc o rozmowy.

T.J.: — *Doszło do nich?*

W.G.: — W sprawach zasadniczych — nie, bo KS uznał, że byłyby bezprzedmiotowe; przecież ponowna legalizacja „Solidarności” nie leży w kompetencjach dyrekcji. Były natomiast negocjacje na temat prac wykończeniowych przy dwóch statkach. Wałęsa i Szablewski od początku wyrazili na to zgodę, pod warunkiem oflagowania jednostek i pracy w strajkowych opaskach. Roboty szybko przerwano, ponieważ fakt pracy został podany przez gdańskie radio jako dowód, że „strajku nie ma”.

Także w Remontówce były pertraktacje z dyrekcją: dacie nam pokój z telefonem — będziemy pracować na „greku”, który miał w tamtych dniach spłynąć z doku. Ale i z tego nic ostatecznie nie wyszło; władze bały się, że „pokój z telefonem” będzie oznaczał uznanie „Solidarności” za oficjalnego partnera. Bały się tym bardziej, że „Solidarność” w stoczniach odradzała się szybciej niż Feniks z popiołów. Wśród strajkujących tworzyły się jawne struktury, dokonano statutowych wyborów władz. W Remontówce przeprowadzono je we wszystkich wydziałach, wybrano też Komitet Zakładowy NSZZ „Solidarność”, który wywodził się z Komitetu Strajkowego, chociaż się z nim nie pokrywał, tylko ząbował personalnie.

T.J.: — *Układność dyrekcji wobec strajkujących świadczy o zmianie atmosfery politycznej otaczającej strajk. Czy wpłynęło to również na zachowanie sił policyjnych?*

W.G.: — Obstawia stoczni była co najmniej pięć razy rzadsza niż w maju. Zachowywała się kulturalniej, nie było pozorowanych ataków. Pobicia łączników były, ale, o ile wiem, tylko przez tajniaków. Milicjanci byli chyba gdańszczanami, bo skuteczniej obstawiali tajne przejścia do stoczni. Do „Lenina” chodziło się więc przez Stocznnię Remontową; rzecz dziwna, była tam praktycznie nicobstawiona furtka, przez którą szła żywność, krążyli kurierzy, niekiedy nawet przechodziły wycieczki krajowe i

zagraniczne. Ale dla „kangurów” noszących plecaki i informacje z kościoła św. Brygidy droga przez Remontówkę była daleka. Może więc dlatego przez pierwsze dni na strajku było głodnawo. Niełatwo przenieść na własnych plecach żywność dla kilku tysięcy osób. Zresztą „kangurów” było mniej niż w maju; sierpień to jeszcze wakacje, a ponadto decyzją KS do wspomagania strajku nie dopuszczano dzieci poniżej 15 roku życia. Były dni, że nawet zakupki dla wszystkich nie starczyło, ja sam dopadłem tylko trzy razy coś gorącego. Łza się w oku kręciła, gdy przedostatniego dnia strajku dowieziono nam wreszcie całą górę świńskich półtuszek, a ostatniego przed II bramą zajęchały dwa samochody — chłodnie, pełne prowiantu. Nic z tego na ząb nam nie trafiło, wszystko pojechało do sierocińca — jako dar od strajkujących. Z milicją i ROMO doszło w końcu do fraternizacji; chyba mieli instrukcje, żeby okazywać nam „zrozumienie”. Załogi milicyjnych motorówek deklarowały gotowość dowożenia żywności, brały bibułę. A przede wszystkim nie było groźby dywersji od wewnątrz, ze strony grup Obrony Cywilnej i uzbrojonego w pałki aktywu partyjnego.

T.J.: — *Zewnętrzna presja na strajk była więc minimalna?*

W.G.: — Tak. Z wyjątkiem nacisków na Stocznnię Północną, która jako zakład produkujący także na potrzeby wojska podlega innym prawom. Tam cały czas straszono powołaniami do wojska i zwolnieniami, a pod koniec sugerowano nawet możliwość pacyfikacji. Na groźbę użycia siły odpowiedziano alarmem w Remontówce, Komitet Strajkowy nakazał zgrupować 25 wózków akumulatorowych, a 500 stoczniowców było całą noc w gotowości: w razie czego budzimy chłopaków i jedziemy Północnej na pomoc.

T.J.: — *Czy stoczniowcy mieli żal, że kiedy oni stanęli, to wykruszały się kopalnie, że w kraju poparło ich stosunkowo niewiele?*

W.G.: — Rozumiano, że w kopalni strajkuje się znacznie trudniej. Owszem, pretensje były, szczególnie do stoczni Warszawskiej w Szczecinie, czyli do „dzieci Gorbaczowa”, jak ich w Gdańsku nazwano, bo *gensek* podczas wizyty w Polsce odwiedził tę stocznnię. Także do gdyńskiej Komuny Paryskiej był żal; tam były próby strajku, agitacja, wiece, ale nic z tego nie wyszło. W Szczecinie sprawą prestiżu władz było, żeby nie przystąpił do strajku zakład wizytowany przez Gorbaczowa.

T.J.: — *Strajkuje się po to, żeby w końcu rozmawiać. Kulmi-*

nacyjnym punktem sierpniowych strajków było spotkanie Wą-
tosa — Kiszczak.

W.G.: — Oferta Kiszczaka dotarła do stoczni w sobotę. Wałęsa wyszedł ze strajku na spotkanie z doradcami w kościele św. Brygidy. Noc z soboty na niedzielę spędził w domu. Rano urwał się podwójnej obstawie — swoim „goryłom” i policji — przeskoczył stoczniowy mur, gubiąc przy okazji but i kalecząc rękę. Tego dnia najbardziej przypominał Wałęsę z Sierpnia '80. Był szczęśliwy, rozbawiony, że zrobił taki harcerski numer.

W środę odbyły się rozmowy. Sytuacja ciężka, niezręczna: samotny Wałęsa wobec Kiszcza i Cioska, jako świadek przedstawiciel Episkopatu, bp Jerzy Dąbrowski. Czy Wałęsa mógł do tej próby nie stanąć, czy jeszcze ją odwlekać? Myślę, że nie mógł. Wałęsa doskonale orientował się w sytuacji, wiedział, że fala strajków już mija. Protesty w kopalniach wyduszono lub same wygasły — pozostał osamotniony „Manifest”. Mocny był jeszcze strajk w Gdańsku, Szczecinie i Stalowej Woli. Czy coś by jeszcze stanęło — nie wiadomo. Był to więc, sądzę, ostatni moment, kiedy Wałęsa mógł występować wobec władz z zapleczem pewnej siły.

Wątpliwość dotyczy tego, czy powinien zgadzać się na rozmowy bez uczestnictwa doradców. Jedni twierdzą, że był to błąd, gdyż Wałęsa jest znakomitym wiecownikiem, natomiast traci wiele ze swych walorów w rozmowach gabinetowych. Inni natomiast podkreślają — i trudno ten spór rozstrzygnąć — że fakt, iż odważył się sam, bez żadnego wsparcia, stanąć oko w oko z władzą, jest jego ogromnym triumfem osobistym i znakomitym ruchem politycznym. Wałęsa udokumentował w ten sposób — po latach obrażania, wylewania pomoy, negowania jego jakichkolwiek wpływów — że jest w dalszym ciągu wodzem szeroko pojętej opozycji i że władza poprzez rozmowy z nim *de facto* uznaje „Solidarność”.

Dopiero po spotkaniu z Kiszczakiem popełnił, myślę, poważniejsze błędy. Po pierwsze, decyzji o przerwaniu strajku nie powinien podejmować sam; mógł podziękować za podjęcie rozmów i wrócić do stoczni, żeby porozumieć się z MKS-em i robotnikami. Zachował się autorytarnie, co w parę godzin później odbiło się na nastrojach, zwłaszcza, że na ten błąd nałożył się drugi, dla strajkujących jeszcze bardziej bolesny.

Waleśa przyjechał z Warszawy o 21.30 i bez słowa przebił się przez tłum robotników do sali Komitetu Strajkowego. Ludzie ponad trzy godziny czekali na jakąś wiadomość. I dowiedzieli się o przerwaniu strajku... z Wolnej Europy. W stoczni zaszumiło, młodzież histeryzowała, wpadła w furję, groziła, że porąbie Waleśę na kawałki...

Noc wystudziła namietności, ranek ukoił żal. Starsi robotnicy uznali, że chociaż Wałęsa popełnił błąd, należy w imię solidarności dać mu poparcie. Nawet część młodzieży zaczęła mu klaskać grzecznościowo, gdy wygłosił pojednawcze przemówienie. Przeprosił, tłumaczył, trochę zwałił na swoją chorobę, na zmęczenie, opowiadał, że chce odejść, komu innemu ten wózek przekazać, żeby go ciągnął, ale tymczasem musi ciągnąć sam. Stałem w grupie robotników. Jeden powiada: „Ależ to magik, w każdej sytuacji królika wyciągnie z kapelusza i wyjdzie cało”.

Jednak cięń niepewności i okruchy pretensji w robotnikach pozostały. Strajk był przecież mocny, bez kłopotów mógł potrwać jeszcze tydzień i więcej. Kiedy Wałęsa był w Warszawie, ludzie — ci bardziej zapalczywi, a mniej doświadczeni — wierzyli, że przykiewie im gotową „Solidarność”, przynajmniej na szczeblu zakładowym.

Stanowisko robotników jest bezkompromisowe: póki nie będzie „Solidarności” — do żadnego porozumienia z władzą dojść nie może. Muszą mieć swoje związki zawodowe i będą je mieć, choćby przyszło im jeszcze strajkować wiele razy. Sprawy płacowe nie są na pierwszym miejscu, wyżej cenią ludzką godność. Nadzór traktuje ich jak popychła, jak „roboty” — chamstwo przesunęło się niżej, majstrowie i brygadziści jakby doszłusowali do grona właścicieli PRL-u i odnoszą się do robotników z nieznaną nigdy przedtem arogancją. Drugi główny motyw robotniczej determinacji — to XIX-wieczne warunki pracy, zagrożenie dla zdrowia, choroby zawodowe, kalectwo, które masowo dotyka już ludzi trzydziestoletnich, pracujących na cięższych stanowiskach. Dopiero na trzecim miejscu są pieniądze; one i tak coraz mniej warte, zżarte inflacją.

Robotnicy mają poczucie — mówią górnolotnie — swojej misji wobec Polski. W Stoczni Gdańskiej jest to szczególnie widoczne. Rozumieją, że kolebka „Solidarności” musi wziąć na siebie odpowiedzialność, że jest „Pierwszą Kadrową” — spodobała się im ta analogia, wyrażana w pieśniach Szczepanika. Czasami narzekają oczywiście, że woleliby żyć spokojnie, ale skoro już historia na nich wskazała palcem, to za każdym razem, kiedy w kraju będą poważniejsze strajki, oni muszą stanąć. Na nich patrzy przecież cała Polska.

T.J.: — *I znów, jak w maju, tak samo wyszłicie ze stoczni pochodem do św. Brygidy...*

W.G.: — Nie, zupełnie inaczej. Tamten pochód był milczący, ten rozkrzyczany, pewny siebie, pewny swej bliskiej wygranej. W maju było nas tysiąc. W sierpniu dziesięć razy więcej, szliś-

my całą godzinę, bo do sześciu-siedmiu tysięcy strajkujących, połączonych sił wszystkich stoczní, doszłusowało mrowie gdańszczan.

T.J.: — Szliście pod hasłem: „Nie ma wolności bez 'Solidarności'”.

W.G.: — Oczywiście. Ale było jeszcze inne skandowanie: „Jest nas trzystu”. Tak nas przecież obliczył Urban, na trzystu ekstremistów...

Rozmawiał T.J.

Głasność, pieriestrojka, uskorienie

WYWIAD Z PROF. MICHAŁEM WOSLENSKIM*

MAREK CIESIELCZYK: — W książce „Nomenklatura”, która powinna być obowiązkową lekturą każdego sowietologa, pisze Pan, że dyktatura sekretarza generalnego sowieckiej partii komunistycznej oraz dyktatura Biura Politycznego i sekretariatu KC są tylko odmianami dyktatury nomenklatury.

Ponad trzy lata temu zmienił się sowiecki sekretarz generalny. Nomenklatura pozostała. Czy wobec tego tzw. głasność i pieriestrojka są w ogóle możliwe?

MICHAŁ WOSLENSKI: — Są możliwe tylko w tym sensie i ramach, w jakich mogą przynieść korzyści nomenklaturze. Z jej punktu widzenia głasność była hasłem potrzebnym, bo pozwala jej ponownie zdystansować się od stalinizmu, co z kolei jest potrzebne, by zrobić dobre wrażenie na inteligencji. Po drugie pozwala to krytykować także okres Breżniewa, co z kolei służy członkom nomenklatury do zajęcia stanowisk swych przełożonych, którzy doszli do władzy za czasów Breżniewa. Głasność nie jest przeznaczona dla przeciętnego obywatela, lecz dla inteligencji, która stanowi znaczną część społeczeństwa sowieckiego, a ściślej

* Prof. dr Michał Woslenki do 1972 roku mieszkał w ZSSR. Jest autorem książki „Nomenklatura — panująca klasa Związku Sowieckiego”. Obecnie jest dyrektorem zachodnioniemieckiego instytutu sowietologicznego Forschungsinstitut für sowjetische Gegenwart, z siedzibą w Bonn.

mówiąc klasę. W każdym społeczeństwie inteligencja tworzy odrębną klasę. Stalinowska teza, że inteligencja jest tylko warstwą pomiędzy robotnikami i chłopstwem, jest po prostu nonsensem. Otóż ta właśnie klasa ma odegrać szczególną rolę w procesie pieriestrojki. Z tego też powodu postanowiono zabiegać o jej względy. Głasność ma być więc swego rodzaju podarunkiem dla niej, pozwalającym zatrzeć złe wrażenie, jakie na inteligencji sowieckiej zrobiły prześladowania dysydentów za czasów Breżniewa, napaść na Czechosłowację w 1968 roku czy imperialna wojna przeciw Afganistanowi. Dystansując się od tego wszystkiego, nomenklatura ma nadzieję, że pozyska inteligencję dla sprawy pieriestrojki, to jest dla takich zmian gospodarczych, które nie naruszając istoty systemu komunistycznego uczynią go sprawniejszym.

Tymczasem katastrofalny stan gospodarki komunistycznej wynika właśnie z istoty systemu. Najlepiej widać to na konkretnych przykładach: w NRD i RFN żyją i pracują ludzie tej samej narodowości, a różnica w poziomie życia jest nie do opisanego! To samo dotyczy Północnej i Południowej Korei, Chin komunistycznych i Tajwanu, wschodniego i zachodniego Berlina.

Różnice te wynikają z natury systemu, toteż gospodarki państw komunistycznych nie będą mogły konkurować z gospodarkami państw kapitalistycznych bez zmiany systemu.

Co to ma wspólnego z inteligencją? Kraje rozwinięte (nie używam pojęcia „kraje zachodnie”, bo na Dalekim Wschodzie także istnieją państwa wysoko rozwinięte, np. Japonia, Korea Południowa, Tajwan, Singapur, Hongkong) znajdują się obecnie w „fazie postindustrialnej”. Przemysł ciężki traci na znaczeniu na rzecz przemysłu komputerowego, technik laserowych, robotów itp. (...) ZSSR znajduje się jeszcze w fazie industrialnej, jednakże nomenklatura zrozumiała już konieczność przyspieszenia i przebudowy. Dla tego skoku nie potrzebuje ona mas robotniczych, lecz inteligencji. Dlatego gotowa jest zawrzeć z nią pokój.

Znaczną część inteligencji zniszczył Stalin. Chruszczow jej nie lubił, Breżniew prześladował. Inteligencja przekształciła się w klasę opozycyjną, swego rodzaju kontrylitę. Nomenklatura dojrzała w tym momencie w inteligentach przeciwników klasowych, gotowych podjąć z nią walkę o władzę, których najlepiej izolować w łagrach. Ale w końcu musiała zmienić taktykę.

Osobiste przekonania Gorbaczowa nie odgrywają zbyt wielkiej roli. Chce on oczywiście umocnić własną pozycję, lecz to, co dzieje się teraz w ZSSR, odbywa się w ramach dyktatury nomenklatury. Gorbaczow robi tylko to, na co mu się pozwala.

M.C.: — Głasność i pieriestrojka mają według mnie znaczenie drugorzędne, właściwym celem wydaje się być uskorienie.

M.W.: — To prawda, pierwszym hasłem jakie Gorbaczow rzucił zaraz po objęciu władzy było *uskorzenie*, przyspieszenie. Nie było ono jednak przemyślane, wskazywało tylko na to, czego pragnie nomenklatura. Otóż nomenklatura pragnie, by więcej produkowano, by gospodarka się wzmocniła. W jaki sposób? W sposób właściwy temu ustrojowi — przez wyzysk obywateli. Wkrótce stało się to jasne. *Uskorie*nie tak, powiedziała władza, podwyżki płac — nie! Oznacza to większy wyzysk świata pracy, nic poza tym. Według 12-go planu 5-letniego średnia płaca brutto robotnika i urzędnika ma wynieść w roku 1990 215-220 rubli miesięcznie, odpowiednik 645-660 marek. Jest to oczywiście skandalicznie niskie wynagrodzenie, zbliżone do pensji w wielu krajach Trzeciego Świata. Jest to jeszcze jeden dowód i symbol niedorozwoju gospodarczego i zacofania systemu komunistycznego.

Powtarzam więc: władze ZSSR chciałyby przy pomocy inteligencji dokonać wielkiego skoku. Inną sprawą jest los inteligencji w chwili, kiedy nomenklatura osiągnie już swój cel.

M.C.: — Jeśli słuszna jest teoria cyklicznego rozwoju systemu komunistycznego (wyznaje ją m.in. Alain Besançon) i zmiennych faz NEP-komunizmu i komunizmu wojennego, to po gorbaczowskim GPU (głasność pieriestrojka, uskorie) nastąpi ponownie okres agresywnego komunizmu. Bukowski sądzi, że stanie się to już za kilka lat. Co Pan o tym myśli?

M.W.: — W rozwoju komunizmu rzeczywiście można zaobserwować zmienne fale. Pierwszą falą zmian i reform był NEP, drugą — chruszczowizm, trzecią przeżywamy obecnie. Ciekawe, że fale te pojawiają się dokładnie co 32 lata. NEP zaczął się w 1921 roku, odwilż, której dał początek Malenkov, a kontynuował Chruszczow, zaczęła się w 1953 roku, Gorbaczow doszedł do władzy w 1985 roku. Odstępy czasu odpowiadają dokładnie jednemu pokoleniu. Teraz mamy do czynienia z trzecią generacją nomenklaturzystów. Każde nowe pokolenie, które dochodzi do władzy, spostrzega, że ogólna sytuacja jest katastrofalna. Podejmuje przeto próbę reform. Początkowo ufa w skuteczność swoich planów, ale szybko spostrzega, że każda reforma gospodarcza musi się wiązać z ograniczeniem monopolu władzy politycznej nomenklatury.

W naturze systemu komunistycznego leży wydawanie dyktaw oraz ich bezdyskusyjne wykonywanie przez podległe masy. Czy dyktawy te są rozsądne, czy nie, muszą zostać wykonane.

Wyeliminowanie nomenklatury spowodowałoby naturalnie rozkwit życia gospodarczego. Rozumie to już nawet sama nomenklatura, ale nie może do tego dopuścić. Ledwie zaczyna

kielkować inicjatywa oddolna, nomenklatura wytycza dopuszczalne granice jej rozwoju, na ogół bardzo wąskie. Tak ograniczone reformy nie przynoszą żadnych owoców. Wówczas nomenklatura dochodzi do wniosku, że reformy są niepotrzebne, bo i tak nie poprawiają sytuacji, a zagrażają jej monopolowi władzy oraz przywilejom. Sięga wówczas do starych, wypróbowanych metod: partia, KGB, wojsko, centralne plany gospodarcze oraz marksizm-leninizm ponownie zastępują reformy i inicjatywę oddolną.

Wraz z reformą na odstrzał idą i reformatorzy. Taki los spotkał Bucharina i innych ideologów NEP-u, tak skończył Chruszczow, nie inaczej będzie i z Gorbaczowem.

M.C.: — W „Nomenklaturze” pisze Pan, iż jednym z elementów komunistycznej strategii podboju jest atakowanie słabych przeciwników, ale ustępowanie przed silnymi i zdecydowanymi. Przykładami ustępstw są Polska w 1920 roku, Finlandia w 1939/40, Iran po drugiej wojnie światowej, a obecnie Afganistan.

Czy przyczyną nagłej pieriestrojki była może zdecydowana postawa obecnej administracji amerykańskiej wobec ZSSR (mam na myśli np. SDI) oraz wewnętrzna słabość Związku Sowieckiego?

M.W.: — To tylko jedno z przyczyn. Wydaje mi się, że o wszystkim decyduje obiektywne następstwo faz. Po prostu nadeszła kolejna fala „reform”.

Należy podkreślić, że zmiany nie są bynajmniej inicjatywą jednej osoby, sekretarza generalnego. Kim np. był Chruszczow? Czy był reformatorem? Nie, Chruszczow był studentem, ba, studentem dziesięcioprocentowym stalinowcem! Aż do śmierci Stalina Chruszczow uwielbiał go. W ostatnich latach rządów Stalina należał wraz z Bułganinem, Malenkowem i Berią do ścisłej grupy jego najbliższych współpracowników. Później przepoczwarzył się nagle w wielkiego reformatora.

Gorbaczow był za Stalina stalinowcem, za Breżniewa — breżniewowcem, za Andropowa — andropowowcem, za Czernienki — czernienkowcem, a teraz jest reformatorem. Nie jest to żaden zarzut, w ZSSR nie można się stać reformatorem w inny sposób. Chcę tylko powiedzieć, że także Gorbaczow nie jest jakimś organicznym, urodzonym reformatorem, tak jak nie był nim Chruszczow. Gorbaczow kieruje się tylko obiektywną koniecznością i gotowością nomenklatury do zaakceptowania reform w pewnym, ściśle ograniczonym zakresie. Obszar tych dozwolonych reform jest jednak tak wąski, iż nie są one w stanie naruszyć podstawowej struktury systemu.

Niektóre państwa komunistyczne, np. Węgry i Jugosławia,

przeprowadziły gruntowniejsze reformy niż ZSSR. Ich gospodarki funkcjonują — jak na stosunki komunistyczne — dość sprawnie. Jeżeli jednak przyłożymy inną, nie komunistyczną miarę, zobaczymy, że sytuacja gospodarcza tych państw jest katastrofalna. Wynika to z prostego faktu, że trwała poprawę gospodarczą można osiągnąć tylko i wyłącznie wtedy, jeśli się całkowicie odrzuci system komunistyczny. Nie mam na myśli „przywrócenia kapitalizmu” — by użyć sowieckiej terminologii — bo na zdrową gospodarkę składają się oprócz sektora prywatnego także działalność spółdzielcza, товариства акcyjne oraz własność państwowa. Mówienie o restauracji kapitalizmu jest po prostu nudną propagandą, której nikt już poważnie nie traktuje. W Austrii np., kraju małym ale zamożnym, 30 % przemysłu jest własnością państwa. Możliwa jest więc racjonalna gospodarka nawet przy wysokim stopniu upaństwowienia. Gospodarka mieszana jest w stanie funkcjonować, trzeba tylko pozbyć się struktury opartej na ogólnym wydawaniu dyrektyw i rozkazów. Społeczeństwo musi funkcjonować niezależnie i samodzielnie, a nie jak armia.

M.C.: — Od przewrotu październikowego 1917 roku Zachód zdaje się wierzyć, że liberalizacja systemu komunistycznego jest możliwa. Zachodnie mass media, a przynajmniej ich część, nie były np. w stanie dostrzec mistyfikującego charakteru pokazowych procesów moskiewskich w latach 30-tych. W ostatnim, 29 numerze tygodnika *Die Zeit* (z 15 lipca 1988) Rolf Zundel stara się zasugerować czytelnikom, że obecny komunizm nie jest już totalitaryzmem. Czy Pan też tak uważa?

M.W.: — Ależ jak najbardziej jest! Na Zachodzie próbuje się teraz używać słowa „totalitaryzm” raczej jako obelgi aniżeli jako pojęcia opisowego. Jest to po prostu nierozsądne. Słowo „totalitaryzm” opisuje obiektywnie i rzeczowo sytuację, w której społeczeństwo znajduje się pod totalną władzą jednej grupy. W ZSSR jest nią nomenklatura. To ona decyduje o tym, co i w jakiej ilości ma być produkowane przez przemysł i rolnictwo, tworzone w dziedzinie kultury, jakie sztuki teatralne są dobre, a jakie złe, jakie powieści mają być publikowane, a jakie zakazane, a nawet o tym, co obywatele powinni myśleć o określonych wydarzeniach.

Kim są nomenklaturzyści — psychologami, filozofami, politologami czy ekonomistami? Nie, są to po prostu zwykli biurokraci partyjni. Ale dzięki określonej strukturze społecznej podejmują oni kluczowe decyzje we wszystkich dziedzinach życia. To jest totalitaryzm, nie innego jak totalitaryzm. Pojęcie to jest opisem struktury, a nie żadną obelgą.

Przeciwieństwem totalitaryzmu nie jest bynajmniej demokracja, czy wolność. Jest nim pluralizm.

Także na Zachodzie mamy do czynienia z polityczną klasą, lecz ma ona niewiele do powiedzenia w dziedzinie gospodarki. Naturalnie jest tutaj także klasa przedsiębiorców, lecz ma ona stosunkowo niewiele do powiedzenia w dziedzinie polityki. Zaś obydwie te klasy niewiele mają do powiedzenia w dziedzinie ideologii, kultury, sztuki i literatury. Byłoby po prostu śmieszne, gdyby np. kanclerz Kohl podjął nagle decyzję, że jakaś powieść jest dobra, a inna zła. Powiedziałbym, iż tutaj „władzę duchową” sprawują intelektualisci. Poza tym działają oczywiście Kościoły, które stanowią niewątpliwie autorytet moralny. To jest pluralizm.

Jeśli w ZSSR mówi się o „pluralizmie socjalistycznym”, to powinno się przynajmniej zdefiniować, co się rozumie pod tym pojęciem.

M.C.: — Obywatele państw komunistycznych byli już wielokrotnie oszukiwani. Teraz ponownie zaczynają wierzyć w trwałą liberalizację systemu. Na przykład znaczna część Polaków — zarówno intelektualistów, dla których *Washington Post* czy *Der Spiegel* zdają się być wyrocznią, jak i przeciętnych, szarych ludzi — ma nadzieję, iż nastąpią teraz pozytywne zmiany w życiu gospodarczym i politycznym. Niektórzy przywódcy „Solidarności” twierdzą nawet, iż Polacy nie powinni zakłócać procesu pierestrojki akcjami strajkowymi.

Czego można się spodziewać, jeśli nadzieje te okażą się płonne? Po porażce „Solidarności” tysiące Polaków zdecydowało się na emigrację. Już teraz można zauważyć rozczarowanie wypowiedziami Gorbaczowa w Polsce, na przykład nieporuszeniem sprawy Katynia. Przy okazji chciałbym zauważyć, iż nawet na Zachodzie mówi się w tej chwili o czterech, a nie piętnastu tysiącach zamordowanych (na przykład Helga Hirsch w *Die Zeit* z 15 lipca 1988).

M.W.: — Tak, nawet radio i telewizja podają teraz zawsze liczbę 4.000. To jest interesująca sprawa, nie należy jej lekceważyć.

Gorbaczow mówi o tysiącach ofiar represji stalinowskich, prasa sowiecka pisze o milionach. Wszyscy wiedzą, że były ich miliony. Dlaczego więc tak trudno się przyznać do mordu katyńskiego? Byłoby to najprostszym rozwiązaniem, ale oni nie chcą do tego dopuścić. Nie chcą także przyznać, że istnieją tajne protokoły z 23 sierpnia i 28 września 1939, chociaż cały świat o tym wie. Do dnia dzisiejszego nie opublikowano listu KC KPZS w sprawie przestępstw Berii. W Czechosłowacji nie wolno przyznać, że Masaryk został wyrzucony przez okno przez agentów Berii. Dlaczego? Bo chce się demonstracyjnie pokazać, że istnieją granice, których nie wolno przekroczyć. Dotąd, a nie dalej! Co tajne, musi pozostać tajne!

M.C.: — *Niektórzy niezależni polscy publicyści twierdzą, że opozycja polska powinna zwrócić się bezpośrednio do kierownictwa sowieckiego, ominąć PZPR, i że jest możliwa sytuacja, w której ZSSR (niektórzy mówią nawet „Rosja”) zaakceptuje opozycję jako partnera, na którym można polegać i który będzie w stanie zapewnić bezpieczeństwo zachodniej granicy Rosji (tak jakby Rosja rzeczywiście graniczyła bezpośrednio z Polską!) o wiele skuteczniej niż polscy komuniści, którzy nie cieszą się poparciem narodu polskiego.*

Czy wierzy Pan, że ZSSR byłby skłonny zaakceptować takie rozwiązanie i zgodziłby się na ograniczoną wewnętrzną niezależność swoich satelitów?

M.W.: — Taka „finlandyzacja” Europy Wschodniej byłaby naturalnie rozsądna, ale sprzeczna z istotą i charakterem nomenklatury. Nomenklatura nie potrzebuje sprzymierzeńców, tylko podanych.

M.C.: — *Jak ocenia Pan szanse rozpadu imperium sowieckiego (uwzględniając ostatnie wydarzenia w Armenii i Azerbejdżanie) i jaką rolę może w tym procesie odegrać Ukraina, drugi pod względem liczebności członków ZSSR?*

M.W.: — Związek Sowiecki jest ostatnim imperium kolonialnym na świecie. Los innych, wcześniejszych mocarstw tego typu jest znany. Byłoby nielogicznym przypuszczać, że imperium sowieckie może stanowić wyjątek. ZSSR nie jest w stanie ująć w przyszłości losowi, jaki spotkał inne imperia kolonialne. Jeśli jego władcy będą podejmować rozsądne decyzje, zamiast rozpadu nastąpi swego rodzaju przemiana imperium kolonialnego w coś na kształt *Commonwealth'u*. Myślę, że obecne państwa wasalne będą w przyszłości zainteresowane w utrzymywaniu dość ścisłych stosunków z Rosją. Obecnie wszystkie chcą oderwać się od Rosji, co jest zrozumiałe.

Jeśli chodzi o 50-milionową Ukrainę, bogatą w surowce oraz mającą (w normalnym systemie społeczno-politycznym) wysmienite warunki do rozwoju rolnictwa i przemysłu, to jako suwerenne państwo mogłaby odgrywać w Europie niemal tak ważną rolę, jak np. obecnie RFN. Natomiast czym jest dzisiaj? Jest zaledwie jedną z republik sowieckich. Śmieszny podarunek w postaci przemianowania biura komitetu centralnego komunistycznej partii Ukrainy w „biuro polityczne” to trochę za mało!

Dlatego też powstał na Ukrainie w czasie wojny antysowiecki ruch partyzancki. Nie miał on bynajmniej proniemieckiego charakteru. Partyzantka ta walczyła przeciw Sowietaom i prze-

ciw Niemcom, choć trzeba przyznać, że wrogość do systemu komunistycznego przeobrażała się niekiedy w resentymenty antyrosyjskie.

Sądzę, że powinno się bardziej zwracać uwagę na struktury społeczno-polityczne niż na odpowiedzialność jednego narodu za system. W przeciwnym wypadku korzyści odnosić będzie zawsze strona przeciwna, tzn. nomenklatura. (...)

Pewna część rosyjskich dysydentów uważa, że nie wszystkie obecne republiki sowieckie powinny w przyszłości odłączyć się od Rosji. Nie podzielam tego stanowiska i nie podziela go wielu opozycjonistów rosyjskich. W przeciwieństwie do Lenina biorą całkiem na serio to, co powiedział on sam na temat praw narodów do samostanowienia. Sądzę, iż decyzja o stworzeniu własnego, niepodległego państwa powinna być podjęta w drodze referendum przez ludność każdej republiki sowieckiej. Jeśli większość Ukraińców wypowiedziałaby się w głosowaniu za utworzeniem własnego państwa, to państwo takie powinno zostać im dane.

Sama Rosja jest potężnym krajem i pozostanie nim także w wypadku, gdy wszystkie republiki ogłoszą niepodległość i utworzą własne państwa. Mylą się ci, którzy sądzą, iż Rosja będzie wtedy biednym krajem. Przypominam sobie, jak w czerwcu 1960 roku mówiono, że jeśli Kongo uzyska niepodległość, Belgia będzie biednym krajem. Prognoza ta jednak nie sprawdziła się. Te same obawy można było słyszeć w Holandii po uzyskaniu niepodległości przez Indonezję.

Jako Rosjanin jestem absolutnie za tym, by wszystkie narody wchodzące obecnie w skład ZSSR miały prawo do niepodległości i utworzenia własnych, suwerennych państw, jeśli się za tym opowiedzą.

M.C.: — *Dziękuję Panu Profesorowi za wywiad.*

Monachium, 15 lipca 1988.

Wywiad ten przeprowadził w języku niemieckim i przełożył na język polski

Marek CIESIELCZYK

Sprawy i troski

Cudzoziemcy w RFN

Republika Federalna Niemiec jest jedynym krajem na świecie z wpisaniem do konstytucji prawem do azylu. 16-ty artykuł konstytucji brzmi: *Prześadowani z powodów politycznych korzystają z prawa do azylu*. RFN jest także krajem o najwyższej w Europie liczbie uchodźców oczekujących na azyl polityczny. Między rokiem 1975 a 1984, a także w 1986 (i najprawdopodobniej w roku bieżącym) więcej niż połowa uchodźców przebywających w Europie Zachodniej złożyła podanie o azyl polityczny w RFN. W kraju tym przebywa około 4,7 milionów cudzoziemców, w większości z tymczasowym prawem pobytu. Konstytucyjny zapis w sprawie azylantów oraz wzrastająca nieustannie liczba obcokrajowców sprawiają, iż temat *obcych* przybyśli w RFN staje się raz po raz tematem politycznym numer jeden. Tak było w roku 1986, kiedy poprzez wprowadzenie nowych przepisów próbowano zastopować napływ uchodźców z Bliskiego Wschodu do Berlina Zachodniego. Problem obcokrajowców jest praktycznie od kilku lat nieustannie obecny w dyskusjach parlamentarnych (tak w Landtagach jak i w Bundestagu). Ostatnim etapem tej niekończącej się dyskusji jest projekt *Prawa dla cudzoziemców*, przedstawiony Bundestagowi przez ministra Spraw Wewnętrznych Zimmermanna (CSU). Projekt ten ma zastąpić funkcjonujące od roku 1965 przepisy prawne dotyczące obcokrajowców.

Swój projekt Zimmermann podzielił na dwie części, które z powodzeniem służyć mogą za ilustrację starej metody rządzenia zwanej *kijem i marchewką*. Marchewka jest, jak zwykle przy stosowaniu tej metody, nieporównywalnie mniejsza od kija. Nazwano ją *Prawem integracji cudzoziemców* (*Ausländerintegrationsgesetz*). Przepisy tam zawarte mówią, iż obcokrajowcy nadający się do *integracji*, czyli korzystający z większości praw obywateli niemieckich, a przede wszystkim otrzymujący prawo nieograniczonego pobytu w RFN, należą wyłącznie do grupy cudzoziemców przybyłych do Republiki *przed* rokiem 1973. Prawem tym mają

zostać objęci także cudzoziemcy, którzy legalnie wjechali do RFN w celu wykonywania zawodu. Cała reszta nie-obywateli RFN podpadać ma pod drugą część prawa Zimmermanna.

Główny trzon paragrafów skierowanych przeciwko cudzoziemcom nazywa się *Prawem pobytu cudzoziemców* (*Ausländeraufenthaltsgesetz*). Głównym narzędziem ograniczenia liczby tak cudzoziemców jak i ich praw jest nieustannie obecny w formułkach prawnych wszystkich prawie paragrafów *Prawa pobytu* zwrot: *pozostaje do uznania* (*steht im Ermessen*) umożliwiający poszczególne urzędnikom bardzo szeroką interpretację nowych przepisów. Już prawo z roku 1965 dotyczące cudzoziemców krytykowane było często za owo *pozostawianie do uznania*. Doprowadziło to między innymi do znacznych nieraz różnic w traktowaniu np. oczekujących na azyl w różnych Landach. Tak więc cudzoziemcy przybyli po roku 1973 nie nadają się, według Zimmermanna do integracji i w związku z tym są odpowiednio ostrzej traktowani. Przede wszystkim przewiduje się ograniczenie prawa pobytu tych cudzoziemców do maksimum ośmiu lat. Odpowiedni przepis przewiduje, iż nawet już przyznana wiza może zostać anulowana, jeżeli *nie da się wykluczyć wątpliwości w gotowość cudzoziemca do wyjazdu z RFN*. O tym jak owa *gotowość* ma być mierzona i kto ma decydować, czy obcokrajowiec *gotowość do wyjazdu* wyraża czy też nie — w *Prawie pobytu* nie ma słowa. Uprawnienie do bardziej stałego pobytu (nie oznacza to *nieograniczonego*) otrzymać można będzie po dziesięciu latach pracy zawodowej w RFN, o ile oczywiście *da się wykluczyć wątpliwości w gotowość do powrotu*. Według przepisów z roku 1965 prawo pobytu przydziela się wtedy, gdy *obecność cudzoziemca nie narusza interesów Republiki Federalnej Niemiec*. Zimmermann rozszerzył nieco owe *interesy* i do swojego projektu wprowadził formułę *wszystkie polityczne, gospodarcze, finansowe i inne publiczne interesy*. Ciekawym punktem *Prawa pobytu* są warunki, jakie musi spełnić cudzoziemiec, by otrzymać *wizę z nieograniczonym prawem pobytu*.

1. Trzeba posiadać prawo pobytu na co najmniej pięć lat.
2. Trzeba posiadać pozwolenie na pracę na terenie RFN.
3. Trzeba posiadać także Niemcy (średni standard).
4. Trzeba posiadać znajomość języka niemieckiego odpowiadającą długoletniemu pobytowi w RFN.
5. Trzeba posiadać wystarczające środki do życia.
6. Trzeba prowadzić taki tryb życia, by urzędnik nie miał wątpliwości, iż cudzoziemiec bez problemów włączy się w *prawny, gospodarczy i socjalny porządek Republiki Federalnej Niemiec*.

Cała ta lista już ze względu na swoją obszerność jest czymś wyjątkowym. Jednak o jej kuriozalności stanowią wewnętrzne sprzeczności, uniemożliwiające praktycznie uzyskanie przez cudzoziemca prawa stałego pobytu. Pierwszym warunkiem jest posiadanie prawa pobytu na co najmniej pięć lat. By prawo to uzyskać, należy, jak wspomniałem na początku, *wykluczyć wątpli-*

wości w gotowość do wyjazdu z RFN. Jeżeli takie wątpliwości obudzą się w jakimś urzędniku, wiza zostaje natychmiast anulowana. Jeżeli natomiast czyni się wszystko, by te wątpliwości odsunąć od własnej osoby, nie spełnia się warunku 6, mówiącego o bezproblemowym włączeniu się w porządek RFN (czyli w miarę łatwej integracji).

Prawo Zimmermanna przewiduje jeszcze kilka prawnych przeszkód dla cudzoziemców mających zamiar zamieszkać na dłużej w RFN. Godny uwagi jest paragraf dotyczący łączenia rodzin. Na przykład przyjazd dzieci do rodziców w RFN możliwy jest (prawie bez problemów) w przypadku potomstwa do lat 6. Decyzja o przyjeździe dzieci w wieku od lat 7 do 15 pozostaje do uznania urzędu. Przyjazd młodzieży między 16 a 18 rokiem życia należyć ma do absolutnych wyjątków. Także i tutaj dają o sobie znać sprzeczności, komplikujące nieprawdopodobnie całą sprawę. I tak: jeżeli rodzice posiadają bardziej stałe prawo pobytu (8, 10 lat) mogą ściągnąć dzieci bez większego problemu. Jednak w takim przypadku muszą odczekać pięć-siedem lat, by pobyt ich jako tako się ustabilizował. W tym czasie dzieci dorastają i w związku z tym mogą nie otrzymać prawa do pobytu. Jeżeli natomiast rodzice ściągną dzieci zaraz po przyjeździe, to natychmiast obudzą wątpliwości w gotowość do własnego powrotu i tracą wizę pobytową. Tego typu kruczków i nawzajem wykluczających się paragrafów jest w prawie Zimmermanna więcej.

W opublikowanych fragmentach projektu Prawa dla cudzoziemców nie mówi się o azylantach. Uchodźcy uznani w RFN za politycznych otrzymują dotychczas nieograniczone prawo pobytu. Nie oznacza to jednak, by nie pojawiały się projekty zmian i tego przepisu. Już kilka lat temu pojawiły się głosy (szczególnie z Bawarii) by azyl polityczny dawać na raty. To znaczy po uznaniu uchodźcy za politycznie prześladowanego otrzymywałby on np. wizę na lat pięć. Po tym okresie następowałaby weryfikacja, podczas której sprawdzano by, czy delikwentowi po powrocie do ojczyzny nadal grożą prześladowania.

Artykuł 6 konstytucji RFN mówiący o prawie do azylu dla wszystkich prześladowanych uniemożliwia jakiegokolwiek zasadnicze zmiany w tym zakresie. Republika Federalna Niemiec musi przyjąć każdego, kto wystąpi o polityczny azyl. Władze nie mogą również ograniczyć liczby przyjmowanych uchodźców, co czynią wszystkie inne kraje zachodnie. Problemem jest także samo postępowanie azylowe. Od momentu złożenia podania do otrzymania dokumentu uchodźcy politycznego upływają co najmniej dwa lata, a niekiedy trzy i więcej (obecnie na pierwsze przesłuchanie w Zirndorfie czeka się średnio ok. 20 miesięcy). Jeżeli podanie zostanie odrzucone, uchodźcy pozostaje jeszcze prawo odwołania się od tej decyzji, co wydłuża całą procedurę jeszcze bardziej (nierzadkie są przypadki oczekiwania na azyl po złożeniu odwołania przez lat pięć i nawet więcej). Politycy rządzącej koalicji jak i opozycja zgodni są, iż potrzebna jest reforma całego postępowania azylowego. Obie strony jednak co innego rozumieją pod

pojęciem takiej reformy. Rządzący chcą przede wszystkim ograniczyć liczbę przybywających cudzoziemców. Głównym powodem tak dużego napływu są według nich zbyt liberalne przepisy azylowe. Nie chodzi tu nawet o liczbę uznawanych azylantów. W tym roku (dane z maja) na przykład Urząd Federalny w Zirndorfie na 33.509 podań przyznał azyl polityczny tylko 3.128 uchodźcom — czyli dziewięciu na stu. Dla władz głównym problemem są ci, którzy azylu nie otrzymali bądź wjechali do RFN bez wystarczających powodów do jego otrzymania i w ogóle zrezygnowali z postępowania azylowego. Władze w najróżniejszy sposób próbują obejść zapis w konstytucji i obwarowują postępowanie azylowe coraz większą liczbą przepisów dodatkowych, uzupełniających i interpretujących artykuł 6.

Do niedawna główną bronią przeciwko ludziom szukającym azylu był przepis mówiący, że azyl nie przysługuje ludziom, którzy przed przyjazdem do RFN znajdowali się chociaż przez krótki okres czasu w kraju, w którym nie groziły im prześladowania. Przepis ten uderzył przede wszystkim w uchodźców afgańskich, którzy zazwyczaj startowali do Europy z terenu Pakistanu. I tak w roku 1986 azyl polityczny otrzymywało 72 % uchodźców z Afganistanu. W zeszłym roku liczba Afgańczyków uznanych przez władze RFN za uchodźców politycznych wynosiła już tylko 18 %. W roku bieżącym przepis ten stosuje się rozsądniej, a przede wszystkim sprawiedliwiej, jednak nie jest to wynik bardziej humanitarnej postawy władz, ale sądownictwa zachodnoniemieckiego, które w licznych procesach stawalo po stronie uchodźców pochodzących z rejonów, z których wydostanie się możliwe jest tylko poprzez terytorium kraju trzeciego.

Inną metodą odstraszania potencjalnych azylantów jest coraz częściej stosowany przepis wydalenia z RFN ludzi, którzy azylu nie otrzymali. Przepis ten dotyczyć ma także uchodźców z Europy Wschodniej, którzy wcześniej na mocy umowy ministrów spraw wewnętrznych wszystkich Landów odsyłani do krajów ojczyźtych nie byli. Umowa ta została anulowana i uchodźcom z europejskich krajów komunistycznych, którzy przyjechali do RFN po 1 maja 1987 roku grozi tak samo wydalenie, jak na przykład ludziom z kontynentu afrykańskiego. Innym sposobem zniechęcania azylantów do przyjazdu do RFN są coraz gorsze warunki oczekiwania na azyl. Po złożeniu podania o azyl polityczny ląduje się automatycznie w obozie i to bez względu na to, czy posiada się własne środki do życia, czy też nie. W obozach obowiązuje zakaz opuszczania miejscowości, w której urządzono obóz, a jest to zazwyczaj niewielka miejscina z kilkoma tysiącami mieszkańców. Bardzo częste są przypadki kwatrowania kilku rodzin w jednym pomieszczeniu. Najgorszą sławą cieszą się obozy w Karlsruhe i Neuburgu. Wyżywienie otrzymuje się wydzielone na miejscu. Miesięczne kieszonkowe wynosi zazwyczaj 50 DM.

Innym problemem jest opieka lekarska dla ludzi w obozach. Według przepisu zawartego w federalnym prawie dotyczącym pomocy socjalnej oczekującym na azyl nie przysługuje prawo do opieki lekarskiej. Skierowanie do lekarza można otrzymać z

Urzędu Socjalnego tylko w przypadku *poważnego zagrożenia zdrowia bądź życia*. Ostatnio przepis ten zmieniono. Według nowej wersji skierowanie do lekarza otrzymać można w przypadku, gdy choroba wymaga opieki lekarskiej (*bei akuter Behandlungsbedürftigkeit*), ale nie zmienia to zasadniczo faktu, iż tylko w wyjątkowych przypadkach otrzymać można pomoc medyczną (nie mówiąc już o lekarzach specjalistach). Azylanci (z wyjątkiem kobiet ciężarnych) nie mają także prawa do tzw. badań zapobiegawczych, co w przypadku chorób nowotworowych decyduje zażwyczaj o przyszłym stanie zdrowia pacjenta.

Z propozycją reformy prawa azylowego wystąpił niedawno minister Spraw Wewnętrznych Bawarii August Lang (także CSU). Domaga się on przyspieszenia całej procedury, a także przyjmowania podań o azyl tylko od osób z wyraźnymi *politycznymi* powodami. Usprawniona miałaby zostać także procedura wydalania z RFN osób, którym azylu nie przyznano. Lang zaproponował także skrócenie przebiegu postępowania odwoławczego. Według jego projektu sprawą tą nie powinny zajmować się sądy, tylko *pozasądowe komisje* przy Bundestagu. Lang stwierdził, iż RFN nie jest i nie może być krajem imigracyjnym. W podobnym tonie uzasadniał swoją reformę *Prawa dla cudzoziemców* Zimmermann. Według federalnego ministra Spraw Wewnętrznych napływ obcokrajowców może spowodować, iż *wspólna niemiecka historia, tradycja, język i kultura stracą na swojej jednoczącej i formującej sile*.

Oczywiście wszystkie te projekty i propozycje prawnych zmian są *na razie jeszcze* tylko propozycjami. I chociaż ze strony opozycji (zwłaszcza przeciwko prawu Zimmermanna: Zieloni nazwali je *rasistowskim*, a socjaldemokraci o *charakterze nacjonalistycznym*) opór jest duży, nie należy bagatelizować tych wyraźnie skierowanych przeciwko cudzoziemcom tendencji w RFN. Zapis w konstytucji gwarantujący prześladowanym azyl polityczny najprawdopodobniej zmieniony nie będzie (potrzebne jest do tego 2/3 głosów w Bundestagu i 2/3 w Bundesradzie) jednak nie wyklucza to zaostreżenia (i to znacznego) przepisów wobec cudzoziemców przebywających w RFN. Pogorszy się automatycznie sytuacja ludzi proszących o azyl polityczny, o czym powinni pamiętać bardzo liczni polscy uchodźcy szukający stałego prawa pobytu w RFN. Jak wspominałem wyżej, sprawa wydalania osób z odrzuconym podaniem azylowym przestała być krążącą gdzieś tam pogłoską, ale jest realnym przepisem prawnym, którego stosowania domagają się coraz liczniejsi politycy nie tylko z rządu (ostatnio Zieloni zażądali w Bundestagu, by przepis o wydaleniu z RFN stosować także wobec obywateli z Europy Wschodniej — stosowanie tej procedury wyłącznie wobec osób przebywających spoza kontynentu europejskiego jest według Zielonych niesprawiedliwe i krzywdzące). Minister Zimmermann uczynił już pierwszy krok w kierunku usprawnienia tego przepisu i złożył projekt powołania jednego centralnego urzędu do spraw wydalenia cudzoziemców — dotychczas leżało to w gestii rządów poszczególnych Landów.

Problemem przy wyjeździe z PRL przestał być ostatnio paszport. Władze wydają je tysiącami. Problemem jest natomiast wiza. Najwięcej wiz wjazdowych wydaje jak dotychczas ambasada RFN. Kolejka oczekujących na wizy pod przedstawicielstwem RFN w Warszawie osiągnęła w tym sezonie letnim kosmiczne rozmiary (mówi się o 30 do 70 tysięcy oczekujących). Jednak i tutaj władze zachodnoniemieckie mają kilka projektów zmian, zmierzających oczywiście do zmniejszenia liczby Polaków wjeżdżających do RFN. Według ostatnich doniesień prasowych, wizę mieliby otrzymywać w przyszłości tylko członkowie najbliższej rodziny Polaka mieszkającego w RFN. Przy przyjeździe osób spoza tego kręgu zapraszający miałby wpłacać kaucję pieniężną (w prasie wymieniono sumę 2.000 DM), która przepadałaby w momencie gdy zapraszany pozostałby w Niemczech Zachodnich. Już ograniczana jest liczba wiz wydawanych w Warszawie (ostatnio wizę zachodnoniemiecką otrzymuje 60 osób dziennie, dawniej wydawano ich kilkaset). Skracą się także ważność wiz wjazdowych.

Wszystkie te posunięcia władz zachodnoniemieckich świadczą o coraz realniejszej polityce ograniczania długoterminowych przyjazdów cudzoziemców do RFN. Projektów zmian jest zbyt wiele, by można mieć nadzieję, iż w tej kwestii nic się nie zmieni.

Wiktor GROTOWICZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

O religii bez namaszczenia

Jezus Kazantzakisa i Scorsese

Dwoista natura Chrystusa — tęsknota tak ludzka, tak ponadludzka, by osiągnąć Boga, albo raczej by do Boga powrócić i zjednoczyć się z nim — była dla mnie zawsze niezgłębioną tajemnicą. Ta nostalgia, niepojęta i bardzo realna zarazem, otworzyła we mnie głębokie rany, lecz była również źródłem ożywczych strumieni.

Nikos Kazantzakis

1

Nie miałem zamiaru iść na ten film. Nie mam zwyczaju zrywać się na każdy ostatni krzyk tak zwanego życia kulturalnego, a w tym przypadku skandal i hałas, które poprzedziły pojawienie się „Ostatniego kuszenia Chrystusa” tym bardziej nakazywały, jako punkt honoru, nie ulec owczemu pędowi do kina. To, co słyszałem o filmie, nie budziło mojej sympatii ani szczególnego zainteresowania. Jeszcze jeden Cecil B. de Mille czy Pasolini? Intymne życie Jezusa i seks? Przypomniły mi się filmy brutalnego odbrażowiacza Kena Russella, który kazał nam zgłębiać wstydlive szczegóły życia Wagnera czy Czajkowskiego. Jest jakaś fascynacja w myśli, że wielcy ludzie też są tylko ludźmi i że najwspanialszy monarcha siedzi ostatecznie na zwykłym ludzkim tyłku. Wiemy to, ale czy warto to pokazywać? Respektujemy normalną wstydlivość naszych bliźnich i nie podglądamy ich tam, gdzie nie trzeba. Dlaczego sławni ludzie mieliby z tego być wyłączeni? Nawet Jezus z Nazaretu? Nie, dziękuję.

Natomiast zdjąłem z półki nieprzeczytaną do tej pory dawniejszą powieść Nikosa Kazantzakisa *Le Christ recruefié* (Płon, bez daty; przekład z greckiego, choć Kazantzakis pisał również po francusku). Przeczytałem — i byłem oczarowany. Jest to z jednej strony całkiem realistyczna powieść z życia greckiej wsi pod panowaniem tureckim w Anatolii, chyba gdzieś w latach

dwudziestych, lecz równocześnie nieskrępowany realiami powieściowymi moralitet. Oto wieś postanowiła na następną Wielkanoc urządzić widowisko pasyjne; pop rozdziela role wśród wieśniaków, nakazując im, by w ciągu tego roku stali się godni zaszczytu reprezentowania Chrystusa i apostołów. Chłopi, zwłaszcza młody Chrystusik, biorą to zalecenie bardzo serio, tak że faktycznie realizują swoje role w życiu, lecz w sposób całkiem dla popa niespodziewany. Ostatecznie w życiowej realizacji popowi przypada rola Kajfasza, której nikt nie chciał wziąć (tak samo jak roli Judasza, ale w życiu jest i Judasz), bo wyznaczony przez niego Chrystus, stając w obronie umierających z głodu uchodźców z innej wsi, zagraża porządkowi społecznemu i musi zginąć. I ginie, zlinchowany przez wściekłych gospodarzy pod wodzą samego popa. Są w tym echa dalekiej rewolucji bolszewickiej, na którą Kazantzakis, jak skądinąd wiadomo, dał się nabrać; pocieszmy się, że nie on jeden. Ale kontekst społeczny powieści jest całkowicie podporządkowany inspiracji religijnej. Młody wieśniak Manalios, zanim stał się groźbą dla ustalonego porządku, przechodzi głębokie przeobrażenie wewnętrzne i znajduje nieopisaną radość w naśladowaniu Chrystusa. Jak mówi o nim jeden z jego towarzyszy: „Świat Boży jest piękny, ale człowiek, którego Bóg nawiedził, jest jeszcze piękniejszy”. Potrafię zrozumieć, że Kazantzakis został wyklęty przez państwo greckie jako komunista, a przez Kościół grecki jako heretyk (podobnie jak jego Manalios), ale nie tyle za „Chrystusa ponownie ukrzyżowanego” co za nieco późniejsze właśnie „Ostatnie kuszenie”, które i Pius XII umieścił na indeksie. Ale nie potrafię uwierzyć, by Kazantzakis chciał świadomie szokować lub bluźnić.

Niemniej na film poszedłem z pewną obawą w sercu — tak samo jak ongiś na *Jesus Christ Superstar* (uzasadnioną) czy pozornie podobnego charakteru *Godspell* (całkiem nieuzasadnioną). Obawa czego? Niesmaku, zażenowania, może jakiegoś zatrucia wyobraźni. Ale już po paru minutach musiałem przyznać, że film Martina Scorsese jak i powieść Kazantzakisa, na którym jest oparty, jest dziełem głęboko poważnym i głęboko religijnym. Mowy nie ma o bluźnierstwie i mowy nie ma o poszukiwaniu sensacji dla celów komercyjnych. Jest to raczej dysertacja teologiczna w obrazach na temat człowieczeństwa Jezusa, o którym wiara mówi, że był równocześnie człowiekiem i Bogiem. Film w sposób dobitny, nawet czasem rażący koncentruje się na jego człowieczeństwie, lecz głosi także jego Boże posłannictwo, przynajmniej posłannictwo. Jezus Kazantzakisa/Scorsese jest człowiekiem, który kocha Boga i jest prześladowany przez Boga, bo Pan obrał go sobie za swego rzecznika. Jest to motyw powtarzający się wielokrotnie w Starym Testamencie — prawie każdy z proroków zrazu opiera się niespodziewanemu a ciężkiemu posłannictwu — i usymbolizowany w walce Jakuba z Aniołem. Powtarza się on również w literaturze chrześcijańskiej (np. Thompsona *The Hound of Heaven* czy u Kochanowskiego Kassandra: „Czemu mnie srogi Apollo trapisz?”). Skromny cieśla z Nazaretu też zrazu stawia opór temu straszliwemu wybraństwu,

chciałby nawet stać się go niegodnym. U Kazantzakisa kontrast między słabym człowieczeństwem a potężną boskością jest tym bardziej podkreślony, że jego Jezus jest istotnie słaby, zdezorietowany, zrazu niepewny swego wybraństwa. Ale Bóg nieuchronnie zwycięża. Słaby Jezus staje się nieustraszoną prorokiem, synem Bożym, mówiącym stróżom Prawa „A ja wam powiadam”, idącym świadomie na śmierć krzyżową. Niemniej pokusa zwykłego przeciętnego człowieczeństwa trapi go do samego końca. Nawet na krzyżu jeszcze diabeł w postaci miłutkiego anioła stróża podsuwa mu nęcącą wizję małżeństwa z Marią Magdaleną, życia rodzinnego z żoną i dziećmi, i wreszcie błogiej starości, za którą jednak czai się straszliwy koszmar *niewypełnionego zadania*. To jest owo „ostatnie kuszenie”, które wypełnia końcowe 40 minut filmu. Jezus wraca na krzyż i umiera szczęśliwy, wołając „Wypełniło się”. Wszystko to na tle potwornych realiów życia Palestyny I wieku A.D., jałowej ziemi, nędznego życia, odróżających chorób, ludzkiej złości i rzymskiego okrucieństwa. Golgota, na której wśród nowych krzyżów walają się setki czaszek dawnych skazańców (o czym mówi ostrzegawczo Pilat), nie ma w sobie nic z komfortu kościelnej Drogi Krzyżowej.

2

Jezus był — i jest — prawdziwym człowiekiem i prawdziwym Bogiem. Ten dogmat, którego elementy są już widoczne na kartach Nowego Testamentu, zwłaszcza w listach św. Pawła, został definitywnie sformułowany na soborze nicejskim i chalcedońskim w IV i V wieku. Sformułowanie było wynikiem zetknięcia mistyczno-symbolicznej myśli hebrajskiej z myślą grecką, domagającą się intelektualnego ładu i precyzji. Poprzedziły je gwałtowne spory między dwiema przeciwnymi herezjami: jedną z nich był docetyzm (od greckiego słowa *dokein* = zdawać się), który twierdził, że człowieczeństwo Chrystusa było tylko pozorem ukrywającym Jego esencjonalną boskość, a drugą arianizm, który znów widział w Jezusie z Nazaretu tylko człowieka, poprzez którego Bóg przemawiał i działał. Sobory odważnie zestawily obok siebie obydwie sprzeczne twierdzenia, wbrew wymogom helleńskiej logiki, w poszanowaniu tajemnicy, której ludzka logika i język nie potrafią sprostać, pozostając w tej mierze wierne intuicyjnej myśli hebrajskiej. Wytworzyło to stan chwiejnej równowagi, w której teoretycznie afirmowane są obie pozycje (ortodoksja), z tym że w praktyce duszpasterskiej to jedna, to druga pozycja biorą górę (ortopraksja). W ciągu wieków właśnie ten stan chwiejnej równowagi był źródłem dynamizmu chrześcijaństwa. Bo znaczy on, że problem (teoretyczny i praktyczny) nigdy nie jest do końca rozwiązany, tajemnica pozostaje na zawsze do zgłębienia. Nazywa się ona Tajemnicą Wcielenia. Pragnienie stabilności i pewności każe nam widzieć w Jezusie Boga, który wszystko może i jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie nasze prośby. Ale ta postawa sprawia również, że Jezus-Bóg jest rady-

kalnie różny od nas, mieszkających na empirejskich wysokościach, daleki od naszej ziemskiej rzeczywistości, naszych zgryzot i cierpień. Wtedy z pomocą przychodzi Jezus-człowiek, właśnie zwykły i wcale nie szczególnie uprzywilejowany człowiek, który też podlega pokusom (pustynia) i wahaniom (modlitwa w ogródcu) i który cierpi przynajmniej tyle, co najmniej uprzywilejowany spośród nas.

Zarzuca się Martinowi Scorsese, że jego Jezus jest niepewny siebie, że nie ma autorytetu, tak że trudno zrozumieć, jak mógł pociągnąć za sobą oddanych uczniów i słuchające go z zapartym oddechem rzesze. Istotnie, ten Jezus jest mocno ariański. W pewnej chwili przyznaje się: „Nie wiem, co będę mówił, ale otworzę usta i będzie przeze mnie przemawiał Bóg”. Bywa słuchany, ale bywa też traktowany z pogardą; jest moment, w którym Magdalena pluje mu w twarz. I ja wolałbym widzieć na ekranie młodsze Jezusa, na którym mógłbym polegać. Ale czy nie stosujemy tu zbyt konwencjonalnie ludzkiej miary? Czy nie wyobrażamy sobie Jezusa takim, jakim współcześni mu Żydzi wyobrażali sobie Mesjasza? Właśnie jako charyzmatycznego przywódcę, wodza, króla? Przecież „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Jezus Kazantzakisa/Scorsese przypomina raczej wzgardzonego sługę Pańskiego z prorocstwa Izajasza: „Któż naszej wieści da wiarę? Któż uzna w niej objawienie mocy Pana? — widząc jego sługę wśród nas, nieważnego jak poszycie lasu, jak roślina w bezwodnej ziemi, bez dostojństwa, majestatu, piękności, którą pozyskałby nasze serca. Zaiste, oto człowiek wzgardzony, który się nie liczy, zgnębiony nędzą i nieobca mu słabość... Ale to on dźwiga nasze grzechy, naszą nędzę on wziął na siebie... przez jego ból zostaliśmy uleczeni” (Iz. 53, 1-5). Jakież więc był prawdziwy Jezus, od którego się to wszystko zaczęło, który przeorał świat?

Wielka chrystologiczna debata pierwszych wieków chrześcijaństwa jest nadal aktualna i duchowo płodna, ale w naszych czasach przybrała ona nieco inną formę. Jak ongiś helleński intelektualizm, tak teraz katalizatorem stał się rozkwit nauk historycznych, archeologii, paleontologii, analizy starych tekstów, a za nimi również biblijnej egzegezy. Zwłaszcza Nowy Testament został poddany dogłębnej historycznej i hermeneutycznej krytyce. I tak wiemy dzisiaj, że najstarsze jego części pochodzą nie od naocznego świadka życia Chrystusa, lecz od nawróconego dopiero szereg lat po ukrzyżowaniu Pawła z Tarsu. Ewangelie, z wyjątkiem może najwcześniejszej św. Marka (około roku 65 po Chr.), w formie, w jakiej zostały przyjęte przez Kościół do kanonu Pisma św., są rezultatem kilku dziesiątków lat ewolucji tekstów, które zrazu były przekazywane tylko ustnie. Pozostałe dwie ewangelie synoptyczne, Mateusza i Łukasza, zdają się być oparte po części na ewangelii Marka, a po części na pisanym już, ale zaginionym źródle, które określa się literą Q. Nade wszystko zaś uświadomiono sobie, że ewangelie nie są beznamietnym zapisem faktów, biografiami Jezusa w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, lecz świadectwami wiary ich autorów w Jezusa zmarłego i zmartwychwstałego. Także Piotr, który miał być bezpośrednim infor-

matorem Marka, patrzy na wydarzenia życia Jezusa, które musiał dobrze pamiętać, poprzez wstrząs, jakim było najpierw ukrzyżowanie, a potem świadomość Jego zmartwychwstania. A ewangelia św. Jana, która powstała dopiero pod sam koniec I wieku, jest nie tyle historyczną relacją, co wysoce rozwiniętym traktatem chrystologicznym na temat Słowa, które stało się Ciałem. Wszystko to stanowi olbrzymią zdobycz, która jednak nasuwała wątpliwość, czy w ogóle możliwe jest, na podstawie tych tekstów, dotarcie do historycznego Jezusa. Zrodziło się rozróżnienie między historycznym Jezusem z Nazaretu a kosmicznym Chrystusem wiary. Niektórzy teologowie (Bultmann, Schweitzer) orzekli, że dotarcie do historycznego Jezusa nie tylko nie jest możliwe, ale też nie jest potrzebne. Fakt, że istniał historyczny Jezus, nie jest już dziś poważnie kwestionowany (jak był kwestionowany, ostatnio już tylko przez krytykę marksistowską), ale poza tym nie wiemy o nim właściwie niczego. Wiemy natomiast, że historyczny Jezus z Nazaretu natchnął obraz tego niezwykłego człowieka, który znajdujemy na kartach Nowego Testamentu, o którym pisarze Nowego Testamentu mówią, że był „doskonałym obrazem Boga”. I ten człowiek jest dla nas ważny. To jest Chrystus wiary.

Jest pewna analogia między zestawieniem pojęć „Jezus-Bóg” i „Jezus-Człowiek” a zestawieniem „historyczny Jezus” i „Chrystus wiary”. Także między tą drugą parą pojęć istnieje stan chwiejnej równowagi, którego nie wolno nam zatracić. Bo z chwilą, gdy przyjmiemy w pełni historyczny agnostycyzm Bultmanna czy Schweitzera, Chrystus wiary staje się, tak samo jak niekwalifikowane pojęcie Chrystus-Bóg, odległą abstrakcją, którą trudno brać dosłownie i traktować całkiem serio i do której trudno się modlić. Lecz w praktyce życia ani Rudolf Blummann, ani Albert Schweitzer (których obrałem tu sobie, trochę arbitralnie, jako reprezentantów tej szkoły) nie byli historycznymi agnostykami. Bultmann był nie tylko akademickim teologiem, ale i wspaniałym kaznodzieją, a Albert Schweitzer bohaterskim pionierem nowoczesnej medycyny w głębiach czarnej Afryki. Chrystus wiary, który był ich natchnieniem, był również konkretnym człowiekiem, właśnie Jezusem z Nazaretu, do którego potrafili się modlić i którego potrafili naśladować.

Coś podobnego widzę w postawie Kazantzakisa i Martina Scorsese. Tyle że ich punkt wyjścia zdaje się być inny, wprost przeciwny. W każdym razie filmowy Jezus „Ostatniego kuszenia” jest przede wszystkim człowiekiem do tego stopnia, że trudno nam w tym człowieku ujrzeć „doskonały obraz Boga”. Dogmat Wcielenia do tej filmowej postaci całkiem nie pasuje. Film jest jak gdyby protestem przeciw „Chrystusowi wiary”, którego choćby wspaniałość kościelnej liturgii wyniosła na takie wyżyny, że grozi nam zatracenie z nim kontaktu, i który równocześnie stał się wygodną konwencją, która niezbyt nam zakłóca naszą zwykłą przyziemną egzystencję. Radą na to jest powrót do konkretnego Jezusa, borykającego się z Bożym wezwaniem wśród brudu i nędzy rzymskiej Palestyny, borykającego się także ze swoją

własną słabością. Co znaczy w gruncie rzeczy, że punktem wyjścia twórców filmu jest jednak Chrystus wiary, Chrystus-Bóg. Dodajmy, że radą na to jest również praca zakonnic Matki Terezy w Kalkucie czy gdzie indziej, które podnosząc z ulicy umierający zewłok ludzki mówią sobie i Bogu, że dotykając tej nędzy dotykają Jezusa. I praca niezliczonych wolontariuszy, wyznaniowych czy bezwyznaniowych, w jakimś nawiedzonym katastrofą Sudanie czy Bangladeszu. Nawet dla bezwyznaniowych, twierdzą, punktem wyjścia i natchnieniem jest Chrystus wiary.

Wynikałoby z tego, że przeciwstawność pojęć „Bóg-Człowiek” oraz „Chrystus wiary-Jezus z Nazaretu” nie jest tak radykalna, jak się nam w naszym porządnym, hellenisko-intelektualnym myśleniu wydaje. Istnieje punkt stykowy między człowieczeństwem a boskością i istnieje tylko jeden niepodzielny Jezus Chrystus.

3

Atmosfera skandalu, jaką rozpętano dokoła „Ostatniego kuszenia Chrystusa” jest niezrozumiała i głęboko gorsząca. Na dobro katolickich władz kościelnych trzeba zapisać, że jeśli nawet na wieść o filmie zareagowały trochę panicznie, to jednak zachowały umiar i biskupi na ogół ograniczyli się do łagodnego ostrzeżenia, by filmu raczej nie oglądać. Wobec rozmiaru kalumnii, jakimi film obrzucili religijni fundamentaliści amerykańscy, panika była nawet zrozumiała. Biskupi czuli się zobowiązani chronić wiernych przed bluzgami rzekomego bluźnierstwa. Kardynał Lustiger oświadczył: „Nikt nie ma prawa obrażać uczuć milionów ludzi, dla których Jezus znaczy więcej niż ojciec i matka”. Kardynał Hume zasięgnął opinii zaufanego eksperta, któremu polecił zobaczyć film, i dopiero potem wydał swoje ostrzeżenie. Ale jest chyba w tej postawie jakaś nadmierna płochliwość. Życie nader często zdaje się zadawać kłam wierze w dobrego Boga i rzeczą wiary jest właśnie stawiać czoła życiowym atakom. Jeszcze przed pojawieniem się filmu w Anglii Bernard Levin na łamach *Times'a* zarzucał braciom-chrześcijanom, że są ludźmi małej wiary. Wasz Pan, pisał Levin, nie takie zniewagi wycierpiał, ale właśnie dlatego pokonał świat i śmierć. (Levin, nawiasem mówiąc, często podkreśla, że sam chrześcijaninem nie jest, jakby dla podkreślenia, że jego podziw dla chrześcijaństwa nie jest wynikiem wyznaniowej lojalności, lecz respektu dla prawdy). I katolicki *Tablet*, wykazując zrozumienie dla postawy biskupów, stwierdził jednak, że wobec wagi filmu wskazana była bardziej wyważona jego ocena. Sam *Tablet* zresztą ocenił film w sumie negatywnie, wyrażając obawę, że właśnie atmosfera skandalu przyciągnie doń tłumy. Nic podobnego się nie stało. Sam widziałem film w przeważnie pustej sali. Widocznie rozeszła się wieść, że skandalu nie ma i film Martina Scorsese nie jest gorszącą rozrywką. Jest to nawet smutne. Chrystologiczna debata nie budzi dziś takich namietności, jak ongiś wśród zwykłych mieszkańców Efezu lub Konstantynopola.

Tym bardziej niezrozumiałe są gorszące sceny, jakie się podobno rozgrywały w Nowym Jorku, gdy „Ostatnie kuszenie” weszło na ekran kina Ziegfeld. Tam istotnie do kina waliły tłumy, choć kilkuset protestowiczów na klęczkach lub wymachując transparentami perswadowało ludziom, że kupując bilet kupują sobie wieczne potępienie. „Kazantzakis — czciciel Antychrysta”, głosił jeden transparent, a Matka Angelika wykrzykiwała: „Ten film ściągnie najgorszą karę Bożą na nasz kraj”. Rzecz w tym, że ta Matka Angelika stoi podobno na czele największej w Stanach Zjednoczonych kablowej sieci programów religijnych. Wydaje się, że motywy tej kampanii, rozpętanej przez protestanckich fundamentalistów, głoszących swoje przekonania w licznych płatnych programach radiowych i telewizyjnych, były tyleż komercyjne co religijne. (Nawiasem mówiąc, prezydent Reagan ma być wielkim zwolennikiem tego specyficznie amerykańskiego biblijnego fundamentalizmu). Kampania rozpoczęła się już w 1983 roku, gdy Scorsese, w poszukiwaniu producenta, ogłosił swój zamiar sfilmowania powieści Kazantzakisa. Paramount, który zrazu podjął się realizacji filmu, szybko się wycofał. Był moment, że zanosilo się na realizację filmu we Francji, ale gdy francuski minister kultury Jack Lang wykazał gotowość wyasygnowania pewnej sumy na ten cel, stał się celem otwartych i anonimowych ataków, zarzucających mu mafijno-komunistyczną dywersję i wypominających mu przy okazji jego żydowskie pochodzenie. Ostatecznie film został zrealizowany przez amerykański Universal. Ale już w czasie realizacji firma musiała stoczyć niejedną walkę, które czasem przybierały groteskowe formy. Gdy film był gotów, odrzuciła ofertę 100 milionów dolarów, by wszystkie kopie filmu odsprzedać na zniszczenie.

Poza Ameryką walka o film przybrała bardziej umiarkowane formy prawne. W prasie brytyjskiej toczyła się debata, czy byłoby możliwe zakazanie filmu na podstawie sądowego orzeczenia, że film jest bluźnierczy. Przeważało przekonanie — i uznano to także prasa katolicka — że w zróżnicowanym religijnie społeczeństwie, w którym istnieje wolność słowa, bluźnierstwo jest kategorią prawną zbyt wieloznaczną i dlatego społecznie niebezpieczną. Co jest bluźnierstwem dla chrześcijanina, niekoniecznie jest bluźnierstwem dla mahomaetana i na odwrót (a jest w Wielkiej Brytanii między innymi duża mniejszość mahomaetńska). Na przykład całkiem rzeczowy, z pozycji chrześcijańskich zrobiony film o Mahometcie mógłby być uznany przez mahomaetów za bluźnierstwo. Poza tym, jak się rzekło, „Ostatnie kuszenie Chrystusa” nawet z chrześcijańskiego punktu widzenia trudno uznać za film bluźnierczy. Istnieje natomiast w Wielkiej Brytanii, jak w każdym kraju, cenzura moralno-obyczajowa filmów dopuszczonych do eksploatacji komercyjnej. Powołana do tego instytucja — nazywa się ona elegancko Urzędem Klasyfikacji Filmów — jednogłośnie i bez znaczących publicznych sprzeciwów dopuściła film do wyświetlania dla dorosłej publiczności (od 18 lat). „Ostatnie kuszenie Chrystusa” zapewne nie jest ani arcydziełem sztuki filmowej, ani szczególnie udanym dziełem religijnej

refleksji. Nie jest ani wielkim przeżyciem artystycznym, ani nie nastraja do modlitwy. Jeśli przetrwa, to chyba jako dzieło, które starą debatę chrystologiczną wyprowadziło znowu z domeny wąskiego grona ekspertów na szersze forum publiczne — i to jest wielka zasługa Martina Scorsese. Każdy głos w tej debacie jest z natury rzeczy kontrowersyjny, jako że misterium Chrystusa jest zjawiskiem wielowymiarowym, które nigdy nie da się w pełni ogarnąć. Reakcją chrześcijan na ten kontrowersyjny głos powinna być chyba modlitwa, by wszyscy zaangażowani w filmie, tak jego twórcy jak i widzowie, stali się godni udziału w tym misterium. Jak to zalecał swoim parafianom ów pop, sam zresztą niegodny, w poprzedniej powieści Kazantzakisa o „Chrystusie na nowo ukrzyżowanym”.

Antoni POSPIESZALSKI

Pogląd

Miesięcznik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się
w Berlinie Zachodnim
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM6,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIEGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Dnia 26 września br. ukazała się w *Prawdzie* notatka z Polski zatytułowana „Zdaniem naszego korespondenta”. Korespondent powiadomił sowieckich czytelników, że „polskie związki zawodowe wyraziły votum nieufności swojemu rządowi”. Czytelnicy moskiewskiej gazety *Sowietskaja Rossija* wiedzieli o tym już od 16 września, kiedy przeczytali korespondencję z Warszawy Wiktora Rumowa, donoszącą, że rząd polski będzie musiał podać się do dymisji. Nie pisałem o tym — sprawami polskimi zajmują się na łamach *Kultury* inni — gdyby nie przemówienie Zbigniewa Messnera w Sejmie. Były polski premier rzucił w nim odkrywczą formułę, że „rządy odchodzą, a problemy zostają”. Myśl ta poruszyła mnie swoją głębią, a jednocześnie przeniosła mnie w przeszłość. W przeddzień wyborów parlamentarnych w Niemczech 1932 roku Führer powiedział: „Rządy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki zostaje”. 7 listopada 1941 roku formułę tę przywłaszczył sobie Stalin, by oświadczyć: „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki zostaje”. I oto stoimy wobec trzeciego, uaktualnionego wariantu. Gdyby Michaił Gorbaczow znał historię, mógłby po podróży na Syberię ulepszyć tę formułę i powiedzieć: „Generalni sekretarze przychodzą i odchodzą, a problemy są coraz trudniejsze do rozwiązania”.

Gorbaczow udał się na Syberię prosto z 43-dniowego urlopu, ledwie zajrzawszy do Moskwy. Podróż po Związku sowieckim i rozmowy „w cztery oczy” z narodem służą Gorbaczowowi za instrument władzy od pierwszych chwil po objęciu stanowiska *genseka*. Nikita Chruszczow też lubił rozmawiać z narodem w cztery oczy. Ale „cara Nikitę”, człowieka porywczego, ponosił temperament, często wygadywał wiele rzeczy zbędnych, których wcale nie miał zamiaru powiedzieć. „Car Michaił” doskonale nad sobą panuje, zawsze dokładnie wie, co chce powiedzieć i nigdy nie wychodzi poza ramy kilku zdań, które powtarza już od trzech i pół roku.

Kiedy np. słyszy (a dziwnym trafem zawsze tak się zdarza), że ktoś spośród otaczających go słuchaczy powie: „Chcemy, abyście doprowadzili *pieriestrojkę* do końca”, generalny sekretarz nieodmiennie pyta: „Wszyscy tak uważają?”. I dziwnym trafem zawsze słyszy w odpowiedzi: „Wszyscy” (*Sowietskaja Rossija* z 13 września 1988). Bywa też inny wariant. Gorbaczow: „Ogólnie rzecz biorąc poczułem namacalnie, że mieszkańcy Krasnojarsku akceptują *pieriestrojkę*. Słusznie?”. Głosy: „Słusznie!” (*Prawda* z 18 września 1988).

W czasie wrześniowej podróży na Syberię Gorbaczow usłyszał (czego nigdy przedtem nie było) wiele skarg na złe zaopatrzenie. Naród ubolewał przed generalnym sekretarzem na brak kiełbasy, brak mleka, brak cukru... Sekretarz odpowiadał, że żywności brak dlatego, że naród za dużo je. Na dowód przytoczył liczbę wzrostu spożycia mięsa, mleka, ryb itd. na głowę ludności. „Dla pełnego obrazu powiem — dodał generalny sekretarz — że spożycie jaj wynosiło w 1965 roku 124 sztuki na głowę, a w zeszłym roku 272 sztuki” (*Prawda* z 18 września 1988).

Wzrost spożycia jajek ma świadczyć o bezspornych postępach reform Gorbaczowa. Ten przykład przypomniał mi słynną odpowiedź rumuńsko-francuskiego pisarza, Panaita Istrati, który w 1927 roku przyjechał do Moskwy na obchody 10-lecia rewolucji. Wstrząśnięty tym, co zobaczył, usłyszał od przyjaciół komunistów: „Nie robi się omlotu nie rozbijając jaj”. Na co z kolei odparł: „Widzę rozbite jaja, ale gdzie omlot?”. Minęło siedemdziesiąt lat, jaj rozbija się (twierdzi Gorbaczow) coraz więcej, a omlotu jak nie było, tak nie ma.

Należy jednak przyznać, że car Michaił nie zadowolił się krytycznymi liczbami i przyznał, że „cała rzecz polega na ekonomicznych stosunkach na wsi”. Więcej, przyznał, że „ogolocalimy kraj z chłopów”, co „było jednym z największych błędów politycznych”. Wyjście, jakie proponuje — kontraktowanie produkcji rodzinnej, możliwość brania ziemi w dzierżawę i uprawiania jej jak własnej — nie wzbudziło entuzjazmu. Po pierwsze dlatego, że w kraju nie ma chłopów (niewykluczone, że pamięć o rolnictwie trwa jeszcze w Nadbałtyce, w której władza sowiecka zainstalowała się później niż gdzie indziej), a po drugie dlatego, że nie istnieją żadne prawne gwarancje trwałości dzierżawy ziemi. Kto wie, czy nie trzeba będzie siłą zmuszać kołchoźników, by ją dzierżawili... Kolektywizacja na odwrót, że się tak wyrażę.

Z punktu widzenia Gorbaczowa najważniejsze jest — powiedział Sybirakom — aby „ufali naszej polityce i formowanemu obecnie kierownictwu”. Generalny sekretarz objaśnił, że w toku ubiegłych trzech i pół lat zrobiono najważniejsze — mianowicie wypracowano politykę. „Nieprawdą jest, że — jak niektórzy twierdzą — *pieriestrojka* niczego nie dała — oświadczył Gorbaczow. — Dała to, co najważniejsze — politykę” (*Prawda* z 16 września 1988). Główna zaleta tej polityki, którą — jak przyznaje generalny sekretarz — „niekiedy z różnych stron krytykują” polega na tym, że „nikt nie może zaproponować niczego innego”. Czyli, by

przyczyć tytuł zbiorku artykułów pióra intelektualistów stronników Gorbaczowa, „nie ma alternatywy”. Jest tylko droga Michaiła Gorbaczowa, który jak zwykle miękko przypominał, że pora już mniej gadać, mniej krytykować, bo nadszedł czas „spraw praktycznych”. Znaczy to, że prasa powinna „poważniej” odnieść się do różnego rodzaju rozliczeń. Dodajmy *en passant*, że na ten ważny temat wypowiedział się już ponad sto lat temu wielki rosyjski satyryk, Sałtykow-Szczedrin. Bohater opowiadania „Zgrzytanie zębów”, Porfiry Pietrowicz, oznajmił swym ziomkom z miasta Krutogorsk, że „przyszło pozwolenie na gadanie — przyszła *glasnost*”. Od trzech i pół roku we wszystkich językach świata odmienia się słowo „*glasnost*” i usiłuje dojść jego sensu. A Sałtykow-Szczedrin w latach 70-tych ubiegłego stulecia doskonale wszystko objaśnił. „Leżą obok siebie dwa krzemienie — powiada Porfiry Pietrowicz — i nic: milczą. Przechodzi rozumny przechodzień, bierze jeden krzemień, bierze drugi, ogląda uważnie, ostrożnie uderza jednym o drugi — patrzcie no, iskra!”. Ucieszywszy współobywateli nowym odkryciem, Porfiry Pietrowicz zaczyna pomalutku pomniejszać jego wagę: „Używając słowa '*glasnost*', mam rzecz jasna na myśli *glasnost*” życzliwą... Naturalnie nie jeden zrozumie to inaczej i wyobrazi sobie, że w imię *glasnosti* można każdego grzmocić jak bęben. Dla osób gotowych tak pomyśleć powtórzę moje poprzednie porównanie: leżały sobie dwa krzemienie i milczały; przeszedł rozumny przechodzień, ostrożnie uderzył jednym o drugi i skrzęcił iskry! A co by się stało, gdyby przechodzień nie był rozumny? Gdyby uderzył nie ostrożnie? Gdyby w pobliżu leżał nawóz albo inny łatwopalny materiał? Kierując się tymi wyobrażeniami, współczuję *glasnosti* bezrozumnej, a przyklaskuję *glasnosti* rozumnej...”. Albo jak powiedział Michaił Siergiejewicz: „Na pierwszym etapie pokrzyśleliśmy sobie pryncypialnie...” (Sowietskaja Rossija z 13 września 1988).

Kiedy generalny sekretarz bratał się z Sybirakami, Rada Ministrów uchwałała, że czas złagodzić los sowieckich obywateli, cierpiących jak potępienicy wskutek ograniczenia sprzedaży alkoholu. Pierwszy gorbaczowski dekret, uchwalony natychmiast po jego dojściu do władzy, został jeśli nie uchylony, to mocno „rozwodniony”. Gorbaczowska metoda walki z alkoholizmem nie różni się niczym od wszystkich jego ekonomicznych i społecznych posunięć: jest pośpieszna, nieprzemyślana i demagogiczna. Sowieccy obywatele znów mogą bez specjalnego trudu kupować w sklepie spożywczym koniak za 20 rubli, piwo i wino (jeśli będzie).

Po powrocie do Moskwy Gorbaczow skompensował porażkę na froncie alkoholowym zwycięstwem na froncie politycznym. O ile jego reformy gospodarcze i społeczne zawsze robią wrażenie niedokonanych, o tyle jego manewry polityczne są zawsze przemysłane i zapięte na ostatni guzik. Na przedterminowo zwołanym plenum KC generalny sekretarz dokonał zmian w składzie organów rządzących, tj. Biura Politycznego i sekretariatu KC. Prasa zachodnia podkreślała, że były to zmiany niespodziewane, nazy-

wała je „przewrotem” i porównywała do słynnego kontruderzenia Chruszczowa, który w 1957 roku rozgromił „grupę antypartyjną”. W rzeczywistości operacja była nie tylko od dawna przygotowana, ale i zapowiedziana podczas XIX konferencji partyjnej w czerwcu 1988 roku, włącznie z tym, kto wyjdzie z Biura Politycznego we wrześniu tegoż roku. Pierwszy sekretarz obwodowego komitetu partii Republiki Komi, Mielnikow, oświadczył, że w kierowniczych organach znajdują się konserwatyści, stawiający opór *pieriestrojce* i w ogóle... w tym miejscu Gorbaczow przerwał swemu staremu druhowi i zażądał nazwisk: kogo masz na myśli? Może mnie? Mówca bez oporów wymienił Gromykę, Sołomienicowa, naczelnego redaktora *Prawdy* Afanasjewą, dyrektora Instytutu Ameryki Północnej i Kanady Arbatowa.

30 września br. plenum KC posłało na emeryturę Gromykę i Sołomienicowa. Uprzedziwszy, że zamierza zmniejszyć o połowę liczbę pracowników aparatu KC, Gorbaczow zmienił strukturę najwyższego organu kraju. Zamiast licznych (ponad 20) wydziałów, zarządzających wszystkimi dziedzinami życia, utworzono sześć komisji: budownictwa partyjnego i kadr, ideologii, społeczno-ekonomiczną, rolniczą, polityki międzynarodowej i polityki prawnej. Jegor Ligaczow, który uchodził za rywala Gorbaczowa, „drugiego sekretarza”, wodza konserwatystów, stracił ideologię i objął kierownictwo komisji rolniczej. Przypadnie mu zatem kierowanie reformą rolną. Ideologię powierzono nowemu członkowi Biura, Wadimowi Miedwedowowi, b. sekretarzowi KC do spraw „bratnich krajów”. Były przewodniczący KGB Czebrikow wszedł do sekretariatu KC. Jako znany humanista i prawnik objął komisję d/s reformy prawa. Warto zwrócić uwagę na dwa szczegóły. Po pierwsze plan organizacyjny nie wspomina o komisji, która niewątpliwie istnieje, mianowicie o komisji przemysłowo-wojskowej. Po drugie ważny liczbę super-sekretarzy. W Biurze Politycznym wszyscy są równi, ale niektórzy równiejsi. Do równiejszych należą członkowie Biura będący równocześnie sekretarzami KC: to są super-sekretarze. Z ich grona zawsze (jak dotychczas) wybierano generalnego sekretarza. Z reguły było ich nie więcej jak trzech-czterech. W chwili śmierci Czernienki było ich zaledwie dwóch, Romanow i Gorbaczow. Wybór był skromny. Dziś mamy siedmiu super-sekretarzy. Zbyt wiele tłumaczyć, że w rezultacie każdy z nich ma mniejszą władzę. Przy takiej liczbie super-sekretarzy generalnemu sekretarzowi łatwiej rozgrywać swoje „gry”.

Następne posunięcie Gorbaczowa też nie było niespodzianką. 2 października br. wybrano go przewodniczącym prezydium Rady Najwyższej ZSSR. We wrześniowym numerze *Kultury* interpretowałem szczegółowo sens „reformy politycznej”, jaką *gensiek* zaproponował na XIX konferencji partyjnej i zakończyłem: „Polityczna reforma Gorbaczowa przewiduje budowę nowej piramidy władzy: na szczycie jej stanie Wódz, którego głowę wieńczyć będzie zarazem kaszkiet generalnego sekretarza i kapelusz przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR”. 2 października Gorbaczow wykonał przedostatni krok przed zdobyciem szczytu.

Objął mianowicie stanowisko, które przed nim piastowali Breżniew, Andropow i Czernienko. Cała procedura trwała trzy kwadransy. Najwyższy szczebel to przewodnictwo Rady Najwyższej, a nie tylko jej prezydium. Takiego stanowiska jeszcze nie było. Uprawnienia przyszłego przewodniczącego będą ogromne: będzie miał prawo proponować nowe ustawy, kierować polityką wewnętrzną, zagraniczną, obroną i bezpieczeństwem, wysuwać kandydaturę premiera itd. Najważniejszy jednak jest fakt, że skupiona w jednym ręku władza nad partią i państwem zabezpieczy władzę od wszelkich przykrych niespodzianek. Nie obali go żaden spisek KC, co przydarzyło się Chruszczowowi. Poza KC przyszły Wódz będzie mógł wesprzeć się na Radzie Najwyższej, a Rada Najwyższa też nie będzie mogła go obalić, bo wymagałoby to zgody KC. Manewrując między dwoma biegunami władzy, posiadacz kaszkiety i kapelusza zdobędzie — praworządnie! — władzę, jakiej nie miał nikt poza może Stalinem w czasie wojny.

Zgodnie z kalendarzem ustalonym podczas konferencji partyjnej wybory odbędą się między kwietniem a czerwcem przyszłego roku. Niecierpliwy kandydat postanowił przyspieszyć bieg historii. Komentatorzy gubią się w domysłach, czemu tak mu spieszy. Należy przypuszczać, że Gorbaczow postępuje w tym przypadku jak i w innych, naciera tam, gdzie może, i przedstawia swoje zwycięstwa polityczne jako pozytywny owoc *pieriestrojki*. Przemawiając do „kierowników środków masowej informacji, instytucji ideologicznych i związków twórczych” Gorbaczow przyznał: „Na razie zwlekamy, tracimy czas, to znaczy przegrywamy” (*Prawda* z 25 września 1988). Ponieważ w dziedzinie zaspokojenia elementarnych potrzeb ludności Gorbaczow niczego zrobić nie może, postanowił stwarzać pozory ruchu.

Niektórzy sowieccy obywatele wciąż jeszcze nie znajdują odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób rozdział funkcji partyjnych i państwowych prowadzi do zjednoczenia tych funkcji w jednym ręku. Wątpliwości te dręczą wystarczająco dużą liczbę przyszłych wyborców Gorbaczowa, aby gazety poświęcały wyjaśnieniu tej kwestii liczne artykuły. Madame Thatcher natomiast nie ma najmniejszych kłopotów ze zrozumieniem tych wyżyn dialektyki. W wywiadzie dla *New York Times* (29 września 1988) nazywa Gorbaczowa człowiekiem „zarazem proroczym i niewiarygodnie śmiałym” i dodaje: „Wesprzemy jego poczynania wszelkimi dostępnymi sposobami z wyjątkiem interwencji”. Dawno minęły czasy, kiedy zachodni politycy obiecywali nie interweniować w wewnętrzne sprawy ZSSR: wtedy chodziło im o to, że nie będą wspomagać przeciwników władzy sowieckiej. Teraz z trudem powstrzymują się, by nie posłać masywnej pomocy generalnemu sekretarzowi dla poparcia partii komunistycznej.

Proroczy dar Gorbaczowa, o którym wspomina pani Thatcher, jest jeszcze mało znany. Trudno jednak nie zgodzić się z premierem Wielkiej Brytanii, kiedy mówi o jego śmiałości. Dowodzi jej przede wszystkim w zawziętej i subtelnej grze, jaką prowadzi w republikach nadbałtyckich. Po utworzeniu w kwietniu 1988

roku Frontu Narodowego Estonii i po pierwszym konstytucyjnym zjeździe w/w frontu w pałacu, utworzone zostały Narodowe Fronty Litwy i Łotwy. Rady Najwyższe republik nadbałtyckich uchwaliły ustawy o flagach narodowych i oświadczyły, że języki narodowe będą językami urzędowymi. Na wiecach Frontów Narodowych padają żądania większej autonomii gospodarczej republik, likwidacji „białych plam” w historii (prawdy o represjach, o pakcie Stalin-Hitler).

Abstrahując od żądań niezawisłości, które — na razie — nie mają poparcia większości ludności, nic nowego jeszcze nie zaszło. Ukraina i republiki kaukaskie też mają własne flagi narodowe. Gruziński, ormiański i azerbejdżański są językami urzędowymi. Fronty Narodowe istnieją w szeregu krajów socjalistycznych. O ile się nie mylę, nawet w Polsce coś takiego istnieje.

Wydarzenia w Nadbałtyce można uważać za eksperyment w organizacji nacjonal-komunizmu. Na poligon ćwiczeniowy przeznaczono trzy małe republiki (Estonia liczy ok. 1,5 mln mieszkańców, Łotwa — 2,5 mln, a Litwa 3,5 mln). Wszystkie trzy stały się republikami sowieckimi w 1940 roku, a potem, po wygnaniu Niemców, w latach 1944-1945. Z punktu widzenia Gorbaczowa negatywny czynnik (żywe uczucia narodowe) kompensuje czynnik pozytywny, mianowicie fakt, że chłopstwo nie zostało jeszcze w pełni rozgromione. Zbieg tych dwu elementów pozwala liczyć na wybuch entuzjazmu i chęci do pracy, które potwierdzają, że program *pieriestrojki* jest sensowny. Stopa życiowa w Nadbałtyce już dziś jest wyższa niż w pozostałych republikach. Nadbałtyka może zostać oknem wystawowym *pieriestrojki*, czymś podobnym do strefy nadbrzeżnej w Chinach, a w dalszej perspektywie, kto wie, może i sowieckim Hongkongiem...

Jedną z gwarancji stabilności w tym rejonie jest wysoki procent ludności napływowej. Nie przypadkiem jednym z żądań Frontu Narodowego jest zakaz imigracji do republiki. Estończycy stanowią dziś 60 % ludności Estonii, a po wojnie było ich 90 %. Jeszcze wyższy jest odsetek „cudzoziemców” na Łotwie. Najważniejszą gwarancję stanowi jednak partia. Estońska partia komunistyczna aktywnie uczestniczy w tworzeniu Frontu Narodowego. Przy Froncie istnieje już rada konsultacyjna, do której wchodzi przedstawiciele wszystkich organizacji, w tym KC partii, komsomołu i związków zawodowych.

29 września br. *Prawda* opublikowała „Rozmowę o Froncie Narodowym”, w której uczestniczyli sekretarz KC, jeden z organizatorów Frontu i sekretarz komitetu partyjnego dużej fabryki. Sekretarz KC I. Tomme przede wszystkim podkreślił, że „Front Narodowy — to nie alternatywa”. Jego narodziny I. Toome tłumaczy „niezdecydowaną, chwiejną, bierną” pracą poprzedniego kierownictwa partii, które (było kierownictwo!) „traciło zaufanie narodu”. Jeden z organizatorów Frontu Narodowego, kierowniczka katedry dziennikarstwa uniwersytetu w Tartus, M. Lauristin, mówiła, że FN rodził się „w dołach, jako ruch nieformalny” i tłumaczyła, że partia „może spełniać swą wiodącą rolę we FN”

nie metodami biurokratycznymi, poprzez aparat, a „dzięki aktywnej działalności i autorytetowi komunistów, którzy weszli do FN”. Wyraziła też pogląd, że „FN nie grozi ekstremizmem. Ekstremizm nie posługuje się poparciem narodu. Front Narodowy niewątpliwie przerasta ekstremistyczne i lewackie grupki...”. Sekretarz komitetu partyjnego E. Sidorenko wyraził zaniepokojenie „znacznej części ludności nie-rdzennej” i powątpiewanie, czy język estoński koniecznie musi zostać językiem urzędowym, co więcej „bez gwarancji konstytucyjnych, że język rosyjski będzie używany na terenie republiki”.

Partia uważa, że trzyma mocno w rękach Front Narodowy i kontroluje ruch narodowy w Nadbałtyce. Tylko przyszłość może pokazać, jak dalece to przekonanie jest uzasadnione.

W potoku nowości, sensacji i rozliczeń, których pełna jest dziś prasa sowiecka, wciąż wielkie wrażenie robią sprawozdania z badań masowych mordów pod Mińskiem. Łotewska gazeta *Sowietskaja molodioż* z 22 września 1988 opublikowała — o ile mi wiadomo po raz pierwszy — wstępne liczby odkrytych w Kuropatach ofiar NKWD. Archeolodzy z Instytutu Historii Białoruskiej Akademii Nauk odkopali 510 grobów, w każdym z nich spoczywają setki, a niekiedy i tysiące ludzi. Pełna liczba grobów w Kuropatach może sięgać 900. Według wstępnych obliczeń, od 1937 do 1941 roku (tj. do początku wojny) rozstrzelano około 250 tysięcy ludzi... Dziennikarz z *Sowietskij molodioż* widział odzież rozstrzelanych kobiet, mężczyzn i dzieci, koszyki, monety, szczotki do zębów. Widział emaliowany kubek z napisem „Warszawa”. Kierujący wykopaliskami historyk Zenon Pozniak jest przekonany, że wśród ofiar byli mieszkańcy wschodniej i zachodniej Białorusi oraz obywatele państw nadbałtyckich wcielonych do pierwszego w świecie państwa socjalistycznego.

Adam KRUCZEK

12 października 1988

Kronika niemiecka

Przez dwa tygodnie gościł w Berlinie Zachodnim poznański *Teatr Ósmego Dnia*, zmuszony w ostatnich latach do pracy poza krajem (zespół przebywał w Ferrarze). Zaprezentowano trzy spektakle — *Gwiazda Piotła*, *Raport z obłąkanego miasta* (według poezji Zbigniewa Herberta) oraz *Wzlot* (według poezji Osipa Mandelsztama). Odbyło się również specjalne, uliczne przedstawienie *Raportu* w bezpośrednim pobliżu berlińskiego muru. Po spektaklu miała miejsce demonstracja z okazji ósmej rocznicy porozumień gdańskich, w trakcie której przemawiała przewodnicząca berlińskiego *Towarzystwa Soli-*

darności. Edward Klimczak. Z okazji pobytu teatru odbył się ponadto wieczór polskiej poezji z udziałem Sławy Lisieckiej, Tomasza Soldenhoffa i Leszka Szarugi. ■ W *Księgarni Polskiej STODIECK* w Berlinie Zachodnim mieli wieczór autorski Sława Lisiecka i Ryszard Krynicki. ■ Stały, ooroczny ryczałt wypłacany NRD z tytułu korzystania przez RFN z dróg komunikacyjnych przez terytorium NRD, podniesiony zostanie od 1990 roku (na kolejne 10 lat) do 860 mln marek rocznie. Za wszelkie ułatwienia ze strony NRD Bonn musi płacić żywą gotówką. ■ Poznański *Teatr Nowy* podjął przygotowania do nowego spektaklu pt. *Zaśnięcie trzech królów* przy udziale stałych współpracowników: Jerzego Satanowskiego (muzyka), Ireny Biegańskiej (kostiumy) i Emila Wesółowskiego (choreografia). Wiśniewski realizuje spektakl z zespołem *Staatstheater* w Kassel (RFN). ■ *Fundacja Dom Historii* w Bonn otrzymała dar od polskiego malarza i scenografa Józefa Szajny. Donacja obejmuje m.in. prace scenograficzne, inspirowane przeżyciami autora w obozie koncentracyjnym Auschwitz. ■ W okresie styczeń-czerwiec 1988 roku Polacy sprowadzili do kraju 2.526 samochodów, w tym 1.647 z silnikiem diesla. Pobrano z tytułu cla prawie 4,6 mld zł. Krajem największych zakupów jest RFN — 1.872 samochody. Z Berlina Zachodniego sprowadzono do końca czerwca br. 196 samochodów. Na liście marek przoduje zdecydowanie *mercedes* — 667. ■ W bieżącym roku wyjechało z PRL do NRD ponad 167 tys. dzieci, młodzieży i studentów. 48 tys. uczestników zorganizowanych w *Ochotniczych Hufcach Pracy* spędziło ponadto wakacje na „saksach” (praca w rolnictwie). Kilkudziesięciu studentów wyrażono z NRD za „szerzenie wrogiej propagandy” i stałe zatargi ze wschodnioniemieckimi milicjantami. Po raz pierwszy obozy, w których mieszkała polska młodzież były pilnowane przez wartowników. Prasa krajowa pisze, że polscy opiekunowie, nauczyciele i różni komendanci z *Hufców Pracy* zajmowali się handlem. ■ Niezwykle ruchliwy *Deutsches Polen-Institut* z siedzibą w Darmstacie urządził kolejny odczyt polskiego literaturoznawcy. Tym razem prelegentem był Jacek Kubiak z *Instytutu Polskiej Literatury Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza*, który przebywa obecnie w Wiedniu jako stypendysta *Fundacji Humboldta*. Odczyt Kubiaka w Darmstacie: *Maurycy Mochnacki i Młode Niemcy. Literatura w dobie Georga Büchnera*. ■ Jedną z organizatorek uroczystości związanych z otwarciem ultranowoczesnego hotelu *Hyatt* była Karin księżniczka Sobieskiej Bellina Prazmowski zu Schwarzenberg. Później odbył się bal na cześć króla Jana III Sobieskiego... ■ Ministrowie Spraw Wewnętrznych poszczególnych krajów zachodnioniemieckich już ponad rok temu podjęli decyzję, by usuwać Polaków z RFN, jeżeli nie otrzymali prawa azylu. W praktyce wszakże władze terenowe nie przestrzegały konsekwentnie tej uchwały. Obecnie rzecznik frakcji parlamentarnej *CDU/CSU* zajmujący się problematyką azylową, J. Gerster, oświadczył, że jego frakcja będzie się domagała od władz, by energiczniej i bardziej konsekwentnie usuwać z terenu RFN Polaków i Węgrów. ■ Polacy pracujący na czarno w RFN muszą się liczyć z grzywną do 1.000 marek, wyproszeniem i zakazem wstępu do Niemiec Zachodnich. Zachodnioniemiecki pracodawca ryzykuje znacznie poważniejszą kwotę — aż do 100 tys. marek. Obie strony narażone są więc na straty, ale ryzykujących nie brakuje. Najmutniejsze jest jednak to, że spore grupy rodaków pragną się gwałtownie wzbogacić w sposób urągający nie tyle przepisom, ile zwyczajnej uczciwości. Zachodnioniemiecka policja kryminalna, a także prywatne biura ochrony mienia dysponują zwiększającymi się gwałtownie kolekcjami teczek złodziei z polskimi nazwiskami. Coraz częściej Polacy pozostawiają po sobie fatalne wspomnienia. Zachowanie Polaków — najnowszym emigrantów — w RFN jest nieraz haniebne, pozbawione nie tylko godności, ale jakiegokolwiek poczucia wstydu. ■ *Federalny Instytut d/s Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych* wydał ostatnio ciekawą pracę dr Dietera Bingena pt. *Bonn-Warschau 1949-1988: Von der kontroversen Grenzfrage zur gemein-*

samen europäischen Perspektive? (Bonn-Warszawa: Od kontrowersji w sprawie granic ku wspólnym europejskim rozwiązaniom?). ■ Od stycznia do końca sierpnia br. przybyło do RFN ponad 72 tys. przesiedleńców z Polski. W tym samym okresie zarejestrowano 25 tys. Niemców, którzy otrzymali zezwolenie na wyjazd ze Związku Sowieckiego. Przeciętny wiek przesiedleńców — 45 lat. ■ Stowarzyszenie „Wista-Odra” (kierują: Edmund Męclewski, Wacław Piątkowski i Kazimierz Secomski) uzyskało status organizacji wyższej użyteczności publicznej. Antyniemieckie SFO będzie wprowadzało „odpowiednio ustaloną tematykę do programu Nauczycielskiego Uniwersytetu Radiowo-Telewizyjnego i programu studiów kształcących nauczycieli oraz studiów podyplomowych”. ■ Rzemieślniczy Dom Towarowy w Łodzi objął patronat nad sklepem w Düsseldorfie, do którego są kierowane wyroby rzemiosła artystycznego, galanteria skórzana oraz wyroby z drewna. Najbardziej wygląda usługi łódzkich rzemieślników. Będą to remonty samochodów niemieckich w tamtejszych warsztatach. Kontrahent z RFN ma dostarczać auta, wszystkie części zamienne (kto wie jakie?) i niezbędne dodatki takie jak lakier itp., a po wykonaniu naprawy pojazdów zabierze je do RFN. O tego rodzaju usługach dowiadujemy się po raz pierwszy. ■ Przewodniczący chadeckiej organizacji młodzieżowej *Junge Union* (Unia Młodych) Christof Boehr oświadczył po powrocie z Polski: „Dla naszej organizacji takie wizyty, kontakty są niesłychanie ważne. Niewiele było w historii Niemiec tak ważnych spraw, jak pojednanie z narodem polskim. (...) Polska bez pomocy z zewnątrz nie będzie w stanie rozwiązać szybko swych problemów. Sądzę, że my Niemcy, jesteśmy zobowiązani do pomocy Polsce. Uważamy, że w porozumieniu z rządem polskim powinniśmy wyjść Polsce w sprawach kredytowych naprzeciw”. ■ W Oldenburgu (Dolna Saksonia) odbyły się Dni Kultury Polskiej. Program wypełniły wystawy polskiej karykatury, malarstwa, przegląd filmów, występ teatru kukiełkowego *Blik* z Koszalina, zespołu jazzowego z Krakowa i chóru akademickiego z Torunia. ■ W zachodniobermberskiej dzielnicy Steglitz wystąpiły zespoły polskie, m.in. *Zespół Pieśni i Tańca Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej* (Lublin) i chór dziecięcy *Scholares minores pro musica antiqua* z Poniatojew koło Lublina. Imprezie patronowały proręczymowe *Towarzystwo Niemiecko-Polskie* i *Polska Misja Wojskowa* w Berlinie Zachodnim. ■ Przedłużają się rozmowy między Polską i NRD w sprawie rozgraniczenia obszarów morskich w Zatoce Pomorskiej (por. *Kultura* nr 9/1988, str. 111). *Trybuna Ludu*: „Powinna być utrzymana zasada swobodnego, wolnego, niezim nie skrepowanego dostępu [do] portów Szczecin-Swinoujście. Oznacza to, że tor podejściowy do tych portów (blokowany przez NRD w latach 1986-1988 — przyp. A.J.Ch.) przebiegać będzie na polskich wodach terytorialnych oraz wodach otwartego morza”. Uzgodniono w oparciu o powyższą zasadę przyspieszenie rytmu negocjacji i przygotowanie odpowiedniej umowy między państwowej. Podobno „osiągnięto zbliżenie stanowisk” w tej sprawie. ■ Od 1976 roku pozostało na stałe w Berlinie Zachodnim — 16.179 Polaków. ■ W Berlinie Zachodnim ukazał się drugi numer ciekawego kwartalnika literackiego *Słowo*. Redaguje Andrzej Szulczyński; wydawcą jest *Polskie Duszpasterstwo Katolickie* (D-1000 Berlin 42, Götzstrasse 65). ■ SPD sądzi, że jej kwarantanna na ławach opozycji w Bundestagu zbliża się ku końcowi i że w roku 1990, kiedy odbędą się wybory do parlamentu, będzie mogła przejąć ponownie ster rządów w Bonn. ■ Przez kilka tygodni w Księgarni Polskiej *WAWEL* w Kolonii wystawiano znaczki wydane przez *Solidarność* i pocztę podziemną. Wystawa cieszyła się sporym zainteresowaniem zwiedzających. ■ Wieczory autorskie i odczyty Lothara Herbsta: *Biblioteka Miejska* w Biberach (Bawaria); spotkania autorskie w Karlsruhe (Badenia-Wirtembergia); wykład na temat kultury i literatury niezależnej w Polsce (*Centrum Kulturalne* w Karlsruhe); udział w programie *TV* w Kolonii i Zurzychu oraz w *Poetik Workshop* (Literarisches Col-

loquium — Berlin Zachodni). ■ Bońska *Die Welt* przeprowadziła wywiad z Władysławem Bartoszewskim, członkiem nowo wybranego zarządu polskiego *PEN-Clubu*: „Pozostało po staremu — w *PEN-Clubie* nie ma ani jednego komunisty”. ■ Johannes Thull, wydawca z Akwizgranu, od trzydziestu lat zajmuje się wysyłką książek i różnych druków do polskich organizacji kościelnych i osób prywatnych (literatura do prac doktorskich i habilitacyjnych). W sumie z jego pomocą dotarło do Polski ok. 100 tys. druków. Akeja ma charakter całkowicie prywatny. W wydawnictwie *Treff-Punkt* (Tybinga) ukazała się książka Gabrieli Lesser *Leben als ob — Die Untergrunduniversität in Krakau im Zweiten Weltkrieg* (Życie na niby — Uniwersytet Podziemny w Krakowie w czasie drugiej wojny światowej). ■ W Münsztal pod Fryburgiem Bryzgowijskim odbyło się już trzecie polsko-niemieckie forum, zorganizowane przez *Gemeinschaft zur Förderung von Studienaufenthalten Polnischer Studenten in der Bundesrepublik Deutschland e. V.* (Towarzystwo dla popierania pobytów naukowych polskich studentów w RFN). Spotkania polskich i niemieckich studentów odbywają się co roku na przemian w Polsce i Republice Federalnej. W tym roku tematem forum były zagadnienia historyczne. ■ Kulturę polityczną w Polsce i RFN omawiano na trzydniowej konferencji w Weingarten (Badenia-Wirtembergia). Organizatorem spotkania był prof. Gerd Meyer (Tybinga). Politolodowie, socjologowie i historycy z obu krajów spotkali się już po raz trzeci. Tym razem dyskusja skupiła się na problemach partycypacji politycznej. Polscy uczestnicy konferencji mieli również okazję zapoznać się z praktycznym funkcjonowaniem niemieckiej demokracji na poziomie komunalnym. ■ Klub im. J. Mieroszewskiego zorganizował ponadto spotkanie ze znanym ekonomistą, wykładowcą *Katolickiego Uniwersytetu* i pracownikiem *The Heritage Foundation* w Waszyngtonie, doc. dr. Rafałem Krawczykiem. Do 13 grudnia 1981 roku dr Krawczyk był sekretarzem generalnym *Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego*. Tematem dyskusji było przyszłe „przeście od socjalizmu do kapitalizmu”. Oryginalna teoria dr. Krawczyka polega na opracowywaniu, kompleksowym projekcie uwłaszczenia pracowników i rencistów w PRL. Robotnicy mieliby otrzymać akcje przedsiębiorstw, w których pracują. Rencisci i emeryci staliby się udziałowcami *Zakładu Ubezpieczeń Społecznych*. Głównym problemem, przed jakim staje kraj (jeśli nie w tej chwili, to już wkrótce) jest wprowadzenie mechanizmów rynkowych i powstanie w Polsce warstwy samodzielnych przedsiębiorców. W tym kontekście prelegent zwracał uwagę na wartości, jakie do odbudowy zniszczonej przez komunistów gospodarki wniosą obecni emigranci, którzy w odmiennych warunkach politycznych mogą zdecydować się na powrót do kraju. Wtedy ich zachodnie doświadczenie oraz posiadany kapitał mogą odegrać ważną i pozytywną rolę.

FRANKFURT KSIĄŻKOWY: CZTERY PLUS JEDNO

Tegoroczne XXXX Międzynarodowe Targi Książki wypełniły, jak zwykle, frankfurckie tereny wystawowe nieprzebraną masą książkową (7.456 oficyn z 92 krajów; 340 tys. nowości z różnych dziedzin), od której ćmiło w oczach i która zdolna była wpędzić w kompleks każdego autora, bo już przy pobieżnym obejrzeniu tego bogactwa dochodzi się do wniosku, że napisano i wydano (i to jak!) wszystko, i że więcej pisać nie warto bo i tak nikt nie zauważy.

Na *Targach* dominowała w tym roku literatura włoska. Otwarcia największej wystawy książek na świecie dokonali ministrowie spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher (RFN) i Giulio Andreotti (Włochy). Nas

jednak najbardziej interesują stoiska polskie. Oficjalny PRL-owski pawilon miał w sobie charakterystyczną bylejąkość: był duży, pstrokaty i zupełnie bezmyślny, książki rozłożono jak leci, bez dowcipu i puenty, na zasadzie „mydła i powidła”. Z tyłu natomiast, w zacisznych gabineciach panowała atmosfera bardzo luźna. Krajowi wydawcy z wyraźną dumą pokazywali książki Jerzego Andrzejewskiego, Wiktora Woroszyńskiego, Kazimierza Orłowskiego, Bogdana Madeja, Czesława Miłosza, Wiktora Gombrowicza i Igora Newerlego. Miał to być dowód, że autorzy paryskiego Instytutu Literackiego są traktowani na równi z równymi, ale ciągle ci „równiejsi” przeważają... Pełnego przebiccia ciągle jakoś nie widać. Autorów w kraju mamy dobrych, ale poziom poligrafii sprawia, że nie bardzo chce się książki brać do ręki. *Nota bene* pawilon sowiecki był podobny.

Na tym tle skromnie, schludnie i sensownie wypadły stoiska polskich wydawców emigracyjnych. W jednym rzędzie znalazły się trzy: najpierw Instytut Literacki, gdzie honory domu czynił sam Jerzy Giedroyc z Zofią Hertz, i gdzie wystawiano, oczywiście, zarówno *KULTURĘ* i *ZESZYTY HISTORYCZNE*, jak i książki, a wśród nich *Początek* Andrzeja Szczypiorskiego, mieszczący się od dłuższego czasu na liście RFN-owskich *best-sellerów*. Andrzej Szczypiorski był na Targach i Niemcy niesłychanie go fetowali. Przy okazji należy dodać, że wpływowa gazeta, *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, pisała ostatnio z uznaniem o gombrowiczowskiej powieści *Opetani* (Witold Gombrowicz — *Varia*, Instytut Literacki, Paryż 1973), która w tym dzienniku została wydrukowana w całości, w znakomitym przekładzie Klausa Staemmlera.

Z *KULTURĄ* sąsiadowało londyńskie wydawnictwo *POLONIA BOOK FUND Ltd.*, którym kierował dyrektor firmy, Jan Chodakowski. Prezentowano m.in. jeszcze niemal ciepły trzeci tom Aleksandra Wata dzieł wybranych (*Ucieczka Lotha*), *Polski rok 1919* Jana Brzozy, *Z dziejów dyplomacji* Piotra Wandeyca i *Książki zbójce* Wojciecha Karpińskiego, oraz eseje Andrzeja Dąbrowskiego — *Spór o Rosję i inne szkice*. Jak co roku *POLONIA* gościła i prezentowała książki *PULSU* (Edward Raczyński — Tadeusz Żenczykowski: *Od Genewy do Jalty*); *ANEKSU* (Jacek Bocheński: *Stan po zapadzi*); *KONTRY* ze wznowieniami powieści Józefa Mackiewicza i dokumentalną pracę Iechaka (Henryka) Rubina — *Żydzi w Łodzi pod niemiecką okupacją 1939-1945* oraz kwartalnik *ZESZYTY LITERACKIE*. *POLONIA* nie zapominała o ambitnej zachodniobrzeźniańskiej oficynie *VETO*, powstałej w 1985 roku. (Ostatnia ciekawa pozycja: Tomasz Jastrun — *Od prawie dwustu lat*; wybór 22 wierszy w językach polskim i niemieckim).

Trzecie stoisko to książki *Editions SPOTKANIA* (najważniejsza pozycja: Alfred Znamierowski — *Zaciskanie pięści. Rzecz o „Solidarności Walecznej”*), periodyki *SPOTKANIA* i *LIBERTAS*, ponadto publikacje zachodniobrzeźniańskiego *POGLĄDU* (wybór wierszy Lothara Herbsta w dwujęzycznym tomiku) i zastrzeżonej londyńskiej *POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ*. Pp. Vera i Jan Michalscy, właściciele wydawnictwa *NOIR SUR BLANC* w Montriech, Szwajcaria, na osobnym stoisku prezentowali dokumenty, wspomnienia i opinie dotyczące Europy Środkowej i Wschodniej wydane w języku polskim i francuskim, m.in. album poświęcony działalności naukowej i społecznej o. prof. J. M. Bocheńskiego.

Ale nie na tym koniec. Ku powszechnemu zadowoleniu odwiedzających polskie niezależne stoiska, naprzeciwko mieściła się ze smakiem urządzona rosyjska wystawa wydawnicza *OVERSEAS PUBLICATIONS INTERCHANGE Ltd.* (Londyn), reprezentowana przez Ninę Karsov i Serafima Miłoradowicza. Były tu również publikacje oficyny YMCA-PRESS (Paryż) i innych rosyjskich wydawnictw emigracyjnych (tylko frankfurckie *POSSIEW*

znajdował się oddzielnie). Był to widomy znak zblżenia prawdziwej Polski z prawdziwą Rosją.

Toteż ruch był wielki. Do stoisk ciągnęli goście najróżniejszego autoramentu. Widzieliśmy się zarówno dyrektorów krajowych wydawnictw, skłonnych w ramach pewnego „otwarcia”, do wspólnych interesów, wybitnych, krajowych intelektualistów, jak też i przejeżdżną młodzież. Jak zwykle bardzo licznie przybyli na Targi Polacy zamieszkali w RFN.

Andrzej J. CHILECKI

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

Pan Dariusz M. (*Quackenbrück, RFN*). — Dziękujemy za bardzo ciekawy list. Prosimy o adres.

Kronika litewska

Bieżący rok obfitował na Litwie w manifestacje uliczne. Ludność demonstrowała z okazji święta niepodległości 16 lutego i — po raz pierwszy — 22 maja z okazji czterdziestej rocznicy rozpoczęcia masowych deportacji na Sybir. Manifestowano też, jak co roku, w dniach 14-18 czerwca, w rocznicę pierwszych deportacji z Litwy w przededniu wojny niemiecko-sowietckiej. O tych wywózkach pisał w miesiąc później organ litewskich „aktywistów” (kolaborujących z Niemcami), że proporcjonalnie najwięcej ucierpiała polska mniejszość, tj. niedobitki ziemian z Kowieńszczyzny. Ponieważ Polacy mają wiele boleśniejszych rocznic, więc 15 czerwca obchodzą żałobnie tylko Białowie, dawniej na emigracji, a obecnie i w kraju. W tym roku powiewały flagi narodowe, surowo zakazane od ponad czterdziestu lat i odspiewano litewski hymn narodowy, oficjalnie wciąż zakazany. W Wilnie, na skwerze Giedymina, zebrało się około 6 tysięcy osób. Władze nie dały oficjalnie zezwolenia, nie przemawiał przedstawiciel partii, milicji było bardzo dużo. Dwaj demonstranci zostali na krótko aresztowani. Uczestnicy żądali ujawnienia i potępienia zbrodni stalinowskich i przywrócenia suwerenności Litwie. Opozycjonista A. Terleckas poinformował o tym z Wilna telefonicznie Biuro Informacyjne Białów w Strasburgu. Demonstracje w Rydze były o wiele liczniejsze i częściowo pokazano je w miejscowych programach telewizyjnych. Widać było plakaty „Czerwona Armia, wracaj do domu” itp. ■ Do protestów wileńskich już zawczasu nawoływali b. więźniowie Terleckas i N. Saldunaitis, zaś niedawno zwolniony ks. J. Kastytis-Matulionis wydał odezwę, aby dzień 15 czerwca uznać za dzień żałoby i odprawić w najbliższą niedzielę, 19 czerwca, nabożeństwa w intencji więźniów oraz tych, co zginęli na zesłaniu lub polegali w walce o wolność Litwy. ■ W czasie demonstracji wileńskiej w rocznicę deportacji wystąpił Rosjanin, powiadając, że jego ojciec też padł ofiarą terroru stalinowskiego. Jest to próba, jak władze starają się nadać demonstracjom antyrosyjskim i antysowieckim treść antystalinowską i pro-gorbaczowowską. ■ Jeden z najbardziej znanych litewskich pisarzy, dotychczas dość ostrożny, J. Marcinkevicius, ogłosił w poczytnym piśmie *Literatura ir Menas* pamiętnik kobiety deportowanej na Syberię. Wileński

rocznik poezji, dotychczas układny, w tym roku zamieścił tłumaczenia wierszy Miłosza, który był na indeksie i litewskich poetów emigracyjnych, krajowych oraz zesłańców. Wiersze utrzymane są w tonie bardzo antystalinowskim. ■ Dr A. Statkevicius, wieloletni więzień, ostatnio zwolniony, przybył legalnie do USA, żegnany przez kolegów z Grupy Helsińskiej, apelujących by nadal walczył o niepodległość i wolność Litwy. ■ Tenże Statkevicius wspólnie z dwoma innymi członkami Grupy Helsińskiej wystosował pismo do generalnego prokuratora ZSSR: „Co najmniej 50 tysięcy Litwinów, wiele tysięcy Polaków i ludzi innych narodowości zostało zamordowanych na Litwie w okresie stalinowskiego ludobójstwa. Około 200 tys. mieszkańców Litwy deportowano w dniach 20-22 maja 1948 roku. Litwa uczi te niewinne ofiary w dniu 22 maja 1988 roku w kościołach, a w Wilnie po mszy o godzinie trzeciej pp. również na placu Giedymina. Ludzie będą też pamiętać o sprawach tego ludobójstwa. Jeszcze dzisiaj wielu tych winowajców nosi z dumą medale otrzymane od Berii i jego pomocników. Panie Prokuratorze, żądamy ogłoszenia nazwisk wszystkich sprawców tych zbrodni i wszczęcia kryminalnych dochodzeń przeciwko nim. — Podpisane: M. Jurevicius, A. Statkevicius i V. Vaiciunas. 14 maja 1988”. — Ujawnienie faktu masowych deportacji w latach wojennych i powojennych w prasie i literaturze było szokiem dla ludności — ofiary totalnej dezinformacji. W polskiej prasie, a nawet w dokumentach, pisze się o „białych plamach w historii”, a w litewskiej o „krwawych plamach”. Może to odpowiedniejsze. ■ Polska prasa emigracyjna donosi, że władze sowieckiej Litwy wreszcie zatroszczyły się o los najliczniejszych mniejszości narodowej — Polaków. Zdaniem litewskiej prasy emigracyjnej sprawa wygląda nieco inaczej. Najliczniejszą mniejszością na Litwie są Rosjanie i interwencja Moskwy dotyczyła tej właśnie mniejszości, którą Litwini rzekomo dyskryminują w instytucjach republikańskich i wszędzie gdzie mogą. Ta wymówka moskiewska została przybrana w propagandową szatę obrony mniejszości w ogóle. Polacy trochę zyskali, zwłaszcza w dziedzinie komunikacji z PRL, bo już co dzień kursuje pociąg pośpieszny na trasie Warszawa - Wilno, a komunikacja samochodowa dawniej odbywała się przez skrawek republiki białoruskiej, a obecnie bezpośrednio przez granicę polsko-litewską. Na Litwie tego lata były modne wycieczki do Polski, a i dwustronne odwiedziny krewnych były liczne i ułatwione. Jeszcze przed rokiem nie można było z Litwy sowieckiej wysłać żadnych druków, a obecnie zdarzają się wypadki, że książki wyczerpane w PRL można dostać na Litwie i oficjalnie wysłać na Zachód. Ponieważ poziom życia w Polsce się obniżył i są braki w zaopatrzeniu (kartki), a na Litwie przy ograniczonym wyborze towarów jednak żywności nie brak, więc wizytujący PRL-owice odnosi wrażenie, że status satelicki PRL nie jest może tak atrakcyjny. Litewski turysta odnosi podobne wrażenie w Polsce, co ochładza nieco dążenia separatystyczne głoszone ostatnio na manifestacjach wileńskich. Wobec ścisłego powiązania gospodarczego z rosyjskim *hinterlandem* ostrożni Litwini sami nie traktują tych żądań poważnie. Natomiast żądanie większej autonomii cieszy się wielkim poparciem. ■ Litewska Grupa Helsińska wznowiła działalność po długiej przerwie spowodowanej licznymi aresztowaniami. Członkami jej są obecnie: Viktoras Petkus i Balys Gajauskas, wciąż na zesłaniu, Tomas Venclova, Vytautas Skudis i dr Algirdas Statkevicius w USA, Eitanas Finkelsteinas w Izraelu oraz Mėslas Jurevicius, Vytautas Vaiciunas i od niedawna ks. Gustavas Gudavicius, dokooptowany na miejsce zmarłego w niewyjaśnionych okolicznościach ks. B. Laurinaviciusa. Oświadczył on: „Zdaje sobie sprawę, że może mnie spotkać los ks. Laurinaviciusa, ale jestem gotów poświęcić życie za Boga i Ojczyznę”. Grupa Helsińska wystosowała skargę do Gorbaczowa, wymieniając nazwiska wciąż uwięzionych litewskich działaczy. ■ Wznowiła też działalność tajna organizacja „Liga Wolności Litwy” (po litewsku w skrócie „LLL”), która w roku 1978 wydała kilka numerów nielegalnego pisma.

■ Z uchwał organizacji partyjnej związku pisarzy litewskich, ogłoszonych w prasie dn. 23 kwietnia 1988: prosić Radę Najwyższą o zapisanie w konstytucji, że językiem państwowym republiki litewskiej jest język litewski. Potępić dogmatyczne formy propagandy internacjonalistów i skrajnych nacjonalistów. Ustanowić dzień ofiar stalinizmu. Zapewnić używanie języka litewskiego we wszystkich instytucjach edukacyjnych, środkach masowego przekazu i urzędach. Zaniechać projektu dwujęzycznych przedszkoli. Oprzeć naukę historii na historii Litwy. Rozbudować szkolnictwo dla mniejszości narodowych w ich ojczystym języku. Przywrócić prawo do składania prac naukowych w ojczystym języku. Stworzyć w Wilnie muzeum kultury żydowskiej. Roztoczyć opiekę nad zabytkami wszystkich narodowości na Litwie. Z wypowiedzi poszczególnych mówców: liczba dzieci pobierających naukę w języku litewskim spada, a w rosyjskim powoli wzrasta. Przed wojną było 14 szkół średnich z językiem hebrajskim lub żydowskim, a obecnie nie ma ani jednej. Litewska mniejszość w okręgu kaliningradzkim (20 tys. Litwinów), na Białorusi i na Łotwie nie ma ani jednej szkoły. Współczesny rozwój techniki stwarza nowy język, który jest przyswajany w wersji rosyjskiej, a litewski się nie unowocześnia. ■ Spierano się, czy w pierwszej manifestacji wileńskiej w ub. roku uczestniczyło 300 osób czy 500; obecnie manifestacje w Wilnie ściągają już takie tłumy, że urzędowa prasa ocenia je na 90-100 tysięcy, a sami uczestnicy na 130-150 tysięcy. Nawet w Kownie manifestacja protestacyjna „ekologów”, w miejscu gdzie Wilia łączy się z Niemnem, ściągnęła około 50 tysięcy. W Wilnie powiewało około 200 wielkich flag narodowych i setki mniejszych. Zebrani skandowali „Lietuva”. Wśród uczestników demonstracji zauważono sporo młodych w czarnych koszulkach z napisami „Lietuva” i wizerunkiem Pogoni. ■ Zamieszkała w Australii N. Zviržinaite-Salkuniene zwróciła się do Gorbaczowa z prośbą o usunięcie ze stanowiska mordercy jej wuja. Dowiedziała się ona z wydawanego w Australii biuletynu *Baltic News*, że były agent NKWD Petras Raslanas (niegdyś Raslonas) brał udział w dniach 24-26 czerwca 1941 w łasku w Rainie w mordowaniu więźniów. Obecnie mieszka on w Wilnie, 15-18 ul. Klinik, i pracuje w urzędzie spraw religijnych. H. Zviržinas, wówczas dwudziestoletni sztabak, był jedną z 75 ofiar mordu w łasku w Rainie. Salkuniene zwróciła się w tej sprawie do rządu australijskiego z prośbą o przekazanie jej pisma sowieckiej ambasadzie w Canberze. Prosi ona Gorbaczowa: 1) aby Raslanas został przeniesiony na inne stanowisko, gdyż obecne jego obowiązki „ubliżają pamięci w tak straszny sposób zamęczonych ofiar”; 2) aby w łasku w Rainie został postawiony pomnik niewinnych ofiar; 3) aby inny pomnik stanął na ich masowym grobie na cmentarzu w Telszach. ■ 93 księży diecezji żmudzkiej i prałatury kłajpedzkiej zwróciło się do Gorbaczowa w sprawie dyskryminacji wierzących. Sprawy seminarium duchownego, odbudowy kościołów itd. są w gestii ateistów. Doszło do tego, że co czwartą parafię nie zwalczano religii i brak literatury religijnej. Partia nawołuje do zwalczania religii, więc jaka może być równość, kiedy zwalczanie ateizmu jest karalne, a zwalczanie religii legalne. ■ Ks. Alfonsas Svarinskas, więzień polityczny, otrzymał zezwolenie na wyjazd do Niemiec zachodnich na leczenie. Zamieszka on w pobliżu rezydencji duszpasterza litewskiej emigracji biskupa Deksnisa, pozostanie jednak pod opieką miejscowego niemieckiego biskupa. ■ W Kownie mają zostać odbudowane statua wolności i pomnik Witolda Wielkiego. ■ Dnia 28 maja 1988 pierwszy od kilkuset lat Litwin wreszcie otrzymał kapelusz kardynalski. Jest nim administrator apostolski diecezji koszedarskiej, Vincas Sladkevicius. Urodzony w 1920 roku, wyświęcony w roku 1944, sakrę biskupią otrzymał w 1957 roku bez zezwolenia władz sowieckich, toteż długie lata był na zesłaniu jako altarysta w nie swojej diecezji, później wykładał w seminarium. W roku 1982 Watykan uzyskał zgodę rządu i Sladkevicius mógł objąć swą diecezję. Niebawem został przewodniczącym konferencji litewskiego episko-

patu. Ostatnimi laty mógł już utrzymać kontakt z Watykanem. Nominacji pogratiłował kardynałowi telegraficznie b. kolega z Chicago. Po niej jakim czasie depesza wróciła z adnotacją „adres niekompletny”. Koszary to kilku-tysięczne miasteczko z jednym kościołem, więc chyba nie trudno było znaleźć. Nowy kardynał zna przez łaciny i litewskiego również polski, łotewski, rosyjski, włoski, niemiecki i angielski. ■ Organ litewskich zwolenników *pieniestrojki* podał w numerze 17 pełne teksty tajnych protokołów paktu Hitler-Stalin. ■ Wobec mody na potępienie stalinizmu odzywają się głosy, że należy poddać rewizji nazewnictwo ulic, kołchozów, dzielnic itd. W Kownie powołano komisję dla zrewidowania nazewnictwa ulic i ewentualnego przywrócenia starych historycznych nazw. Nazwisko Stalina już w wielu wypadkach usunięto, ale np. kołchoz koło Młat wciąż nosi imię Żdanowa. ■ Litewski teatr młodzieżowy, który spodobał się amerykańskim pisarzom w czasie ich wizyty w Wilnie, udał się w bież. roku do Ameryki ze sztuką dramaturga gruzińskiego pt. „Pirosmanii” oraz Czechowem. Liczne przedstawienia w Chicago i in. gromadziły głównie publiczność litewską. Reżyser Nekrosius. ■ W Wilnie ukazał się album *Beżynica Lietuvoje* (Kościół na Litwie) ze zdjęciami 260 świątyń katolickich i 10 innych wyznań. Album zawiera wkładkę informacyjną w obcych językach, podając ile kościołów odbudowano, przemilcza natomiast, pomimo licznych próśb i zabiegów, ilu nie odbudowano. ■ Dnia 17 sierpnia 1988 odwiedził Wilno przybyły z Moskwy Jakowlew, „prawa ręka” Gorbaczowa. W przemówieniu do litewskich komunistów zapowiedział na przyszły rok reformy na Litwie celem naprawienia błędów, gdyż „wiele błędów popełniono”, ale „niech pierwszy rzuci kamieniem, kto jest bez winy”. ■ Syn ostatniego przedstawiciela „Wolnej Litwy” w Waszyngtonie, prałat A. Backis, został mianowany arcybiskupem i nuncjuszem w Holandii. Ks. Backis od lat zajmował odpowiedzialne stanowiska w dyplomacji watykańskiej i ostatnio towarzyszył kardynałowi Casaroli w podróży do Moskwy. Kardynał Sładkiewicz, przewodniczący konferencji biskupów litewskich, zwolnił część personelu kowieńskiego seminarium duchownego, gdzie poziom nauczania był niski i trudne warunki pracy pod presją policji. Po powrocie do Rzymu oświadczył w wywiadzie z litewską urzędową, że publiczne wystąpienia biskupów są tolerowane jedynie w uroczystościach pacyfistycznych zgodnych z polityką rządu, a nawet propagowanie trzeźwości jest im zabronione. ■ Z litewskiego punktu widzenia wiele rzeczy wygląda inaczej niż z polskiego czy watykańskiego. Litwini uważają się np., że w czasie powojennej repatriacji Polacy obrabowali uniwersytet wileński z licznych zabytkowych zbiorów, albo że z racji obchodów 600-lecia chrztu Litwy kapituła archidiecezji wileńskiej zebrała się w Białymstoku, co potwierdziło podleganie Wilna Kościołowi polskiemu. Jak wiemy, punkt widzenia Watykanu jest odmienny. ■ Litewski obserwator powiada, że w Warszawie stosunek Polaków do Litwinów jest przyjazny, natomiast w rejonie Soleczników, prawie czysto polskim, a obecnie mocno zrusyfikowanym, Litwini są zniechęceni, zwłaszcza przez polskich księży, bo przeważnie stanowią górę partyjną i administracyjną. Natomiast na Litwie stosunek Litwinów do Polaków przybierający z Polski jest podobno przeważnie przyjazny, natomiast do miejscowych ma się częstokroć pretensje, że się jeszcze nie zlitwinizowali. Zmienia się widocznie i nastawienie władz, bo powstało legalne Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie, afiliowane przy Litewskim Funduszu Kultury. ■ Na Litwie istnieją tajne zakony żeńskie podlegające zwierzchnictwu w Polsce. ■ Upřednio podawano, że nie ma w Wilnie grobów akowców, obecnie mowa jest o kilku grobach akowców z 1944 roku na Rosie. Cmentarzowi na Rosie wciąż grozi uszczuplenie z racji projektowanej nowej autostrady.

E. ŻAGIELL

31 sierpnia 1988

Kronika czeska i słowacka

21 sierpnia 1988 roku był dniem dwudziestej rocznicy agresji wojsk pięciu państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Tego dnia po szóstej wieczorem doszło — całkiem nieoczekiwanie — do manifestacji około pięciu do dziesięciu tysięcy przeważnie młodych ludzi na placu Wacława w Pradze. Do przybycia na plac Wacława wezwano niedawno powstałe Niezależne Ugrupowanie Pokojowe. Demonstranci protestowali przeciw obecności wojsk sowieckich w Czechosłowacji, domagali się m.in. prawdy o 1968 roku, uwolnienia więźniów politycznych, wolnych wyborów z niezależnymi kandydatami i zniesienia cenzury. Czeska milicja nie interweniowała, dopóki zgromadzeni nie ruszyli w kierunku zamku na Hradczansk, siedziby prezydenta Republiki. Kolejną niespodzianką było pokazanie zdjęć z demonstracji w dzienniku telewizji praskiej. ■ 21 sierpnia moskiewskie siły bezpieczeństwa rozprężyły na placu Puszkina demonstrację Związku Demokratycznego w dwudziestą rocznicę inwazji na Czechosłowację. ■ Również polska milicja i Wojska Ochrony Pogranicza interweniowały tego dnia na zboczach Śnieżki, gdzie Pomarańczowa Alternatywa próbowała na zaproszenie czeskich przyjaciół dokonać aktu bratniej pomocy. Uzbrojonych w drewniane i plastikowe pistolety i karabiny najeźdźców jak i oczekujących na nich na szczytach Czechów i Słowaków zatrzymano. ■ W oświadczeniu związanym z rocznicą agresji na Czechosłowację Karta 77 wezwała Czechów i Słowaków, by arzućli brzemień strachu i wypowiadali swobodnie swoje zdanie na temat interwencji z 21 sierpnia 1968 roku i polityki, którą ona ze sobą przyniosła. Jednocześnie ci, którzy wtedy wezwali „bratnią armię” na pomoc, powinni wreszcie wyjść ze swej anonimowości i wyjaśnić swoje postępowanie. Jeśli zaś nie takiego nie miało miejsca, powinno to zostać głośno powiedziane. W końcu Karta 77 wzywa władze ZSSR do przełamania tabu i stworzenia przesłanek rzeczowego osądzenia współodpowiedzialności Związku Radzieckiego za losy Czechosłowacji w najnowszej przeszłości. ■ Mimo pewnego złagodzenia postępowania w stosunku do działaczy niezależnych znów zapadł w Czechosłowacji wieloletni wyrok więzienia. Ivan Polansky, 52-letni działacz katolicki z Novej Dubnicy na Słowacji, skazany został na cztery lata więzienia za przechowywanie w swym mieszkaniu literatury religijnej, przeważnie katolickiej. Wyrok sądu z Banskiej Bystricy potwierdzony został 30 sierpnia przed Sądem Najwyższym Słowacji w Bratysławie. Proces odbył się praktycznie za zamkniętymi drzwiami. ■ W tym samym czasie władze czechosłowackie zgodziły się na publikację Biblii katolickiej z przedmową kardynała Tomaška (po raz ostatni Biblia ukazała się w 1979, ale tylko dla protestantów). Warunkiem zezwolenia było sfinansowanie tego przedsięwzięcia w twardych walutach. ■ Petr Uhl w liście do Vasil Bilaka, czołowego twardego głowy w partii czechosłowackiej, oskarża tego ostatniego o kłamstwo. Bilak w rozmowie z Davidem Mellorem, brytyjskim ministrem Spraw Zagranicznych, określił Uhla, nie po raz pierwszy zresztą, mianem terrorysty, który przygotowywał zamachy bombowe i chciał strzelać do ludzi. Uhl, który spędził dziewięć z ostatnich osiemnastu lat w więzieniu za głoszenie swych poglądów i niezależną działalność, zapytuje Bilaka, dlaczego do tej pory nie był sądzony za przygotowywanie owych zamachów terrorystycznych i domaga się takiego procesu. W podobnym liście do redaktora naczelnego *Rudeho Praca* Petr Uhl domaga się sprostowania informacji, jakoby w 1969 roku miał on przygotowywać

zamach stanu i omawiać z innymi plany opanowania praskiej rozgłośni, jak też, że był on sądzony za terroryzm. Owe oskarżenia ukazały się na łamach organu KPCS 18 czerwca w artykule Jaroslava Kojzara *Pod maską pseudorewolucyjnej frazeologii*. Przeciw tym oszczerstwom zaprotestowała też grupa 42 przyjaciół Uhla w liście otwartym do redakcji *Rudeho Prava*. ■ W memorandum skierowanym do władz CSRS oraz Międzynarodowej Organizacji Pracy Karta 77 zwraca uwagę na dyskryminację pracowników reprezentujących inne niż oficjalne poglądy polityczne w zakładach, urzędach i instytucjach Czechosłowacji. Szczególnie drastyczna jest sytuacja nauczycieli, którzy muszą składać ślubowanie wierności państwu i partii komunistycznej. Autorzy memorandum przytaczają przypadki zwolnień z pracy, np. nauczycielek Jany Mičianovej — za to, że posyłała swe dzieci do kościoła, czy Heleny Kamanovej, która publicznie przyznawała się do idealistycznego światopoglądu i uczestnictwa w obrzędach religijnych. Powodem zwolnienia z pracy może być też np. znalezienie w domu literatury religijnej czy niezależnej. ■ W dniach 11-13 listopada ma się odbyć w Pradze sympozjum naukowe nt. Czechosłowacja '88. Pracami komitetu przygotowawczego kieruje dramaturg Vaclav Havel. ■ Pavel Kohout przedstawił we Wiedniu *najważniejsze dzieło swego życia*: pierwszy powstały za granicą elementarz dla czeskich dzieci. Elementarz, zatytułowany *Mama, tata, ja a Eda* (Eda to imię jamnika Kohouta), powstał we współpracy z Jiřim Grušą i malarzem Miroslavem Wagnerem i liczy ponad 500 stron. Do opracowania tej książki skłonił Kohouta fakt, iż czeskie dzieci we Wiedniu korzystać musiały do tej pory z *półprawd i kłamstw* książek wydawanych oficjalnie w Czechosłowacji. ■ Cudzoziemscy udziałowcy w czzechosłowackich przedsiębiorstwach o kapitale mieszanym (*joint ventures*) będą mogli w przyszłości dysponować większością aktywów, teoretycznie nawet 99,9 %, zapewnił pod koniec września w Pradze wiceminister Spraw Zagranicznych Czechosłowacji Jiří Němec. Przedsiębiorstwa te nie będą podlegały odgórnym wytycznym dotyczącym wielkości i rodzaju produkcji, będą mogły swobodnie dysponować własnymi dewizami, a zyski dewizowe transferować za granicę. Ponadto mają zostać stworzone ustawowe gwarancje nieupaństwowienia ich. ■ W pięćdziesiąt lat po porozumieniu monachijskim, które otworzyło III Rzeszy drogę do zajęcia najpierw Sudetenlandu, a potem całej Czechosłowacji, były sekretarz Chamberlaina i późniejszy minister Spraw Zagranicznych oraz premier Wielkiej Brytanii, sir Alec Douglas-Home, stwierdził, iż bez tej ugody Wielka Brytania przegrałaby późniejszą wojnę z Niemcami. W ciągu owych jedenastu kupionych (czeskim kosztem) miesięcy zupełnie nieprzygotowani do wojny Brytyjczycy zbudowali większość swych *Hurricane'ów* i *Spitfire'ów* oraz rozwinęli radar, co stworzyło przesłanki wygrania Bitwy o Anglię, zauważył lord Home.

(amp)

We Wiedniu, 3 października 1988 r.

Ci, co odeszli

Długi Janek

Myślę, że wszyscy przyjaciele Janka Strzeleckiego odczuli to morderstwo, którego padł ofiarą, jak kopnięcie w twarz. Trudno przyjąć do wiadomości, że ta piękna i szlachetna głowa została roztrzaskana żelaznym łomem przez jakiegoś złowrogięgo chłama, któremu, być może, przyjdzie jednak publicznie ujawnić swoje wieczne pohabienie.

Ale obok żałoby i zgrozy inne jeszcze, dziwne nieco uczucie wyłania się z tej absurdałnej śmierci; żal mi tych, którym los nie dał sposobności poznać tego człowieka. Zdaje mi się, że było niemożliwe, by ktoś, kto go znał bliżej, sam nie stawał się dzięki temu lepszy pod takim czy innym względem. Niepodobna, niestety, „opowiedzieć” drugiego człowieka i opisać to, co w nim niepowtarzalne; każde słowo wydaje się nieżywe, jałowe i dalekie od sedna.

Przy bardzo powierzchownej znajomości wydawało się, że Janek jest człowiekiem roztargnionym, źle zorganizowanym i niepraktycznym; wszyscy wiedzieli, że mógł czasem spóźnić się na spotkanie o kilka godzin i że oczekiwanie, iż wykona jakieś zadanie, na przykład napisanie artykułu, na czas ustanowiony, byłoby nadzwyczajną lekkomyślnością. Ale Janek uprawiał sporty wymagające wybitnej koncentracji, czujności i precyzji — wspinaczkę wysokogórską i narciarstwo; wśród bliskich mi ludzi był on bodaj jedynym prawdziwym sportowcem. Nigdy i w żadnym stopniu nie mogłem dzielić tej strony jego życia, którą on uważał za ważną. Nieraz przygadywaliśmy sobie — nie na serio, oczywiście — na ten temat, przy czym ja występowałem w tych rozmówkach jako ociężały i zdegenerowany mieszcuch, leniwy miłośnik komfortu, on zaś jako dzikus, który się obawia, że lodówki i światło elektryczne ducha zabijają.

Był może człowiekiem źle zorganizowanym, ale bynajmniej nie roztargnionym albo niepraktycznym. Przeciwnie, był ogromnie zaradny w trudnościach — zwłaszcza cudzych — a wypowiadanie

się na piśmie sprawiało mu mękę dlatego, że nigdy nie pozwalał swojej myśli ślizgać się po koleinach banału i wygodzie. Drukowanych tekstów zostawił stosunkowo niewiele, ale żadnego czytelnika nie może nie uderzyć, jak bardzo każde słowo ma zaplecze w duchowym natężeniu, a żadne nie jest rezygnacją z myśli, żadne nie zakrywa pustki. Wszystko, co napisał, jest ważne dla nas.

Był człowiekiem nie-ostentacyjnej odwagi, ale uderzającą i w każdej niemal chwili widoczną jego cechą była umiejętność widzenia w każdym, również przeciwniku, jego godności i jakiegoś potencjału dobra i rozumu — jak gdyby wierzył, po kwakiersku prawie, że w każdym jest, przyćmiona choćby, iskra boża: wiara niełatwa dla tych, którzy przeżyli okupację hitlerowską. W dyskusjach mógł być ostry, czasem zgryźliwy, ale nigdy demagogiczny; nigdy też, jak się zdawało, nie tracił całkiem wiary, że adwersarz jest zdolny do tego, by być przekonany.

Stąd Janka gotowość do kompromisu i porozumienia. Zarzucano mu czasami, że zbyt jest uступliwy albo zbyt łatwo przystaje na kompromisy w sprawach politycznych; on sam niekiedy robił sobie wyrzuty z tego powodu. Ale wiedział, że polityka nie jest ostatnim słowem człowieka i że są poza nią jakieś obszary ludzkiego porozumienia, do których można się odwoływać również w walce. W ostatnim tekście, jaki za życia ogłosił, w czerwcowym numerze *Więzi* — tekście pociętym, rzecz jasna, cenzorskimi nożyczkami — powoływał się na Jana Pawła II, aby odróżnić dwa znaczenia słowa „polityka”: „w jednym znaczeniu jest to wszelki przejaw działalności wkraczającej w dziedzinę roztropnej troski o dobro wspólne — i w innym znaczeniu jest to zespół zabiegów partii politycznych, walczących o władzę, co jest znaczeniem, jakie się powszechnie nadaje temu słowu dzisiaj”. Janek był człowiekiem politycznym tylko w pierwszym, a więc arystotelesowskim, a nie w drugim znaczeniu słowa. Był rzeczywiście wrażliwy na możliwości kompromisu w tym sensie, że zależało mu na tym, aby przeciwdziałać naturalnej tendencji każdego konfliktu do samo-zaostżenia i odwoływać się, w miarę możliwości, choćby bez wielkich nadziei, do tych dobrych zasad ludzkiego współżycia, których również przeciwnik nie odważy się wprost kwestionować (wiedział jednak bardzo dobrze, co jest świństwem, a jeśli ktoś sądzi, że jest to umiejętność trywialna, niech się zastanowi). W tym duchu działał jako jeden z doradców „Solidarności” i uczestnik sierpniowych debat. Widział w „Solidarności” nie tylko szansę na naprawę instytucji i gospodarki, ale nade wszystko energię społeczną, dzięki której ludzie w Polsce mogą uwolnić się od przygniatającego życia w kłamstwie i odzyskać poczucie godności ludzkiej, stłamszone w reżymie, gdzie wszyscy mają być robotami, zdanymi na rozkazy samozwańczych władców.

Zdolność do szukania kompromisu pochodziła, jak się zdaje, również stąd, że Janek był nieustannie targany skrupułami różnego rodzaju i nie miał w sobie ani śladu samo-zadufania. Dłate-

go innym było łatwo z nim współżyć, ale dla niego samego współżycie z sobą było ciągłą niewygodą.

Dla człowieka tak wybitnie tolerancyjnego, tak bardzo dbałego o to, by polityka była budowaniem ram, w których każdy mógłby temu, co w nim dobre, pozwolić rosnąć, naturalnym miejscem politycznym była tradycja polskiego socjalizmu niepodległościowego. W tej tradycji, jak ją — za przykładem wielu innych — pojmował, socjalizm nie miał być doskonałą formułą techniczną na rozwiązanie — za pomocą instytucji państwowych — wszelkich spraw ludzkich, ale raczej wolą, skierowaną ku światu bez wojen, agresji, nędzy, ucisku, kłamstwa, szowinizmów. W takiej myśli pracował jako działacz PPS od wczesnej młodości i po wojnie jako przywódca PPS-owskiej organizacji młodzieży akademickiej. Miał sobie później najbardziej wyrzucić to właśnie, że w chwili zniszczenia PPS — zwanego zjednoczeniem partii robotniczych — pozostał w owej zjednoczonej partii, skąd wyrzucono go znacznie później. Oskarżał siebie o małoduszność; nigdy go, oczywiście, prawdziwa „partyjność” nie tknęła, a sama jego w tym miejscu obecność była dziwością, jednym ze świadectw niejakiej połowiczności i niekonsekwencji, jaką odznaczał się polski komunizm nawet w latach stalinizmu. Nigdy nie był nacjonalistą, to znaczy nie uważał narodu za wojownicze, ksenofobiczne plemie, którego zadaniem jest utwierdzać swoją pychę i wyłączność przeciwko światu i przeciwko ludzkim aspiracjom jednostek składających się nań, ale cenił ideę narodu jako pewien szczególny, historycznie ukształtowany obszar porozumienia i współżycia, gdzie ludzie z pełnym prawem szukają sobie miejsca kulturalnej tożsamości i okazują sobie wzajem preferencyjną solidarność. Ani naród ani żadna klasa społeczna nie były dla niego absolutnymi układami odniesienia; jedynym takim układem był poszczególny człowiek z jego uprawnieniem do godnego życia.

Wydawało się niepodobieństwem, by ktoś tego człowieka nienawidził. Jednak ludzi, przynajmniej społecznie aktywnych, którzy by nigdy nie ściągali na siebie nienawiści prawie nie ma. Janek był powszechnie lubiany, ale zdarzali się, choćby nieliczni, którzy go nie znosili; były to jednak żałosne figury, żyjące zawiścią i nienawiścią prawie do wszystkich.

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, poznałem Janka pod koniec 1945 roku, kiedy przyjechał z Warszawy do Łodzi i wpadł na kilkusobowe seminarium pani Marii Ossowskiej, w którym uczestniczyłem. Był już wtedy znanym leaderem ZNMS; ja byłem początkującym działaczem komunistycznej organizacji studenckiej AZWM Życie. Czasami przychodziło nam zderzać się w dyskusjach — co zresztą zdarzało się i później, w całkiem innych politycznych i społecznych okolicznościach, ale dzięki Jance zdolności do porozumienia nigdy, doprawdy nigdy nie pokłócił się i nie naderwali naszej przyjaźni. Po moim wyjeździe z Polski pod koniec 1968 roku i po rozstaniu na warszawskim lotnisku widywaliśmy się zaledwie raz na parę lat, w tym czy w innym kraju, ale każde spotkanie, bardzo radosne dla mnie (a ufam,

że i dla niego) było dalszym ciągiem tej samej przyjaźni nigdy nie przerwanej. Uważałem go za jednego z najbliższych mi ludzi na świecie.

Pamiętam też ostatnie nasze spotkanie, wiosną 1987 roku w Chicago, dokąd Janek przyjechał z wykładem na zaproszenie tamtejszego uniwersytetu. Nie mogłem być obecny na tym wykładzie, lecz spotkałem się nieco później, gdy wrócił z Kalifornii od swojego syna Jurka, aby nas, tj. moją żonę Tamarę i mnie odwiedzić w Chicago. Opowiadał nam między innymi, z pewnym przejęciem — słyszę jeszcze jego głos — o swoich niedawnych studiach nad dziejami hitlerizmu i o tym, jak się przekonał, że w tryumfie narodowego socjalizmu nie było żadnej nieuchronności, że jeszcze na całkiem krótko przed utwierdzeniem się nowego reżymu w Niemczech można było, nawet bez wielkiego trudu, ale z pewną dozą woli i odwagi, zapobiec jego zwycięstwu; wynikiem byłoby zapewne — wywodził — coś innego, niż republika weimarska, zapewne nieprzyjemne państwo pruskie, ale jednak *Rechtsstaat*, a nie machina do ludobójstwa. Po paru dniach wyjechał do Nowego Jorku, a stamtąd do Warszawy. Więcej go nie widziałem. Czy można na serio uwierzyć, że go po prostu nie ma?

Leszek KOŁAKOWSKI

Stulecie urodzin prof. Edwarda Lipińskiego

18 października 1988 roku prof. Edward Lipiński miałby 100 lat. Zmarł 13 lipca 1986 roku.

Urodził się w Nowym Mieście na Mazowszu. Do szkoły średniej uczęszczał w Inowrocławiu i w Warszawie. Jako uczeń Liceum Górskiego w Warszawie był członkiem grupy młodzieży socjalistycznej (1906). Zainteresowania społeczne skierowały go na studia ekonomiczne w Warszawie, a następnie w Lipsku i w Zurychu (1913).

Specjalizował się w zagadnieniach pracy i już w niepodległej Polsce, w GUS-ie opracowywał wskaźniki i organizował statystykę cen, płac i kosztów utrzymania. Dla badania elementów istotnych dla rozwoju gospodarczego zorganizował i uruchomił już w 1928 roku Instytut Badania Konjunktury Gospodarczych i Cen. W Instytucie znaleźli się młodzi, utalentowani ekonomiści (Kalecki, Landau, Poniatowski, Rapacki, Lange...).

Uprzednio, w 1923 roku, E. Lipiński prowadził wykłady z ko-

niunktury ekonomicznej — przedmiot wówczas zupełnie nowy. W 1930 roku po śmierci Lewińskiego objął kierownictwo katedry ekonomii na SGH, która wydzwignęła się na poziom London School of Economics.

Polska posiadała nowoczesny warsztat analizy gospodarczej i formowała ekonomistów wysokiej klasy.

Podczas okupacji niemieckiej prof. E. Lipiński zorganizował tajną wyższą szkołę ekonomiczną pod przykrywką legalnej średniej szkoły zawodowej (I Miejska Szkoła Handlowa). Przed powstaniem było 820 studentów oraz 50 wykładowców, głównie z SGH, ale również z innych uczelni (np. wysiedleńcy z Poznania). Szkoła dawała im możliwości materialnej egzystencji. Duża część poległa w powstaniu (połowa z grupy autora niniejszej noty¹).

Bezpośrednio po wojnie prof. E. Lipiński rozwinął intensywną i szeroką działalność. Jako prezes Banku Gospodarstwa Krajowego uczestniczył w rozruchu produkcji oraz opracowaniu polityki ekonomicznej. W dziedzinie naukowej był profesorem SGH (nazwanej później Szkołą Główną Planowania i Statystyki), profesorem UW i pierwszym dziekanem Wydziału Ekonomii tegoż uniwersytetu.

Ale nie udało się starania o uruchomienie Instytutu Konjunktur i Cen, który — dostosowany do nowych warunków — miał kontynuować badania przedwojenne.

Już pod koniec 1948 roku, po połączeniu PPR i PPS, za krytykę pewnych decyzji politycznych dławiących rozwój gospodarczy kraju prof. E. Lipiński został pozbawiony prezesury BGK. Następnie zawieszono go w funkcjach dziekana wydziału i pozbawiono katedry ekonomii; na terenie szkoły był ledwie tolerowany. „Wulgarna, burżuazyjna ekonomia wolnego rynku jest na indeksie”. „Brak danych statystycznych nie pozwalał na badania podstawowych zjawisk gospodarczych”. „Potrzeba apologii gospodarki socjalistycznej wyparła potrzebę analizy”.

Wybitny specjalista konjunktury został skazany na wykłady z historii gospodarczej i z historii myśli ekonomicznej. W zajęciach nad wydarzeniami historycznymi wybierał zjawiska pozwalające zrozumieć sytuację współczesną oraz wprowadzić poprawną ocenę poszczególnych składników. Część studiów została opublikowana jako „przyczynki do historii, a nie jako sama historia polskiej myśli ekonomicznej, do której napisania czas jeszcze nie nadszedł”².

Jako prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego profesor E. Lipiński odegrał bardzo ważną rolę podczas II Zjazdu Towarzystwa (czerwiec 1956 r.). Tok debat odbiegł od programu. „Po raz pierwszy od dłuższego czasu odbyła się wolna, otwarta i śmiała dyskusja”. Poddano krytyce złe funkcjonowanie głównych

1. Student tajnej SGH Jan Lipiński, syn Profesora, był w tym czasie w obozie koncentracyjnym. Z wykładowców żyje chyba tylko prof. Leon Koźmiński.

2. „Prof. E. Lipiński a polska myśl ekonomiczna”, *Kultura* nr 4/1965, str. 151.

organów administracji gospodarki narodowej oraz czynniki hamujące rozwój nauk ekonomicznych.

W uchwałach kongresu zażądano m.in. wolności badań naukowych i publikacji wyników, kontaktów z przedstawicielami nauki krajów zagranicznych, jawności życia gospodarczego, udostępnienia danych statystycznych oraz powołania Rady Ekonomicznej, której zadaniem byłaby ocena oraz inicjowanie podstawowych aktów gospodarczych kraju.

„Bunt” podczas kongresu zaskoczył władze, miał duży odźwięk wśród kadr gospodarczych i politycznych (PTE jest liczną organizacją naukowo-zawodową) i był znaczącym wydarzeniem.

Po październiku 1956 prof. E. Lipiński odzyskał funkcje uniwersyteckie oraz został mianowany wiceprzewodniczącym Rady Ekonomicznej, która miała wypracować nowy model prowadzący do lepszych wyników gospodarowania.

Ale nie zgodzono się na jego kandydaturę na postać, zgłoszoną przez robotników Żerania. Rada Ekonomiczna, pojęta jako naczelny organ gospodarczy, przestała istnieć. „Dla odmłodzenia kadr naukowych” wprowadzono granicę wieku dla profesorów (70 lat) i wyłączono z normalnej działalności uniwersyteckiej wielu przedwojennych pracowników nauki, w tym i profesora E. Lipińskiego (1958).

Zwolniony z obowiązków uniwersyteckich prof. E. Lipiński opracował kilka dokumentów na temat bieżących wypadków oraz memoriałów skierowanych do władz, by wpłynąć na ich politykę w sensie postępu gospodarczego i nowej wizji socjalizmu. Wspomnijmy, z innej dziedziny, list 59 w sprawie zagwarantowania wolności obywatelskich zgodnie z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, podpisaną przez rząd polski w Helsinkach.

Duże wrażenie, nawet na opinii zagranicznej, zrobił jego memoriał w sprawie nowej wersji Konstytucji, przyjętej 10 lutego 1976, przesłany w formie listu otwartego do I sekretarza KC PZPR E. Gierka.

Nowy tekst ustawy zasadniczej potwierdza strukturę socjalistyczną kraju, nakazuje naśladowanie modelu oraz przyjaźń i współpracę z ZSSR i przyznaje PZPR kierowniczą rolę w społeczeństwie.

„Socjalista od 70 lat”, prof. E. Lipiński czuł się współodpowiedzialny za ewolucję w kraju, która rozwijała się w złym kierunku. Ustrój sowiecki, powstały w tradycjach despotyzmu państwa rosyjskiego, hamuje rozwój tego kraju i nie powinien być naśladowany przez Polskę, która rozwinięta się w tradycjach parlamentaryzmu, wolności i tolerancji i zupełnie innych warunkach gospodarczych. System władzy jednej partii nie pozwala zapobiec błędom czy przestępstwom. Władza narzucona przez mniejszość polityczną prowadzi do totalitaryzmu. Ustrój państwa wymaga potrzeby opozycji z zagwarantowanymi prawami.

Wprowadzenie do Konstytucji obowiązku miłości czy przyjaźni dla Związku Sowieckiego jest sprzeczne z uczuciami Polaków, którzy pamiętają dobrze błędy i zbrodnie, jakich dokonał rząd

sowiecki w stosunku do Polski. Bez ich potępienia nie można myśleć o ich zapomnieniu i przyjaźni.

Bez przymusu rosyjskiego Polska wybrałaby inną drogę ewolucji, bez kolektywizacji, z innym systemem planowania. Rozwój byłby bardziej harmonijny pod względem gospodarczym, społecznym i moralnym. Polska musi zdobyć samodzielność polityczną i bez nacisku zewnętrznego przeprowadzić przebudowę struktur, które hamują dziś rozwój społeczny. Bez przebudowy systemu, która znalazłaby poparcie większości społeczeństwa, krajowi grożą nowe tragedie w formie gwałtownych wstrząsów lub powrót do stalinowskiego typu rządzenia.

Równoległe z działalnością naukową prof. E. Lipiński prowadził akcję humanitarnej pomocy dla osób represjonowanych politycznie i będących w potrzebie: aresztowanych, zwolnionych dyscyplinarnie z zakładów, studentów wyrzuconych z uczelni (marzec 1968). Chodziło o pomoc materialną lub interwencje dla przyspieszenia procedur uniewinniających lub zmniejszających kary. Interwencje przeprowadzał z kilkoma przyjaciółmi, W. Bienkowskim, I. Kielanowskim, A. Słonimskim. Wielki autorytet moralny i wiek tych osobistości ułatwiał interwencje. Miały one charakter indywidualny, ale potrzeby zwiększyły się wielokrotnie po wypadkach 1976 roku w Ursusie i w Radomiu. Należało stworzyć specjalną organizację pomocy.

We wrześniu 1976 w mieszkaniu prof. E. Lipińskiego³ zawiązał się Komitet Obrony Robotników (KOR), który zgromadził również licznych przyjaciół Profesora. Osoby potrzebujące pomocy (prawnej, materialnej, lekarskiej) mogły zwracać się do członków KOR-u (33), których nazwiska, adresy i telefony zostały ogłoszone. Trzydziestu trzech członków KOR-u, różnych orientacji i światopoglądów, miało kilka tysięcy czynnych sympatyków i mogło rozwinąć szeroką działalność. Jawne istnienie KOR-u, pierwszej niezależnej organizacji społecznej, wywołało powstanie innych organizacji — ROPCIO, KPN.

KOR wydawał *Biuletyn Informacyjny*. Opracował i opublikował (1 grudnia 1979) Kartę Praw Robotniczych, zakładającą uznanie prawa do strajków, podwyższenie płac i lepsze warunki pracy.

W pewnym powiązaniu z KOR-em rozwijał się cykl wykładów Towarzystwa Kursów Naukowych. Chodziło o wykłady dyskusyjne przed ograniczonym gronem słuchaczy na tematy bieżące i niecenzurowane. Poważna część zajęć odbyła się „przy Koperniku”, w lokalu gdzie podczas wojny pracowała „Szkoła Lipińskiego”.

Członkowie i współpracownicy KOR-u uczestniczyli w organizacji pierwszych niezależnych związków zawodowych, które dały początek „Solidarności”, w której rolę doradców spełniali często wybitni specjaliści związani z KOR-em.

A kiedy „Solidarność” okrzepła i stała się wielką organizacją narodową, KOR uznał, że „należy jej siłom i zamiarom powierzyć walkę o naprawę Rzeczypospolitej”. Zawiadomienie o samoroz-

3. Tam odbywały się także zebrania KOR-u.

wiązaniu się KOR-u i związane z nim przemówienie wygłoszone przez prof. E. Lipińskiego podczas I Zjazdu w Gdańsku (28 sierpnia 1981) wywołało ogromne wrażenie na uczestnikach Zjazdu.

Lista publikacji prof. Lipińskiego obejmuje ponad 300 pozycji, w tym 25 książek. Prawie pół wieku (1928-1977) sprawował funkcję redaktora naczelnego *Ekonomisty*, jednego z najlepszych przeglądów „poświęconych nauce i życiu”. Przez 40 lat (1928-1968) był prezesem PTE, przez szereg lat członkiem światowego związku ekonomistów (AISE) i od 1981 honorowym prezesem tej organizacji.

Żył długo. Myślał, że przeżyje 100 lat. Chory, czując, że koniec się zbliża, nie chciał umierać. Chciał zobaczyć, czy i jak gospodarka polska wydrżwiegnie się z obecnej trudnej sytuacji.

W testamentie napisanym jeszcze za czasów „kultu jednostki” zażądał pogrzebu religijnego. 17 lipca 1986 roku po nabożeństwie w kościele św. Karola Boromeusza spoczął na Powązkach.

Henryk WRONSKI

AGENCJA „MOST”

Z inicjatywy środowiska dziennikarzy niezależnych — członków SDP oraz zespołu autorskiego i redakcyjnego kwartalnika i wydawnictwa *Wolne Pismo* MOST powołuje się Agencję Publicystyczno-Wydawniczą MOST (AP-W MOST).

1. Agencja oferuje teksty publicystyczne (artykuły, opracowania, wywiady, reportaże, komentarze etc.) oraz teksty książek (w tym przekłady z języków obcych) wydawnictwom i periodykom w kraju i za granicą.

2. Agencja zgłasza własne propozycje tematyczne i realizuje złożone zamówienia.

3. Agencja ma możliwość uzyskiwania zgody polskich oficyn emigracyjnych na przedruki ich wydawnictw w kraju.

4. Warunki współpracy Agencji z jej kontrahentami oparte są na dwustronnych porozumieniach.

5. Pracę Agencji organizuje kolegium, którego działalność (merytoryczna i finansowa) pozostaje pod kontrolą społecznej Rady Nadzorczej.

6. Agencja uzyskuje fundusze z opłat za swoją działalność i z darowizn. Ewentualny zysk przeznaczony jest na rozwój działalności merytorycznej Agencji.

7. Agencja ma swych przedstawicieli na Zachodzie.

8. Z Agencją należy kontaktować się kanałami kolporterskimi, a także za pośrednictwem redakcji: „MOSTU”, „PRZEGŁADU WIADOMOŚCI AGENCYJNYCH” (PWA), „CDN — GŁOS WOLNEGO ROBOTNIKA”, „WOLI” oraz w każdy inny rozsądny sposób.

Kronika kulturalna

O nawrocie w filozofii

Zamierzam przedstawić w tym artykule pewien pogląd na filozofię XX wieku. Bronię go od przeszło trzydziestu lat, choć zrozumienie jego pozytywnej strony przyszło znacznie później. W moich kołach nikt, ale to naprawdę nikt, negatywnemu składnikowi tego poglądu nie przeczy — Sir Carl Popper twierdził nawet niedawno, że jestem pod tym względem za mało radykalny. Ale poniżej sformułowane myśli są skrajnie przeciwne powszechnie przyjętym w Europie kontynentalnej, a bodaj jeszcze bardziej w Polsce. Tak dalece, że zostałem wielokrotnie źle zrozumiany. Jestem prawdopodobnie sam częściowo winien nieporozumieniom, bo przedstawiałem moje myśli przeważnie w sposób fragmentaryczny i polemiczny. Chciałbym temu tutaj zaradzić przez systematyczny, pozytywny wykład wymienionego poglądu.

Twierdzenie pierwsze: okres zwany zwykle „filozofią nowożytną” (XVI-XIX wiek) jest w filozofii okresem minionym, zamkniętym.

Na przełomie XIX i XX wieku nastąpiło zerwanie z epoką nowożytną, podobne do tego, jakie Europa przeżyła duchowo w czasach Odrodzenia. Autentyczna filozofia współczesna różni się od nowożytnej równie głęboko, jak ta ostatnia od filozofii średniowiecznej. Odmienna jest postawa, inna problematyka i metoda.

Oczywiście, nie ma w historii nagłych przejść. Pogrobowcy minionego okresu działają zwykle jeszcze długo po jego zamknięciu. Tak na przykład Kajetan, jeden z najwybitniejszych tomistów, a więc scholastyk, żył w XVI wieku, gdy Renesans był w rozkwicie. W tym samym wieku ukazała się *Logica maior* Pawła z Wenecji, jedno z najważniejszych dzieł logiki średniowiecznej. Podobnie nasz wiek znał nie tylko różne różnizmy i heglizmy, ale nawet prawdziwy paroksyzm antropocentryzmu, filozofii, która

stawia człowieka w ośrodku świata i myśli — a mianowicie w postaci egzystencjalizmu. Tylko że to są pogrobownicy umarłego okresu; Jaspers jest równie mało myślicielem nowej epoki, jak Kajetan, scholastyk, był filozofem Odrodzenia.

Twierdzenie drugie: okres nowożytny jest w filozofii na ogół okresem bezpłodnym.

Wiek XVI-XIX są prawdziwymi „średnimi wiekami” między scholastyką a myślą naszych czasów. To twierdzenie wyda się zapewne wielu Czytelnikom zdumiewające — tak dalece wmówiono w nas, że są to wieki w filozofii wspaniałe. A jednak łatwo jest wykazać, że tak nie jest — że geniusz, jak pisał Whitehead, wywędrował wówczas z filozofii do fizyki. Filozofii nowożytnej brak podstawowych dyscyplin, które charakteryzują każdą twórczą filozofię przeszłości zarówno w Europie, jak w Indiach. Nie ma logiki — jej ignorancja u takiego np. Kanta jest doprawdy rzeczą zdumiewającą. Nie ma semiotyki. Nie ma wcale albo prawie wcale poważnej ontologii. Brak nawet filozofii miłości zasługującej na tę nazwę. „Wielki” Spinoza definiuje np. miłość jako przyjemność połączoną z ideą przyczyny zewnętrznej, o czym Scheler słusznie powiedział, że jeśli tak, to musimy paść miłością do kiełbasy.

Natomiast jest w filozofii nowożytnej na ogół zdecydowany zwrot ku podmiotowi. Jest to filozofia antropocentryczna, czyniąca z człowieka ośrodek świata i punkt wyjścia myśli. Ten antropocentryzm połączony jest z niekończącymi się spekulacjami wokoło zagadnienia, czy świat istnieje poza myślą — zagadnienia, które jest prawdopodobnie pseudo-problemem. Równocześnie filozofowie tego okresu oddają się z zamiłowaniem bądź obronie religii (jak Kartezjusz i Kant), bądź tworzeniu nowych światopoglądów (jak Spinoza, Hegel i Comte) — co z filozofią ma mało wspólnego.

Oczywiście są, jak zawsze w historii, wyjątki. Jest np. genialny logik Leibniz. Ale brak zrozumienia dla logiki był w jego czasach tak wielki, że Leibniz ogłosił za życia tylko parę swoich studiów logicznych (najważniejsze wydał dopiero w roku 1903 Couturat). Są oczywiście empiryści, którzy usiłują zachować naukowy charakter filozofii. Ale jako całość okres nowożytny jest w filozofii, powtarzam, okresem bezpłodnym.

Twierdzenie trzecie: żywą, twórczą filozofią współczesną jest filozofia analityczna, a razem z nią fenomenologia ejdetyczna.

Przez filozofię analityczną rozumiem rodzaj filozofii uprawianej np. przez Poppera, Bungego, Quine'a, Ayera, Weingartnera — a której przedstawicielami w Polsce byli Ajdukiewicz, Kotarbiński, Łukasiewicz. Tę filozofię charakteryzują cztery hasła: analiza — język — logika — obiektywizm. Te hasła bywały nieraz

wyolbrzymiane — np. filozofowie Koła Wiedeńskiego, przesadzając w obiektywizmie, doszli do pozytywizmu logicznego, a myśliciele oksfordzcy do analizy czysto językowej. Ale to są skrajności, za które analiza jako taka nie jest odpowiedzialna, toteż nazywanie każdego analityka neopozytywistą jest nieporozumieniem, którego podpisany padł m.in. nieraz ofiarą.

Warto zauważyć, że filozofia analityczna nie jest szkołą, ale raczej kierunkiem metodologicznym. Stąd znajdujemy wśród analityków przedstawicieli najróżniejszych szkół — zarówno radykalnych platoników (jak A. Church), jak i skrajnych nominalistów (N. Goodman).

Filozofia analityczna posiada wszystkie cechy każdej wielkiej filozofii przeszłości, których brak filozofii nowożytnej. Uprawia intensywnie logikę, posiada rozbudowaną filozofię języka (semiotykę), rozwija ontologię, zajmuje postawę obiektywną, unika tworzenia wielkich syntez, a tym bardziej światopoglądów.

Fenomenologią ejdetyczną nazywam filozofię typu, który znajdujemy w *Logische Untersuchungen* Husserla, a więc przed jego nawrotem do Kanta. I ona unika wielkich syntez, zajmuje stanowisko racjonalistyczne i obiektywne.

Twierdzenie czwarte: filozofia analityczna jest nawrotem do scholastyki.

Używam celowo wyrażenia „nawrotem”, a nie „powrotem”, aby podkreślić, że nie chodzi o prosty powrót do scholastyki. Między nią a współczesną analizą zachodzą mianowicie dwie różnice. Po pierwsze współczesne matematyczno-logiczne kryteria racjonalności są surowsze od średniowiecznych — w każdym razie od kryteriów stosowanych przez św. Tomasza. Po drugie częściowo wskutek tego analiza współczesna odnosi się z nieufnością do wielkich syntez, które scholastycy chętnie tworzyli.

Ale skądinąd podobieństwo jest uderzające. W obu wypadkach chodzi o wnikliwą analizę. Zarówno scholastyka jak i analiza są filozofiami i logicznymi i obiektywistycznymi. Podobieństwo istnieje nawet w stylu — kiedy się czyta pewne rozprawy, np. w *The Journal of Symbolic Logic*, ma się wrażenie, iż są studiami scholastycznymi. A zarzut subtelności kierowany przez pisarzy Odrodzenia przeciw scholastykom stosowałby się w pełni do naszej filozofii analitycznej.

Dwie uwagi marginesowe

1. Z punktu widzenia światopoglądowego przytłaczająca większość czołowych filozofów okresu nowożytnego to protestanci, względnie tzw. racjoniści, tak dalece, że ten okres wolno nazwać nie tylko nie-katolickim, ale nawet anty-katolickim. Stąd dość zadziwiający jest fakt, że tylu katolików uważa za wzory filozo-

fów tego okresu, względnie jego pogrobowców, Jaspersa, Bubera czy Levinasa — a odrzuca stanowczo filozofię analityczną, która jest, jak powiedziano, nawrotem do katolickiego średniowiecza. Jest to szczególnie uderzające w Polsce, gdzie istniała nie tylko własna myśl analityczna, ale także Koło Krakowskie (ks. Salamaucha, Drewnowski, Sobociński), które świadomie chciało zbliżenia między myślą katolicką a analizą. Jego dążenia zostały zresztą podjęte przez szereg filozofów współczesnych (Hajduk, Koj, Nieznański). A jednak bodaj przytłaczająca większość filozofów i teologów katolików w Polsce nie przyznaje się do tego kierunku, ale do obcej ich wierze filozofii nowożytnej.

2. Do scholastyki chce powracać i to — w przeciwieństwie do analizy — świadomie, także neo-tomizm. Poza wspomnianymi powyżej różnicami, neo-tomizm jest najczęściej prostym powrotem do problematyki i metody scholastycznej. Skądinąd niektórzy jego przedstawiciele idą nieraz na kompromisy z filozofiami nowożytnymi. Piszący te słowa przyznawał się do neo-tomizmu jeszcze bezpośrednio po drugiej wojnie światowej — i jego „Współczesna filozofia europejska” daje pewne pojęcie o tym kierunku.

I. M. BOCHEŃSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 438 — MICHAŁ HELLER

MASZYNA I ŚRUBKI

Michał Heller, dobrze znany czytelnikom z artykułów i przeglądów prasy sowieckiej w *Kulturze*, współautor (z Aleksandrem Niekriem) historii ZSSR *Utopia u władzy*, jednej z najpoczytniejszych książek w drugim obiegu wydawniczym w Kraju, przeprowadził w swojej nowej książce drobiazgową i bogato udokumentowaną analizę systemu sowieckiego. W siedemdziesiąt rocznicę Rewolucji Październikowej, u progu „nowej ery” Gorbaczowa, czytelnik znajdzie w *Maszynie i śrubkach* odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Czy istnieje szansa „przebudowy” systemu sowieckiego? Czy wolno mówić o definitywnym ukształtowaniu „człowieka sowieckiego”? Lektura nieodzowna dla lepszego poznania naszego wschodniego sąsiada.

Str. 288.

Cena F. 120,00.

Książki

Nowości literatury krajowej

„Z notatnika stanu rzeczy”¹

Andrzej Szczypiorski snuje refleksje i stawia diagnozy z pokorą człowieka doświadczonego przez historię, ale nie zrezygowanego i bezradnego. Jego tak często podkreślana tolerancja wobec rodaków nie oznacza akceptacji nieodpowiedzialności i demagogii, mimo iż przemawia do nich z pozycji skromnego obserwatora rzeczywistości ukształtowanej po stanie wojennym. Najnowsza jego książka jest kontynuacją dziennika, rozpoczętego w dramatycznym momencie naszej powojennej historii. *Z notatnika stanu wojennego*, książka wydana przez Polonię Book Fund, zawierała „zapis duchowych doświadczeń” okresu od 13 grudnia 1981 do końca stycznia 1983 roku, następny tom dziennika obejmuje lata 1983-1984 oraz początek roku 1985. Ciekawie rozwija w nim Szczypiorski trzy sprawy: odrodzenie religijne w Polsce, „mit polskiej lepszości” oraz proces toruński.

Autor należy do tych intelektualistów, którzy po różnych myślowych meandrach i burzliwym w ideologiczne przygody poszukiwaniu idei nadrzędnej, nadającej sens życiu indywidualnemu i zbiorowemu, zawinął do przystani o nazwie Kościół katolicki. Dziennik został napisany ze spokojem wynikającym z pewności, że jest to już przystań ostatnia i że „zatoki kościołów” stanowią jedyny konkretny i sensowny ratunek dla zagubionych w świecie totalitaryzmów ludzi. Roli Kościoła nie rozpatruje więc w kategoriach politycznych, lecz wyraźnie i dobitnie podkreśla jej moralny charakter.

Szukanie schronienia w religii nie oznacza ucieczki od świata, lecz powinno być — sędzi Szczypiorski — odbudowaniem swej osobowości w celu dalszego trwania w świecie, w którym

1. Andrzej Szczypiorski, *Z notatnika stanu rzeczy*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1987.

zgubić się nietrudno. Żłudnym natomiast ratunkiem przed złowrogą rzeczywistością jest zasklepienie się w przekonaniu o wyjątkowości własnego narodu. Od tak partykularnie rozumianego patriotyzmu już tylko krok do nacjonalizmu, którego upiory straszą w powojennej Polsce po jednej i po drugiej stronie politycznej barykady. Przerażającą wymownym dowodem na istnienie takiego upiora było morderstwo ks. Popiełuszki. Kapitan Piotrowski jest dla Szczypiorskiego przykładem komuno-faszysty, nie tylko tolerowanym przez panujący u nas system ustrojowy, lecz również przez ten system stworzonym. Proces toruński może więc być znamienym precedensem — fakt, że dziecko systemu zostało w majestacie prawa przez przedstawicieli tego systemu osądzone i skazane, jest według Szczypiorskiego znakiem zachodzących w Polsce przemian. Jakkolwiek autor dziennika zbyt dużą wagę przywiązuje do tego zjawiska, będącego wypadkową niekorzystnego dla władzy spłotu okoliczności, to trudno odmówić racji tej prognozie:

„Wyrok sądu jest pośrednio wyrokiem potępiającym strukturę władzy i metody rządzenia. (...) Przyszłe losy milionów Polaków zależą w znacznym stopniu od tego, w jaki sposób, w jakich formach i w jakim czasie cały naród, a więc także ludzie sprawujący w Polsce władzę, wyciągną praktyczne wnioski z tej strasznej zbrodni i z politycznych konsekwencji procesu toruńskiego”.

Szczypiorski ma również na myśli konsekwencje moralne: w Toruniu okazało się bowiem, że nienawiść nie musi być uczuciem dominującym, nawet w stosunku do zbrodniarzy.

Narrator *Z notatnika stanu rzeczy* występuje w roli człowieka wyznającego chrześcijańskie zasady pokory i skromności. I jeżeli namawia swych rodaków do większego otwarcia się na świat, to podkreśla tym samym konieczność walki z kompleksem niższości, uzewnętrzniającym się w manifestowaniu rzekomej wyższości i wyjątkowości.

Nie literacki więc, lecz przede wszystkim etyczny walor książki Szczypiorskiego przesądził o jej wartości, podobnie jak o wartości zbliżonego w formie utworu Jacka Bocheńskiego², znanego ze znakomitych esejów o historii starożytnego Rzymu. Utwór ten to dziennik szpitalny zatytułowany w sposób równie dosłowny, co metaforyczny: *Stan po zapaści*. Autor znalazł się w szpitalu w stanie przedzawałowym, w połowie 1982 roku. Wydarzenia polityczne przytłaczają go na zasadzie szumu ulicy — dość często odwiedza go przyjaciel, „zawodowy” konspirator, przedstawiony na wpół satyrycznie, trochę w stylu *Małej apokalipsy*, który przekazuje mu w sposób chaotyczny, pełen niedomówień, informacje na temat bieżącego życia politycznego. Ale uwaga autora zaczyna się kierować w stronę życia szpitalnego — drobne, śmieszne nawet problemy pacjentów urastają do spraw pierwszoplanowych. Integruje się ze społecznością ludzi cierpiących

2. Jacek Bocheński, *Stan po zapaści*, Niezależna Oficyna Wydawnicza 1987.

i wyzutych w większym jeszcze stopniu niż zdrowi ze spraw obywatelskich, świadomie zatem skazuje się na doświadczanie polskiej przeciętności. Zdaje sobie sprawę z destrukcyjnego oddziaływania przeciętności, zastanawia się jednak, czy wolno się ponad nią wybijać, lekceważąc egzystencję szarych obywateli. Jest to problem moralny i nie tylko moralny. Także polityczny. Uciekając od przeciętności, prawda, że groźnej, wybieramy inne niebezpieczeństwo, izolację, rozsmakowanie się w bufonadzie i samouwielbienie, co w konsekwencji oznacza utratę kontaktu z rzeczywistością. Z zapisanych na marginesie życia szpitalnego refleksji (a szpital okazuje się patologicznym odwzorowaniem sytuacji w kraju „realnego socjalizmu”) wyłania się, chociaż jeszcze dość mgliście, ważna obserwacja, że władza i opozycja, oddalając się od siebie, zbliżają się jednocześnie w podobnie abstrakcyjnym ujmowaniu istotnych dla egzystencji społeczeństwa spraw. Szary obywatel PRL, zagoniony i zgnojony, coraz mniej wierzy i coraz mniej liczy na jednych i drugich. Jego samotność staje się przerażająca i alarmująca!

Niezamierzonym przykładem tej izolacji społecznej stał się osobliwy pamiętnik więzienny Piotra Skórzyńskiego³. O autorze niewiele wiadomo, najprawdopodobniej jest to pseudonim, i najprawdopodobniej mamy do czynienia z literacką stylizacją, a nie autentycznym dokumentem. Ale w tym przypadku taka czy inna konwencja wydaje się sprawą drugorzędną. Głównym tematem utworu jest bowiem miłość — przekłeta i fatalna, która zrujnowała narratorowi życie. Nie przekonuje jednak siła tej namiętności, gdyż narracja przesycona została erotyczną obsesją, której zawdzięczamy tylko parę udanych, podniecających scen. I prawdopodobnie owa *amour fatal* nie okazałaby się taka fatalna, gdyby na samym początku nieśmiały młodzieniec sprostął zadaniu i zadowolili seksualnie swą platonicznie wielbioną dziewczynę. Po nieudanej nocy kochankowie rozstali się bez słowa i przez lata zachowali do siebie stosunek pełen niechęci, ale i niewygasłej namiętności. To skomplikowane uczucie określiło więc i zdeterminowało zarówno postępowanie bohatera, jak i Nicole. Istotną okolicznością jest fakt, że ojciec dziewczyny pisał w wysokim stanowisku w armii, a ojciec narratora pracował w służbie dyplomatycznej. Miłosna historia rozwija się zatem w środowisku młodzieży wywodzącej się z *establishment'u*. Autor nie wykorzystał jednak nadarzającej się okazji do charakterystyki tego znamiennej dla społecznego krajobrazu PRL środowiska. Poprzestał tylko na stereotypowych ogólnikach. Zasadniczym bowiem grzechem narracji Skórzyńskiego jest werbalizm. W sposób powierzchowny opowiada o dziejach swego bohatera, nie wgłębiając się specjalnie w motywy jego postępowania. W gruncie rzeczy całe życie Krzysztofa było jedną wielką ucieczką od młodzieńczej fascynacji dziewczyną piękną, lecz pustą i zepsutą, mimo pozorów kulturalnej ogłady i literackiej wrażliwości.

3. Piotr Skórzyński, *Jeśli będziesz ptakiem*, Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1988.

Tak też należy interpretować przełom, jaki nastąpił w jego przekonaniach i postawie: z bananowego młodzieńca stał się działaczem opozycji, pomagając w prowadzeniu podziemnego wydawnictwa. Ale opowiadając o swej działalności, której kres położył stan wojenny i aresztowanie, autor skupił uwagę też na wątku romansowym. Z dramatu pozostał więc tylko melodramat: byle jaki Gustaw zmienił się w byle jakiego Konrada, bo porwała go „wielka fala” wydarzeń i zafascynowała niezłomna wola walki z reżimową propagandą przypadkowo poznanego szefa konspiracji. Gdy jednak bohater uwiódł mu dziewczynę, a ów kryształowy przyjaciel popełnił samobójstwo, coż mu pozostało? Wyrzuty sumienia i chęć ekspiacji poprzez więzienną spowiedź życia? Ale nawet ten motyw nie został w opowiedzianej historii dostatecznie wyeksponowany.

Na budowie, czyli polska nierzeczywistość

Zupełnie inaczej konstruuje swojego bohatera, pełnego wyrazu i dynamizmu, Tadeusz Siejak⁴. I zupełnie inaczej, bez nużącego werbalizmu, w sposób ostry i niepozbowiony akcentów satyrycznych przedstawia świat, w którym się bohater znalazł. Aż się wierzyć nie chce, że ów nijaki, emocjonalnie letni utwór Skórzyńskiego ukazał się w wydawnictwie podziemnym, natomiast powieść Siejaka wydały „Iskry”. Uważam to za ewenement, jeszcze na pewno nie symptomatyczny, raczej przypadkowy, chociaż cenzura wyraźnie się liberalizuje. (Pytanie, na jak długo?).

Rzadko się trafia w naszej prozie tak czarny, tak celnie przedstawiony obraz polskiej współczesności. Na przykładzie absurdu w realizacji Zakładu Techniki Ochrony i Wykorzystania Środowiska Naturalnego, zorganizowanego gdzieś w leśnej głuszy, na terenie starych magazynów, udało się autorowi pokazać fikcję działania jako generalną zasadę naszego systemu. Autor dokonuje dosadnego przeciwstawienia: z jednej strony pełen zapału do pracy młody inżynier, który robi błyskawiczną karierę i w ciągu paru miesięcy — mimo nienależenia do partii — zostaje dyrektorem technicznym zakładu, z drugiej odstręczająca od wszelkiej sensownej działalności, obwarowana bzdurnymi przepisami i „wytycznymi” rzeczywistość. Schematyczności uniknął Siejak dzięki zindywidualizowaniu dramatu bohatera, przedstawionego momentami w sposób przejmująco liryczny. Napisał więc powieść o socjalistycznym Hamlecie, zdegradowanym przez rzeczywistość, w jakiej przyszło mu działać, do roli szamoczącego się z absurdami dnia codziennego „fajera”. Hamletowski monolog strywalizowany został przede wszystkim dzięki językowi, odpowiadającemu strywalizowanej świadomości społecznej. Tym językiem mówionym, dobrze już znanym czytelnikom Siejaka z jego poprzednich powieści, została napisana cała *Pustynia*. Sta-

4. Tadeusz Siejak, *Pustynia*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1987.

nowi on przerażające świadectwo schamienia i oglupienia przez środki masowego przekazu części polskiego społeczeństwa, szczególnie ludzi z tzw. aparatu i z kadry kierowniczej. To nowomowa do n-tej potęgi, bełkot z teatru absurdu, posiadający jednak nie filozoficzne, lecz polityczne uzasadnienie. Z kalekich słów ludzie ci kłeczą zdania urągające logice i zdrowemu rozsądkowi. Działają oni bowiem według myślowych stereotypów i z „góry” przyjmowanych instrukcji. Oto jak zwraca się do zgromadzonych na naradzie w KW towarzyszy dyrektorów zastępcza szefa wydziału ekonomicznego:

„Bo tu bym chciał tarzyszy oszczec. Mamy tu dane sygnały potwierdzone przez Warszawę, że organizują się elementy wrogie do ustroju i sąm wypadki. Różne z obrazgłm moralngłm. Różne elementy używajgłm taczek, do czego my nie możemy dopuścić, żeby nam wywozili dyrektorów na taczkach, bo to bije w partię, tarzysze”.

Taki język jest zaraźliwy. Mówią nim nawet robotnicy, gdy zabierają głos na zebraniu. To język oficjalny, ale nieoficjalny też już niewiele lepszy, zgangrenowany. Bo degradacja tego, co ludzkie, ogarnia coraz rozleglejsze obszary życia polskiego społeczeństwa. Więc monolog współczesnego Hamleta nie może brzmieć inaczej:

„...Bycie, kurwa. Albo być i się czołgać, no, wlać w szpary jak robak, pozwalać, żeby na człowieka srali, no! żeby coś po mnie zostało, bo nie ma innego sposobu, no, nie ma, nie ma... (...)

...No. I lepiej być, czy lepiej nie być. I niech się ta pierdoła, Hamlet, ze swoją czaszką schowa! Albo niech tu przyjdzie i mi powie, co ja mam, kurwa, robić?! Czego ja mam chcieć?!”.

Język bohatera bywa wulgarny, ale jest ekspresyjny, nie tak drewniany i odindywidualizowany jak innych postaci. Każda z nich ma określone miejsce w hierarchii społecznej, ściśle przestrzeganej, hierarchii istic feudalnej: wojewoda może pominać dyrektorem zjednoczenia, ordynarnie go besztając, ten z kolei rekompensuje sobie upokorzenie na dyrektorze podległego mu zakładu itd. Wyładować się na człowieku niższego szczebla, a naśladować swojego przełożonego, również jego język. W tej obłudnej karuzeli społecznej bohater zajmuje miejsce osobne, jest więc z góry skazany na klęskę. Nie przestrzegając panujących w świecie, do którego dostał się przez swój awans, reguł gry, czyli nie będąc w tak zwanych układach, został wyrzucony za burtę zmieniającej się po Sierpniu rzeczywistości. Czas akcji umieścił autor we wrześniu 1980 roku, ale nadchodzące zmiany w życiu społecznym i politycznym przedstawił w sposób nietypowy dla naszej współczesnej literatury. Siejak daleki jest od fascynacji sierpniowym przełomem, powierzchowny czytelnik może nawet odczytać jego powieść jako kompromitację następującej wtedy odnowy życia społecznego. Czy jednak polska rzeczywistość, przez tyle lat sprowadzana do ponurego żartu ze

zdrowego rozsądku, mogła się zmienić w tak krótkim czasie? Autor stawia to pytanie otwarcie, pokazując dramat bohatera wyobcowanego bez cienia heroizacji. Narrator *Pustyni* ma świadomość nie tylko swego osamotnienia, zdaje on sobie również sprawę z niedorostania do postawy konsekwentnego i przemyślanego buntu, do czynnego więc przeciwstawiania się absurdalnemu i groźnemu dla elementarnego poczucia człowieczeństwa świata. Siejak nie ułatwia sobie zadania: na jego nieprzystosowanego bohatera polska rzeczywistość też wywiera wpływ.

„... przecieka piasek w klepsydrze piasek jak na pustyni i żadne drzewo protestu nie wyrosło we mnie...”.

Jedyną postacią wyidealizowaną, jaskrowo czystą plamą na brudnym tle, jest Leon, robotnik związany z ruchem oporu, do którego bohater obawiał się przystać. Wywieziony wraz z dyrektorem Zandeckim na taczach przez robotników organizujących wyborcze zebranie nowego związku, nie traci nadziei, nie rezygnuje z działania:

„...I tylko Leon, otrzepując metodycznie wodę, mówi, musimy tam wracać, na pewno musimy tam wracać, na pewno musimy tam wracać”.

Taki jest finał tej niezwykle gorzkiej powieści społecznej jednego z najbardziej interesujących pisarzy młodego pokolenia, z wykształcenia inżyniera, z zawodu głównego mechanika, który pisze swe krytyczne utwory w dużej mierze z autopsji. Finał otwiera przed czytelnikami nadzieję, choć opatrzoną wieloma znakami zapytania. Tę swoją pisarską postawę potwierdził w rozmowie z Heleną Zaworską, wydrukowaną w 5-tym numerze wrocławskiej *Odry*: „Wiem na pewno, że w tej chwili młodzież gwałtownie poszukuje wartości, właśnie na gwałt. Bunt pokolenia nie polega teraz, moim zdaniem, na nihilistycznym zaprzeczaniu, jak to często, także za mojej młodości, bywało. On polega na szukaniu sensu przeciwko bezsensowi”.

W najnowszej powieści osiągnął adekwatność znaku i znaczenia. Ale nie on pierwszy odkrył dla literatury język mówiony. Wcześniej w naszej prozie, jeszcze w latach 60-tych, eksperymentował w języku Stanisław Czycz, mający równie niebywały słuch językowy. Był on wtedy autorem *Andu*, utworu bardzo osobistego o zmarłym przyjacielu, poecie Andrzeju Bursie. Inne jest jednak w twórczości Czycza uzasadnienie takiej formy stylistycznej, bliższe koncepcji Białoszewskiego: zerwanie z kanonem języka literackiego, nie odpowiadającego już nowemu rodzajowi wrażliwości na świat. Jest to więc uzasadnienie bardziej estetyczne. I jak każda zamiana jednej konwencji na drugą grozi skostnieniem. Nowa powieść Czycza⁵ w pewnym stopniu niebezpieczeństwo to potwierdza — język narracji w jego utworach nie zmienił się, bo też nie zmienił się właściwie stosunek pisarza do świata

5. Stanisław Czycz, *Nie wierz nikomu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.

i nie zmienił się dominujący w tej twórczości problem: poszukiwanie w czasie przeszłym niedokonanym, czyli obecnej jeszcze stale w świadomości autora młodości, raju utraconego. Osobliwy to jednak „raj” i osobiwa młodość, groźne były bowiem okoliczności towarzyszące jej rozwojowi. Czyż należy do pokolenia, które wojnę przeżyło w okresie dzieciństwa, a wczesna młodość przypadła na lata intensywnej „budowy socjalizmu”. Do tych właśnie lat cofa się autor w powieści zatytułowanej *Nie wierz nikomu*. „Budowa” Czycza przypomina „budowę” Siejaka — w Polsce niewiele się pod tym względem zmieniło, tyle tylko, że fikcja budowania w miarę coraz wyraźniejszej degrengolady systemu stawiała się wręcz patologiczna. W świecie przez Siejaka przedstawionym nie robi się już prawie nic, w świecie Czycza pozorowane działania przynoszą jeszcze nieraz niespodziewane efekty.

Narrator został przyjęty jako elektryk do jakiejś bliżej nieokreślonej Bazy, w której brak wszystkiego i w której nie wiadomo, co ma się robić, więc robi się rzeczy mało znaczące, porządkuje się teren, zakupuje lub wyszabrowuje potrzebne podobno części, ale mnoży się etaty administracyjne mimo wątpliej ekipy robotników. Dyrektorem zostaje człowiek z awansu, „fachowiec ze specjalizacją dyrektora”, przyjęty przez załogę z wyrozumiałą tolerancją, bo jak już taką rzeczywistość mamy, to trzeba jakoś znaleźć w niej dla siebie miejsce. W przeciwieństwie do Zandeckiego narrator Czycz nawet nie próbuje działać i zmieniać rzeczywistości, szybko się uczy zasad „socjalistycznej pracy”. Jego nihilizm jest więc wyraźny, choć nie totalny. Powieść można bowiem odczytywać jako pełen liryzmu miłosny poemat o pierwszych wzruszeniach, o nieśmiałości zmysłów i idealizujących wyobrażeniach. Te fragmenty utworu, w których bohater zwierza się z uczuciowej, nie zaś erotycznej fascynacji dziewczyną należą do literacko najlepszych. Tak pisał o miłości Hłasko i tak przedstawiał miłosne wtajemniczenia Tadeusz Nowak w *Przebudzeniach* czy *Obcoplemiennej balladzie*. Bohaterów ich chroni przed demoralizacją wyobraźnia i wiara w najprostsze wartości. Taki jest też narrator Czycza, a gorzka konstatacja zawarta w tytule powieści nie przesądza o jego stosunku do świata. Nie stracił bowiem resztek ufności do ludzi, chociaż życie wydaje mu się coraz mniej sensowne, a rzeczywistość, z jaką spotkał się w pracy, coraz bardziej absurdalna. Ze współczesnej perspektywy świadomość bohatera, zachowującego jeszcze niewinność wyobcowanego z ponurej rzeczywistości prostaczka, może wydawać się rajem bezpowrotnie utraconym.

Ucieczka z domu niewoli

Do utraconego raju dzieciństwa powraca też Paweł Huelle⁶ w powieści, która okazała się zaskakująco dojrzałym debiutem.

6. Paweł Huelle, *Weiser Dawidek*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1987.

Książka wzbudziła duże zainteresowanie na łamach krajowej prasy kulturalnej, a w *Tygodniku Powszechnym* sporo uwagi poświęcił jej Jan Błński, uważając ją za najciekawszy debiut ostatnich lat. Opinia jak najbardziej uzasadniona.

O ile realia polskiej rzeczywistości powojennej odgrywają w powieściach Siejaka i Czyża rolę nie tylko wyrazistego tła, lecz również motywują dramat bohaterów, to w *Weiserze Dawidku* funkcjonują jako symbole, znaki naszej historii. Już samo miejsce akcji, Gdańsk, przywołuje skojarzenia z najnowszymi dziejami — i do tych dziejów znajdujemy w tekście odwołania niedwuznaczne: Grudzień 1970 roku, Sierpień roku 1980, przywódca robiący „porządki we wspólnym domu”, łysina Gomułki świecąca z portretów wiszących w klasach, widmo stalinizmu snujące się po gabinecie dyrektora szkoły, w którym przesłuchiwanie są trzej dwunastoletni chłopcy. Te znaki historii wyznaczają drugi, polityczny wymiar pięknej opowieści o niepokojącej sile legendy. Niepokojącej tych, którzy pragną życia uładowanego, uporządkowanego, bez marzeń i tajemnic, i taki ciasny model świata chcieliby narzucić innym. W jego obronie stają się nietolerancyjni, posuwając się nawet do okrucieństwa — w ten sposób zachowują się przesłuchujący chłopców dyrektor szkoły, nauczyciel pełniący funkcję sekretarza partii i milicjant, tak też zachowuje się grupa działkowiczów linczujących uciekiniera ze szpitala dla wariatów. W podobnym świecie nie ma miejsca dla innych.

Chłopcy przesłuchiwanie są w związku ze zniknięciem ich kolegi i koleżanki. Przesłuchujący podejrzewają, bo jest to jedyne „logiczne” wytłumaczenie, że zginęli podczas wybuchu miny, i taką wersję wypadku wmawiają chłopcom. Ale *Weiser Dawidek* ma cechy przypowieści parabolicznej — bo po przyznaniu się zmęczonych chłopców do niepopelnionej winy, czyli zatarcia śmierci kolegów, dziewczynka się odnajduje, ale o Dawidku słuch zaginął. Więc prawdopodobnie postać jego jest projekcją chłopięcych snów o potędze, przekształconych w legendę o bohaterze, dla którego nie istniały rzeczy niemożliwe. Legendę znaną z ludowych podań, tworzoną przez ludzi usiłujących wydobyć się z ciasnych ram rzeczywistości. Ale jak się ma prawda do legendy, poszukiwanie prawdy do podtrzymywania legendy? Narrator cofa się w przeszłość, by dochodzić prawdy o Dawidku, symbolu podziwianej inności, i prowadzi to swoje „śledztwo” równoległe do przypominanego sobie przesłuchania, w którym chodziło o prawdę pozorną, prawdę wygodną. Autor dokonuje więc zderzenia prawdy prawdopodobnej z prawdą wzniołej legendy. Pierwsza działa usypiająco i demobilizująco, druga budzi niepokój sumienia.

Weiser Dawidek przypomina drapieżną powieść innego młodego prozaika, Jana Komolki, wydaną w roku 1981, ale napisaną przeszło dziesięć lat temu, *Ucieczkę do nieba*, która to ucieczka była jednym sposobem na opuszczenie okrutnej, ograniczonej bezwzględными prawami więziennymi, rzeczywistości domu poprawczego. Ta powieść posiada również znamiona paraboli, cho-

ciaż realia w niej przedstawione są jeszcze bardziej przerażające niż rzeczywistość w powieści Pawła Huelle. Nie konkret jest tu jednak najważniejszy, lecz uogólnienie polskich doświadczeń do symbolu świata zniewolonego, z którego tylko nieliczni próbują uciekać, by wydostać się z obłędnej rzeczywistości, szaleństwa nie tolerującej.

Czy Weiser Dawidek uciekł do nieba w sposób dosłowny, czy tylko metaforyczny? Huelle nie daje jednoznacznej odpowiedzi, stworzył bowiem parabolę nowoczesną, pełną tajemnic i niedomówień.

Podobna jest też aura najnowszej powieści Piotra Wojciechowskiego⁷. Świat przedstawiony w jego prozie stworzony został z wyobraźni pisarza, który z wielkim pietyzmem i z nieukrywającym sentymentem dla przeszłości przechowuje pamięć o formacji kulturowej, skazanej przez historię na klęskę. Formację tę można by najogólniej określić jako dekadencją. Bohaterowie Wojciechowskiego przypominają postacie z twórczości Kuśniewicza — reprezentują epokę umarłą historycznie, ale żywą w kulturze europejskiej, ostatnią epokę, w której stosunku człowieka do świata nie określał utylitaryzm ani woluntaryzm.

Obraz napowietrzny można interpretować jako podzwonne dla tej epoki, jako wyraźny krok autora ku problematyce nowych, a nawet najnowszych czasów, w których znalezienie miejsca w świecie okazuje się o wiele bardziej skomplikowane niż się naszym pradziadom wydawało, a jednocześnie wymaga czasem gestów tak prostych i czynów tak jednoznacznych, że graniczących z banałem.

Realia w utworach Wojciechowskiego są zawsze realiami odkonkretnionymi, lecz nie fantastycznymi. W najnowszej powieści zostały one przedstawione w sposób bardziej — powiedziałbym — aluzyjny w stosunku do najnowszych wydarzeń politycznych w naszym kraju. Miał na to prawdopodobnie wpływ czas jej napisania, być może także postawa autora, zdecydowanie deklarującego się po stronie opozycji.

Akcja powieści rozgrywa się w mieście położonym gdzieś na kulturalnych i politycznych rubieżach Europy, w którym co jakiś czas dochodzi do stanu wojennego, w którym władzę sprawuje armia, szykująca się do odejścia, w którym wrzenie w różnych grupach społecznych i narodowych doprowadza do politycznego zamieszania, a bezpieczeństwo mieszkańców narażone jest na szwank.

Miejscowy filozof i historyk, interesujący się Dioklecjanem, Katz vel Kot, vel Kaczik, postać wielce niesympatyczna, sceptyk i nihilista, ale obdarzony dużą inteligencją, takie oto snuje rozważania w towarzystwie wojskowego lekarza na temat stosunku do władzy:

„...Poddany Dioklecjana nie liczył na nic dobrego ze strony

7. Piotr Wojciechowski, *Obraz napowietrzny*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.

władzy. Wiedział, że ona skrzywdzi i zmiążdży. I całe życie walczył o to, aby być skrzywdzonym jak najmniej, zmiążdżonym jak najpóźniej. Dodam szeptem — to nasz los, panie doktorze. Czy spodziewa się pan czegoś od swoich dowódców, czegoś dobrego? Albo ja od burmistrza czy profesorów? Ja się próbuję wymigać, pan pewno też. Nikt nie chce być zmiążdżony".

Więc żeby nie być zmiążdżonym, trzeba ten świat opuścić, uciec z miasta „oblężonego”, w którym gotuje się od społecznego niezadowolenia i w którym ze strony władzy nie można spodziewać się niczego dobrego? Dla głównego bohatera, Alberta Sumy, nie jest to łatwa i prosta decyzja. Wcześniej opuściła miasto jego rodzina: najpierw dorastający syn, za nim podążyła matka, jego samego jednak dręczą wątpliwości natury moralnej, dręczą też jego żonę, Kasię. Takie same wątpliwości, jakie mieli kiedyś ludzie w umarłej epoce:

„Czy wolno opuścić placówkę? — zastanawia się pani Kasia. — (...) Dość przeżyła, teraz niech inni strzegą rubieży i placówek, zajmują się świerzbem i wszawicą w sierocinicach i gotują soczewicę w tanich kuchniach dla deportowanych”.

Bohaterowie Wojciechowskiego, podobnie jak bohaterowie Kuśniewicza i Terleckiego (Władysława), Konwickiego i Odojewskiego, Buczkowskiego i Strykowskiego są zmęczeni — ale Albert Suma, gdy wy dostał się z Miasta i znalazł się w centrum Europy, wpłatał się w akcje protestacyjne na uczelni i przebywał potem pod nadzorem w sanatorium. Bo nie ma takiego miejsca na świecie, które byłoby wolne od niesprawiedliwości i od zamachów na niezależność człowieka. Na te odwieczne przywary świata bohaterowie *Obrazu napowietrznego* reagują jak polscy romantycy: gestem sprzeciwu i walką o sprawy wydawałoby się tak prozaiczne, jak... „prawo ścieżki holowniczej”. Albert Suma, fizyk z wykształcenia, drogą eksperymentu uzyskał efekt „obrazu napowietrznego”. Syn namawia ojca, by pokaz tych osobliwych ogni sztucznych wykorzystał do obrony prawa, które „było dobre i ginie”. Obrony ostatnich skrawków ziemi niczyjej przed inwazją pazerności i przemocy, obrony ludzi ubogich i wydziedziczonych przed wyrządzaną im krzywdą.

W powieści Wojciechowskiego doszło do przymierza dwóch pokoleń: wychowanego w tradycjach dziewiętnastowiecznego humanizmu i zainteresowanego dwudziestowiecznym humanitaryzmem. Przymierza, które pozwala z nadzieją myśleć o przyszłości Europy, bo proces jej próchnienia nie musi okazać się nieuchronny.

To optymistyczne przesłanie *Obrazu napowietrznego* jest tylko pozornie banalne — podobnie banalne mogą wydawać się najprostsze wartości etyczne, w imię których ludzie pozostają w więziennych murach.

Mikołaj RUSZKOWSKI

Nowe zasady w sprawie prohibitów

MINISTERSTWO
EDUKACJI NARODOWEJ
PODSEKRETARZ STANU

Warszawa, 198-08-13.

DP/0540-0550/80/TP/88

Obywatele rektorzy
szkół wyższych

Ministerstwo Edukacji Narodowej zwróciło się do Głównego Urzędu Cel z wnioskiem o rozpatrzenie możliwości uchylenia ograniczeń celnych występujących w zakresie wwozu do Polski literatury naukowej. Prezes Głównego Urzędu Cel w piśmie nr KC III 44-236/88 z dnia 27 czerwca br. poinformował Ministerstwo, że zostały zmodyfikowane zasady postępowania w sprawach sprowadzania literatury naukowej do Polski. Dyrektorom wszystkich urzędów celnych zostały przekazane dyspozycje, zgodnie z którymi:

1. Biblioteki naukowe uprawnione do otrzymywania prohibitów na podstawie art. 16 ust. 3 ustawy z dnia 31 lipca 1981 roku o kontroli publikacji i widowisk [wykaz bibliotek ustalony w zarządzeniu Nr 1 z 30 kwietnia 1984 roku Ministrów Kultury i Sztuki, Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Sekretarza Naukowego PAN i Prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk — winny otrzymywać wszystkie publikacje zagraniczne, których rozpowszechnianie jest zakazane (art. 16 ust. 1) lub które pozbawione zostały debitu (art. 16 ust. 2 ustawy z 31 lipca 1981 roku), a także inne publikacje o treściach uznawanych dotychczas za szkodliwe dla interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jednak z wyłączeniem materiałów o jednoznacznie dywersyjnym charakterze (ulotek, odczw, plakatów itp.)].

2. Bibliotekom naukowym oraz bibliotekom stowarzyszeń twórczych i towarzystw naukowych innych niż określone w pkt 1 — należy zezwalać na przywóz zagranicznych publikacji o treściach uznawanych dotychczas za szkodliwe, o ile ich tematyka jest związana z profilem działalności naukowej biblioteki. Wyłącza się materiały o jednoznacznym dywersyjnym charakterze.

3. Osobom wykorzystującym publikacje wydawane za granicą do celów zawodowych (pracownikom nauki, dziennikarzom, literatom itp.) — należy zezwalać na przywóz materiałów pozbawionych debitu oraz objętych zakazem rozpowszechniania, a także innych publikacji o treściach uznawanych dotychczas za szkodliwe, z wyłączeniem materiałów o dywersyjnym charakterze, w szczególności:

- a) godzących w niepodległość lub integralność terytorialną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej,
- b) nawołujących do obalenia, łżących, wyszydzających i poniżających konstytucyjny ustroj Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jej sojusze.

doc. dr hab. Aleksander ŁUCZAK

Nadeślane nowości wydawnicze

- Kundera.** *Materiały z sympozjum zorganizowanego w Katowicach w dniach 25-26 kwietnia 1986 r.* Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Illga. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1988).
- BOCHEŃSKI** (Jacek). *Stan po zapadzi. Powieść.* Str. 133 i 5 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 4, \$ US 10).
- SOMMER** (Piotr). *Czynnik liryczny i inne wiersze.* Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 4, \$ US 10).
- IWAŃSKA** (Alicja). *Baśń amerykańska.* Str. 67 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 3, \$ US 7,50).
- WINOWSKA** (Maria). *Prawdziwe oblicze ojca Pio. OFM Cap., kapłan i apostoł. Z francuskiego przeł. Zofia Kozarynowa.* Wyd. II. Str. 225 + VIII. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- RUBIN** [Icchak (Henryk)]. *Żydz w Łodzi pod niemiecką okupacją 1939-1945.* Str. 581 i 3 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1988).
- W blasku legendy. Kronika poetyckiego życia Józefa Piłsudskiego.* Opr. Krzysztof A. Jeżewski. Str. 598 i 2 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1988).
- TIWIERDOCHLEBOW** (Włodzimierz Janusz). *Pojęciańskie pojękiewanie.* Str. 80. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- OBERTYŃSKA** (Beata). *Skarb Eulenburga, tom II.* Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- MILEWSKI** (Józef). *Wspomnienia. O Mazowszu i mazowieckiej szlachcie.* Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- WIRSKI** (Kazimierz). *Smok, orzeł i wrony. Wiersze.* Str. nlb. (Wyd. Fimas, Szwecja, 1988).
- KACZMARSKI** (Jacek). *Rozbite oddziały. Wiersze i piosenki 1985-1988.* Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Mont-riech (Szwajcaria) 1988).
- TRZNADEL** (Jacek). *Polski Hamlet. Kłopoty z działaniem.* Str. 323 i 1 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1988).
- RAINA** (Peter). *Stefan kardynał Wyszyński, prymas Polski.* Tom III. Str. 682 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- CHOJECKA-SZEREMETA** (Halina). *Opowiadania bez retuszu.* Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- WERNIK** (Romuald). *Z chamsinu w mgłę.* Str. 168. (Wyd. PFK, Londyn 1988).
- WERNIK** (Romuald). *Białe noce i czarne dni.* Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).
- Dzieje Ułanów Jazłowieckich.* Praca zbiorowa. Str. 419 i 5 nlb. (Wyd. Odnova i Koło Ułanów Jazłowieckich, Londyn 1988).
- PIECHNIK** (Józef, SJ). *Próby odnowy Akademii Wileńskiej po klęskach potopu i okres kryzysu 1655-1730.* Tom III *Dziejów Akademii Wileńskiej.* Str. 261 i 2 nlb. (Wyd. Institutum Historicum Societatis Jesu, Rzym 1987).
- MAZURCZAK** (Dorota). *Temat polski w literaturze zachodnoniemieckiej 1949-1980.* Str. 175 i 3 nlb. (Wyd. Uniwersytet A. Mickiewicza, Poznań 1988, cena zł 300).
- GOMBROWICZ** (Witold). *Dzienniki 1957-1961 i 1961-1966.* Str. 305 i 7 nlb. oraz 260 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, cena zł 1.200 i 1.150).
- MEDRZECKI** (Włodzimierz). *Wojevodztwo wołyńskie 1921-1939. Elementy przemian cywilizacyjnych, społecznych i politycznych.* Str. 202 i 2 nlb. (Wyd. Ossolineum 1988, cena zł 300).
- KORTUS** (Bronisław, red.), **KULAK** (Zbigniew, red.). *Geograficzne problemy rolnictwa w Polsce.* Str. 162 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1988, cena zł 300).

- BISKUP** (Marian, red.). *Zakon Krzyżacki a Polska w średniowieczu.* Str. 114 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1987, cena zł 150).
- ZIEMIAK** (Ryszard). *Impresje tatrzańskie.* Album. Str. 238. (Wyd. „Sport i Turystyka”, Warszawa 1987).
- WYRWA** (Tadeusz). *Le gouvernement polonais à Angers (novembre 1939 - juin 1940).* (Nadbitka z *Revue historique* nr 2/1987, wyd. PUF, Paryż).
- WYRWA** (Tadeusz). *Le gouvernement polonais et ses rapports avec l'Union Soviétique pendant la seconde guerre mondiale.* (Nadbitka z *Revue des études comparatives est-ouest*, vol. 18, nr 4/1987).
- Les forces vives de la Pologne.* Katalog wystawy, 3-8 czerwca 1985, Paryż.
- FEJTŐ** (François). *Requiem pour un empire défunt. Histoire de la destruction de l'Autriche-Hongrie.* Str. 436 i 4 nlb. (Wyd. Lieu Commun, Paryż 1988, cena F. 150).
- Cross Currents, a Yearbook of Central European Culture.* Nr 7. Str. 504. (Wyd. University of Michigan, Ann Arbor 1988).
- SOS Transylvania. A Report from the International Helsinki Federation for Human Rights. Str. 60. (Wyd. Intern. Federation for Human Rights, Wiedeń, czerwiec 1988).**
- PODGÓRECKI** (Adam). *Ideas of St-Tien.* Str. 32. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- HERMAN** (Josef). *„Memory of Memories”. The Glasgow Drawings 1940-43.* Str. 32. (Wyd. Third Eye Center, Glasgow 1985).
- LUCKYJ** (George S. N.). *Keeping a Record. Literary Purges in Soviet Ukraine (1930s): A Bibliography.* Str. 50. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta in association with Ukrainian Famine Research Centre, Toronto 1988).
- SCHÜLLER** (Alfred). *Does Market Socialism Work?* Str. 72. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, Londyn 1988).
- Who is Spiritual Teacher Lev Sylenko?* Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. Ukrainian Native Faith in Free World, USA).
- Katyn 1940. The Story of a Soviet Massmurder.* Str. 44. (Wyd. Polonia Coordination Committee, New Britain St., USA, 1983).
- SWIETOCHOWSKI** (Tadeusz). *Piłsudski: The Polish Dream of the Sword.* (Nadbitka z *War and Society in East Central Europe*, vol. XXV, Columbia University Press 1988).
- The Curse of Yalta.* Str. 36. (Wyd. Polonia Coordination Committee, New Britain St., USA).
- RUDNYTSKY** (Ivan L.). *Essays in Modern Ukrainian History.* Str. 497 i 5 nlb. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1987).
- BEDNARCZYK** (Czesław). *Kubuś. My Friend the Cat.* Str. 26 i 2 nlb. Rysunki F. Topolskiego. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- HIMKA** (John-Paul). *Galician Villages and the Ukrainian National Movement in the Nineteenth Century.* Str. 358 i 8 nlb. (Wyd. MacMillan Press in association with the Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, 1988).
- LERSKI** (George J.). *Dmowski, Paderewski and American Jews (A Documentary Compilation).* (Nadbitka z *Polin, Journal of Polish-Jewish Studies* vol. 2, wyd. Basil Blackwell, Anglia).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. XI, nr 1/2, June 1987. Str. 267 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA).
- WEDZIAGOLSKI** (Karol). *Boris Savinkov, Portrait of a Terrorist.* Translated by Margaret Patoski. Edited by Tadeusz Swietochowski. Str. 249 i 5 nlb. (Wyd. The Kingston Press, Clifton, NJ, USA 1988).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-7-88

Wileński *Czerwony Sztandar* zamieścił wywiad z głównym architektem Lidy, inż. Kazimierzem Kazimirowiczem Janczukiem. Kilka fragmentów z tego wywiadu: „24 tysiące Polaków w Lidzie? To wszystko są wymysły. Jacy Polacy na Białorusi? Skąd Polacy na Białorusi? To przecież Białorusini, którzy są katolikami. Piszą: polska wiara. Nie ma takiej. Włosi są katolikami, więc może też trzeba ich uważać za Polaków?... Ostatnio gościł w Lidzie polski zespół pieśni i tańca 'Solczanie'. Ludzie narzekali, że redaktor gazety *Upierad* (Naprzód) nie uprzedził, że to jest polski zespół i śpiewa po polsku... Naród białoruski ucierpiał w swoim czasie mocno od burżuazyjnej Polski, a KMKP panoszą się i zbyt prezentuje polską kulturę, a przecież jest jeszcze ogólna kultura — radziecka... Czy można się jej przeciwstawiać? A mimo to nie bałem się np. podpisać do druku informacji, że KMKP potrzebuje od władz gabinetu, biblioteki i Bóg wie czego jeszcze. Czy taka informacja jest aż tak niebezpieczna — dziwię się, bo przecież mamy przebudowę... To tak się wydaje, że jest przebudowa...”.

20-8-88

W bieżącym pięcioleciu wartość wszystkich polskich usług budowlano-montażowych na terytorium ZSSR, wraz z dostawami materiałowymi, wyniesie 1,3 miliarda rubli. Na następną pięcioletkę planuje się zwiększenie tego eksportu. Na wszystkich budowach tego typu pracuje kilkanaście tysięcy Polaków.

1-9-88

Kurier Polski w Warszawie od pewnego czasu drukuje relacje osób, które przeszły przez łagry i więzienia sowieckie. Redakcja *Kuriera Polskiego* zamieściła następujący apel: „Przypominamy, że nasza akcja skierowana jest do tych czytelników, którzy lata ostatniej wojny spędzili w Związku Radzieckim. Do tych, którzy byli w łagrach na Syberii, w Kazachstanie, pracowali w morderczych warunkach na Dalekiej Północy, w kopalniach węgla i rudy za Kręgiem Polarnym, w kołchozach i na polach bawelny Środkiej Azji, w fabrykach na zapleczu frontu, przebywali w domach dziecka lub jako 'beprizorni' blakali się po ogromnych obszarach ZSSR. Do tych, którzy do dziś zamieszkują w Związku Radzieckim i gdziekolwiek na emigracji. Wreszcie i do tych, którzy wyszli z Armią gen. Władysława Andersa i tych, którzy wrócili do ojczyzny z I Dywizją im. Tadeusza Kościuszki. Czekamy z niecierpliwością na Wasze wspomnienia. Piszcie pod adresem redakcji: *Kurier Polski*, 00-918 Warszawa, ul. Hiberna 11 z dopiskiem na kopercie — *Polskie losy na Wschodzie*”.

3-9-88

Zmarł w Skolimowie pod Warszawą w wieku 78 lat Adam Mauersberger, historyk literatury, badacz dziejów Wielkiej Emigracji i twórczości Adama Mickiewicza, zaśluzony organizator muzeów literackich.

11-9-88

Stronnictwo Demokratyczne w Krakowie wystąpiło z wnioskiem, aby z okazji 75-lecia odzyskania niepodległości i 50-lecia Stronnictwa Demokratycznego przywrócono koronę godła Państwa Polskiego.

14-9-88

W bieszczadzkiej Komanezy odbyła się uroczysta konsekracja nowej cerkwi unickiej. Ma być ona pomnikiem millenium chrztu Rusi-Ukrainy na terenie Polski.

15-9-88

W Wilnie zostanie w najbliższym czasie otwarta placówka konsularna PRL. Zostało to spowodowane wzmocnieniem stosunków między PRL a Litwą. Mianowicie, w ciągu ubiegłych 8 miesięcy wydano obywatelom PRL 80 tys. zezwoleń na wjazd na Litwę, oraz obywatelom litewskim 33 tys. zezwoleń na wjazd do Polski. M.in. około 300 Polaków konserwatorów zabytków pracuje w Wilnie i w Kownie.

18-9-88

Pułkownik KGB na Ukrainie, Konstantin Wysocki, poinformował w prasie, że przez 20 lat trwała wspólna akcja służb bezpieczeństwa ZSSR i PRL (pod kryptonimem „Bumerang”) wymierzona w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Posługując się podstawionymi ludźmi, przechwytywano emisariuszy z Zachodu.

20-9-88

W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie została otwarta wystawa pt. „Gombrowicz z 'Dziennika'”. Wernisaż został zorganizowany wspólnie z ambasadą Argentyny.

23-9-88

12 kwietnia 1952 roku Rada Ministrów PRL zdecydowała — bez porozumienia z Senatem Uniwersytetu Wrocławskiego — nadać uniwersytetowi nazwę „Uniwersytet im. Bolesława Bieruta”. W ten sposób uczczono 70-tą rocznicę urodzin B. Bieruta. W 1981 roku Senat Uniwersytetu wystąpił z wnioskiem o przywrócenie dawnej nazwy: „Uniwersytet Wrocławski”. Wniosek ten nie został załatwiony. W czerwcu bież. roku Senat ponowił swój wniosek z 1981 roku.

24-9-88

Gazeta Lubuska przypomina losy ośmiu dotychczasowych premierów rządów PRL. Pierwszym szefem rządu Polski Ludowej był Edward Osóbka-Morawski. Funkcję tę objął w lipcu 1944 roku, stając na czele Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Na przełomie 1944 i 1945 roku Krajowa Rada Narodowa, której od roku przewodniczył Bolesław Bierut, mianowała E. Osóbkę-Morawskiego premierem Rządu Tymczasowego, a po formalnej dymisji w połowie roku powierzyła mu w lipcu 1945 roku funkcję szefa Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zreorganizowanego przez kooptację kilku działaczy emigracyjnych ze St. Mikołajczykiem na czele. Interesujący jest fakt, że wniosek o przekształcenie PKWN w tymczasowy wprowadził, ale rząd, złożył w KRN poseł ówczesnego Stronnictwa Ludowego, ksiądz Marian Borowiec. Wyłoniony z początku 1947 roku Sejm powierzył funkcję prezydenta RP Bolesławowi Bierutowi (przedstawianemu wówczas powszechnie jako „bezpartyjny działacz”), ten zaś zaproponował na stanowisko premiera Józefa Cyrankiewicza. Trzecim w kolejności szefem rządu stał się po kolejnych wyborach w 1952 roku sam Bolesław Bierut, piastujący już zresztą od przełomu lat 1947/1948 — obok godności prezydenckiej — funkcję sekretarza generalnego PPR (po usunięciu z tego stanowiska Władysława Gomułki), a następnie I sekretarza KC i przewodniczącego PZPR. W Sejmie kandydaturę premiera przyjętą jednogłośnie rekomendował jeden z ówczesnych kierowniczych działaczy PZPR, Franciszek Mazur, stwierdza-

jąc m.in., że „od historycznej nocy sylwestrowej 1943 roku nie wielkiego nie działa się w Polsce bez jak najbardziej czynnego, decydującego udziału Bolesława Bieruta”. Pojawiła się wówczas również Rada Państwa z Aleksandrem Zawadzkim na czele. Ale oto już z początkiem 1954 roku na stanowisko premiera powrócił Józef Cyrankiewicz (stad właśnie na liście mamy dziewięć premierowskich kadencji, a osób — 8). B. Bierut pozostał tylko przy funkcji I sekretarza KC PZPR. Ciekawe, że zmiany w składzie Rady Ministrów w Sejmie miały charakter zatwierdzenia przezeń uchwał Rady Państwa. W ogóle zaś działo się to wszystko w rok po śmierci Józefa Stalina. Józef Cyrankiewicz, piastujący łącznie w dwóch turach funkcję premiera aż przez ponad 21 lat, ustąpił 23 grudnia 1970 roku. Następca Władysława Gomułka na stanowisku I sekretarza KC PZPR, Edward Gierek, zaproponował powierzenie J. Cyrankiewiczowi (w związku z wcześniejszą dymisją Mariana Spychalskiego) funkcji przewodniczącego Rady Państwa oraz powołanie czwartego w dziejach PRL premiera w osobie dotychczasowego długoletniego wicepremiera — Piotra Jaroszewicza. I było tak do początku 1980 roku, gdy w ślad za niewybraniem go na VIII Zjeździe PZPR do ścisłego kierowniczego gremium partii, P. Jaroszewicz złożył w Sejmie rezygnację z kierowania rządem. Złożył także najlepsze życzenia swemu następcy — piątemu premierowi — którym na wniosek E. Gierka stał się długoletni działacz partyjny, a ostatnio wiceprzewodniczący Rady Państwa, Edward Babiuch. 5 września 1980 roku szósty premier — Józef Piłsudski, działacz polityczny i gospodarczy — uzyskał akceptację dla częściowej reorganizacji gabinetu m.in. przez odwołanie wicepremierów T. Pyki i T. Wrzeszczyka oraz ministrów H. Kisiela i A. Kopeia i równocześnie powierzenie tym dwu ostatnim... innych stanowisk ministerialnych. Zaledwie w pięć miesięcy później J. Piłsudski zrezygnował z funkcji premiera. 11 lutego 1981 roku ówczesny I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania rozpoczął w Sejmie rekomendację kandydatury siódmego szefa rządu od słów: „Towarzysz Wojciech Jaruzelski jest zawodowym żołnierzem...”. Parlament powierzył W. Jaruzelskiemu misję utworzenia rządu — przy zachowaniu przezeń teki ministra Obrony Narodowej — przy 2-ch głosach wstrzymujących się. Na ósmego prezesa Rady Ministrów czekano do jesieni 1985 roku. Sejm IX kadencji wybrał W. Jaruzelskiego na stanowisko przewodniczącego Rady Państwa, do którego już nie kandydował prof. Henryk Jabłoński, a W. Jaruzelski proponował funkcję premiera przekazać w ręce Zbigniewa Messnera, którego określił jako „jednego z najbliższych współpracowników” oraz „dotychczasowego *de facto* pierwszego wicepremiera”. Kandydatura została przez Sejm przyjęta przy jednym głosie wstrzymującym się. Należał on właśnie do... Zbigniewa Messnera. Z ośmiu dotychczasowych premierów rządów PRL nie żyje Bolesław Bierut (1956). Pozostałe 7 osób figuruje w wydanej przez Interpress książce „Kto jest kim w Polsce”, przy czym przy trzech nazwiskach informacji o zawodzie — „działacz polityczny” — towarzyszy literka „b” (były!). Poniżej 40 lat mieli w chwili powierzenia im funkcji szefa rządu tylko E. Osóbka-Morawski — 35 lat i Józef Cyrankiewicz — 36 lat. Seniorami w tym względzie byli: P. Jaroszewicz — 61 lat i B. Bierut — 60 lat”. Dziewiątym premierem został Mieczysław Rakowski, a o jego losach poinformujemy zapewne niedługo.

26-9-88

Dziennik Ludowy podaje, iż zespół teatru Ochoty zamierza inscenizować „Zapiski więzienne” Stefana kardynała Wyszyńskiego. Premiera odbędzie się prawdopodobnie 7 grudnia bież. roku.

1-10-88

Z informacji ogłoszonych przez Departament Społeczno-Administracyjny MSW wynika, że „obecnie w całej Polsce, a głównie w województwach pół-

nocnych i zachodnich, żyje około 200 tys. Ukraińców (350-450 tys. według Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, 350 tys. według szacunków radzieckich i 180-500 tys. według różnych źródeł zachodnich). Białorusinów zamieszkuje przede wszystkim w województwie białostockim 180 tys. (350-450 tys. według Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Polsce, 200-250 tys. według szacunków radzieckich, 180-300 tys. według źródeł zachodnich). Litwinów pozostało przede wszystkim na Suwalszczyźnie 7,5-8 tys. (6-7 tys. według źródeł radzieckich, 6-8 tys. według źródeł zachodnich). Żydów, których w kraju przeżyło drugą wojnę światową około 30-40 tys. (z ZSSR powróciło około 130 tys.), po dwóch emigracjach: w latach pięćdziesiątych i po 1968 roku jest obecnie około 15-20 tys. Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce liczy 2.100 członków, 3,5 tys. Kongregacja Wyznania Mojżeszowego. Żyje w naszym kraju blisko 30 tys. Czechów i Słowaków (Spisz i Orawa), 4,5 tys. Greków, 2,5 tys. Niemców, istnieją także niewielkie skupiska spolonizowanych Tatarów, Ormian i Karaimów. Na koniec nie można zapomnieć o 25 tysiącach Cyganów, którzy w urzędowych spisach nie są traktowani jako odrębna narodowość”.

2-10-88

Dopiero w 1980 roku dopuszczono do więzień księży. W tej chwili około 100 księży zostało w PRL kapelanami więziennymi. Według oficjalnych statystyk w PRL jest około 100 tys. więźniów, więc średnio na jednego kapelana przypada 1.000 osób. Władze więzienne nie udzielają im specjalnej pomocy. ■ W najbliższym czasie Polskę zagraża poważny deficyt energii, pogłębiany całkowicie nieopłacalnym eksportem węgla. Ministerstwo Przemysłu proponuje ograniczenie eksportu energii (węgiel i towary energochłonne) oraz wprowadzenie jej importu.

6-10-88

Zarejestrowany w sierpniu bież. roku Klub Myśli Politycznej „Dziękania” rozpoczął działalność. Zadaniem tego Klubu jest skupienie wielu środowisk oraz osób niezależnych, a jego ambicją: być ośrodkiem legalnej opozycji, to znaczy tej, która uznaje potrzebę sojuszu z ZSSR, „sojuszu popieranego przez naród”. Ponadto Klub ma popierać dążenia do rzeczywistej liberalizacji gospodarki, wyzwalającej inicjatywę obywatelską.

ZACHÓD — EMIGRACJA

26-6-88

W Galerii Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie została otwarta wystawa obrazów Mieczysława Łurczyńskiego, mieszkającego stale w Paryżu.

1-9-88

W lizbońskiej Bibliotece Nacional odbyła się wystawa, w ramach której znajdowała się gabłota „Ladislao Mickiewicz em Portugal”, oparta o prace dr. Adama Zielińskiego.

20-9-88

Zmarł w Londynie wieloletni redaktor Radia Wolna Europa, Ignacy Klibański. Przed wojną red. Glibański współpracował z PAT w Warszawie, wojna zastała go w Wilnie, gdzie udało mu się uzyskać zezwolenie na przejazd przez terytorium Związku Sowieckiego do Chin. Stamtąd przedostał się w 1942 roku do Wielkiej Brytanii, gdzie m.in. pracował w redakcji *Dziennika Polskiego*. ■ Zmarł w Londynie w wieku 79 lat Wiesław Strzałkowski, poeta i filozof.

21-9-88

W Instytucie Języków i Cywilizacji Wschodnich I.N.A.L.C.O. w Paryżu odbyła się międzynarodowa sesja naukowa pt. „Barok polski i europejski”. Sesja została zainaugurowana wykładem prof. J. Gierowskiego z UJ.

1-10-88

We Francji powstaje przedstawicielstwo „Solidarności Rolniczej” na Zachodzie. Wszyscy, którzy chcieliby włączyć się w prace tego przedstawicielstwa proszeni są o listowne skomunikowanie się z p. HALINĄ KUCZYŃSKĄ, przedstawicielką „Rolników” na Zachodzie (adres: 32 RUE DU MONT-OLIVET, 78500 SARTROUVILLE, FRANCE).

6-10-88

W Centre du Dialogue w Paryżu odprawiona została w 15-tą rocznicę śmierci ambasadora Kajetana Morawskiego msza św. za Jego duszę. ■ W ciągu listopada odbędą się w Centre du dialogue następujące obchody i imprezy: 13-go listopada msza dziękczynna z okazji 70-tej rocznicy odzyskania niepodległości, 18-go — odczyt prof. Adolfa Juzwenko pt. „Rok 1918 — miejsce w dziejach Polski”, a 25-go ks. Józef Gorzelany, któremu Nowa Huta zawdzięcza nowy kościół, będzie mówił na temat „Gdy nadszedł czas budowy Arki”.

14-10-88

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Władysława Bartoszewskiego pt. „Niemcy dzisiejsze w oczach Polaka”. ■ W dniu 14 października 1988 udekorowano w Genewie Krzyżem Oficerskim orderu Polonia Restituta p. Zygmunta Kallenbacha, długoletniego prezesa Fundacji im. Kościelskich oraz niestrudzonego działacza na rzecz pomocy naukowcom polskim poprzez zdobywanie i wysyłkę książek i pomocy naukowych oraz stypendia. Dekoracji dokonał p. Marian Respond, delegat rządu R.P. na wygnaniu, a obsejne laudatio wygłosiła prof. Krystyna Marek, Uroczystość zorganizowały Stowarzyszenie Polskie w Genewie oraz Pro Polonia. ■ Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie zorganizowana została szkoła polska dla dzieci oraz video-klub, w którym wyświetlane są filmy polskie i o tematyce polskiej.

20-10-88

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt prof. Daniela Beauvois na temat „Les confins de la Pologne: bilan et perspectives de recherche”.

KRONIKA KANADYJSKA

Zapowiadany od lipca tygodnik *Godność* — pierwsza gazeta w Montrealu o Polakach i dla Polaków, jak głosiła ulotka — nie ukazał się, natomiast w połowie września wyszedł pierwszy numer innego pisma, *Światowiec — Tygodnik Montrealski*. Wydawcą i redaktorem jest Krzysztof Tomaszewski. ■ Rządowa akcja przedwyborcza przybiera na sile w miarę jak zbliża się termin ogłoszenia daty wyborów. Po czterech latach władzy premier Mulroney przeprowadził ostatnio zmiany w składzie gabinetu oraz utworzył dwa nowe ministerstwa, Leśnictwa i Wielokulturowości. W obu przypadkach chodzi o zdobycie wyborców. Ministerstwo Leśnictwa jest jednym z darów dla Brytyjskiej Kolumbii, a Ministerstwo Wielokulturowości ukłonem pod adresem grup etnicznych. Przydziela ono dotacje organizacjom etnicznym. W roku budżetowym 1989/

1989 wyniosły one (jak dotychczas) \$ c. 4.353.681. Według oficjalnych danych z 19 września ministerstwo przyznało dotacje w wysokości \$ c. 674.681, uwzględniając szczególnie organizacje Afrykańczyków i Azjatów. Wyróżnia się dotacja \$ c. 15.000 dla Instytutu Literatury Porównawczej Uniwersytetu Alberta w Edmontonie, przeznaczona na konferencję poświęconą literaturom mniejszości narodowych w Kanadzie. ■ Ministerstwo Imigracji wstrzymało począwszy od września przyjmowanie i rozpatrywanie podań o status uchodźcy. Nowe przepisy odnośnie kwalifikacji wymaganych dla przyznania statusu uchodźczego mają się ukazać w przyszłym roku. Przyjmowanie zgłoszeń wstrzymano z uwagi na wielką liczbę niezadowolonych podań. Według oficjalnych danych jest ich ok. 59.000. W pierwszej dziesiątce znajdują się przybyłe z następujących państw: Sri Lanka — 7.376, Iran — 6.808, Salwador — 5.792, Ghana — 4.214, Portugalia — 3.034, Turcja — 2.468, Gwatemala — 2.234, Liban — 2.173, Indie — 1.606, Brazylia — 1.584. Z USA przyjeżdża miesięcznie przeciętnie ok. 3.000 osób z różnych państw, zgłaszających się do władz imigracyjnych o status uchodźcy. ■ Florian Śmieja, profesor literatury hiszpańskiej na University of Western Ontario w London, zainicjował w bieżącym roku akademickim kurs literatury polskiej. W ten sposób polonistyka — jakkolwiek w bardzo skromnym i ograniczonym zakresie — znalazła się na jeszcze jednej wyższej uczelni. Dla ścisłości powtarzamy, że na wszystkich uczelniach kanadyjskich jest ograniczona, szczątkowa. Wzrosła natomiast liczba szkół podstawowych w których są lekcje języka polskiego. W Toronto jest takich szkół 20, w Ontario — 49, w Kanadzie ogółem 72. W sześciu szkołach średnich można pobierać język polski jako jeden z obowiązujących przedmiotów. ■ Polski Instytut Naukowy w Kanadzie i Biblioteka Polska wystosowały apel o pomoc dla Biblioteki. Zbiórka w poprzednim roku przyniosła \$ c. 20.000, a obecna ma na celu uzyskanie \$ c. 25.000. Biblioteka zamierza rozpocząć komputeryzację. Biblioteka Polska w Montrealu jest najbogatszą polską biblioteką w Kanadzie, liczy około 35.000 tomów, kilkaset czasopism itp. Służy ona pracownikom naukowym oraz prowadzi wypożyczalnię książek. ■ W przyszłym roku akademickim na wydziale slawistycznym Uniwersytetu w Toronto zostaną wprowadzone studia fińskie. Rozpocznie je pięcioletni lektorat języka fińskiego. Studia te będą korzystać z pomocy fińskiego Ministerstwa Oświaty w Helsinkach. W ten sposób na wydziale slawistycznym obok katedr studiów estońskich i węgierskich znajdą się fińskie. W zasadzie slawistyka nie rozbudowuje się, a tylko powstaje platforma studiów ugrofińskich. ■ Wybory do Parlamentu zostały wyznaczone na 21 listopada br. Rząd skorumpował dostatecznie tzw. widoczne mniejszości czyli kolorowych. Japończycy otrzymali 240 mln dolarów odszkodowania za krzywdy i straty lat wojny: wysiedlenie, konfiskata mienia itp. Każda z pozostałych przy życiu ówczesnych ofiar otrzyma około 21 tys. dolarów. Oburzeni Chinczyzy zażądali oficjalnego przeproszenia za dyskryminacje i 23 mln. dolarów — tj. zwrotu sumy, na którą złożyło się „pogłównie” w wysokości 300 dolarów, pobierane od każdego chińskiego imigranta od 1923 roku. Polacy są potulni, przedstawiciele nie mają, ani też rzeczników w żadnym z pionów publicznych. A przecież polscy imigranci znaleźli się w latach pierwszej wojny światowej w obozach, stracili pracę, musieli się regularnie meldować na posterunkach policji. ■ Z dniem 1 października br. redaktorem naczelnym *Związkowca* został Janusz Sukiennik, z wykształcenia prawnik, który współpracował z *Za i przeciw* i opuścił Polskę przed kilku laty.

B. H.

Humor krajowy

W PRL ogłoszono, że członkowie „Grunwaldu” mogą kupować w sklepach bez kolejki. Otóż pewien elegancko ubrany pan wszedł do sklepu, przed którym stała duża kolejka, i nie zważając na protesty, podszedł do lady. Sprzedawczyni poleciła mu stanąć w ogonku.

- Dlaczego, proszę pani? — ja jestem z Grunwaldu!
- Ach tak! — to proszę pokazać dokumenty.
- Ależ proszę pani, chyba pani wie, że w XV wieku nie wydawano jeszcze legitymacji partyjnych.
- Niech mi pan tu głowy nie zawraca — powiedziała sprzedawczyni — do mnie przychodzą Krzyżacy i mają świetne papiery!

- Jaki polski mebel ma w tej chwili największe powodzenie za granicą?
- Okrągły stół z dużym kantem...

- Czy wiesz jak się nazywa stowarzyszenie, które ma wprowadzać w kraju najnowszą reformę ekonomiczną?
- Wiem, Wiśła!
- Dlaczego Wiśła?
- Jak to, nie rozumiesz? — przecież idzie tu o poszerzenie koryta i pogłębienie dna...

- Jaruzelski poszedł na ryby i nagle złowił złotą rybkę...
- Wrzuc mnie do wody — powiedziała rybka — a spełnię każde twoje życzenie!
- Mam wszystko to, co mi jest potrzebne, odburknął Jaruzelski.
- Niemożliwe. Każdy ma jakieś ukryte marzenie. Powiedz, a będzie spełnione.
- Zrób mnie areksięciem, powiedział Jaruzelski i wrzucił rybkę do wody. Zmęczony, zaraz po przyjściu do domu położył się spać. Rano budzi się i nie poznaje swego mieszkania. Leży w jakimś wielkim wspaniałym łóżu pod baldachimem. Na ścianach wspaniałe obrazy, jedwabne i aksamitne kotary... Gdzie ja jestem?, sam siebie pyta i nagle słyszy pukanie do drzwi.
- Proszę wejść — powiedział.
- Wstawaj prędko arekksiężu — krzyknął ktoś zza drzwi — ubieraj się, jedziemy do Sarajewa...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Stockholm, 21 września 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł Macieja Poleskiego (*Kultura* nr 9/492, 1988) skłania do kilku uwag. Powszechnie wiadomo że większość istniejących czy dostępnych propozycji programowych kończy się dokładnie tam, gdzie powinna zacząć się niepodległość. Cezura ta, prędzej czy później, ale w realnym czasie będzie przekroczona i wówczas brak przemyślanego programu może okazać się decydujący dla kształtu przyszłej Rzeczypospolitej, a przynajmniej dla początkowego okresu niepodległości. Stąd nieobecność wysiłków dla sformułowania chociaż podstawowego zarysu ustroju, czy programu wolnej Polski, wywołuje uzasadniony niepokój.

Sprawa zbyt wątej współpracy między opozycją w Kraju a emigracją. Wstępnym warunkiem poprawy tego stanu wydaje się korekta dotychczasowego stylu myślenia, spotykanego w obu członach ruchu niepodległościowego. Z jednej strony bowiem nierzadko pokutuje pogląd, że emigracja — jak to zaleca znana frazka — ma „mleczec, płacić, pieścić”, zaś na obczyźnie zbyt często obciążamy się kompleksem, że nie nam radzić czy decydować, bo „kto inny nadstawia karku, a nie my, nurzający się w puchach i miodach uchodźstwa”.

Dopóki nie wydostaniemy się z obiegów tego myślowego stereotypu, tak długo próby współpracy będą pod ciężarem tradycyjnych pojęć, przywilejów i obowiązków, decydowania i serwitutów, głęboko sprzecznych z ideą partnerstwa i wspólnej odpowiedzialności za realizację głównego celu społeczeństwa i polskiej emigracji.

Co więcej, należy pamiętać że współpracę na zasadach partnerów między Krajem a diasporą, można poprawić lub chociaż osiągnąć, nie w wyniku odgórnego nakazu centrów kierowniczych, ale przede wszystkim czy wyłączenie poprzez bezpośrednie kontakty i współdziałanie naszych organizacji. Przez współpracę między organizacjami, na wzór struktur poziomych z legalnego okresu „Solidarności”.

Wymaga to rzetelnej i wytrwałej pracy, nie tylko na szczeblu samych organizacji czy ugrupowań, ale także między pojedynczymi działaczami krajowymi i emigracyjnymi. Bezpośrednie i robocze powiązania, znalezienie wspólnych celów oraz efektywna praca pomiędzy wskazanymi przez autora artykułu „Gdyby...” partnerami, mogą stać się sposobem na wyjście z opłotków i utorować korzystną dla sprawy drogę postępowania.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i serdeczne pozdrowienia

Zygmunt STANKIEWICZ

Szanowni Państwo!

Czytelnicy czasopism znają uprzykrzony gutunek listów do redakcji, których autorzy — miast obrócić uwagę na sedno jakiejś sprawy — starannie wyszukują trzeciorzędne usterki, byle popisać się swoją wiedzą i zwrócić na siebie uwagę. Co np. uderzyło p. Józefa Lewandowskiego w znakomitej i znakomicie przetłumaczonej książce Daniela Beauvois „Polacy na Ukrainie 1830-1863” (ob. jego list we wrześniowej *Kulturze*)? Jakies drobne literówki i — tu dosiada wysokiego konia — „charakteryzujący polskiego inteligenta i intelektualistę niski stan wiedzy o Rosji”. Na poparcie tej tezy p. Lewandowski przytacza kilka potknięć tłumaczy i od razu przy pierwszym daje dowód „charakteryzującego polskiego inteligenta niskiego stanu wiedzy o Rosji”. Otóż chłopci ciągli i nieciągli lub półciągli to nie „oczywisty absurd”, jak pisze, ani — jak tłumaczy — „chłopci użytkujący gospodarstwo w pełnym lub niepełnym wymiarze” (coż to w ogóle znaczy?), tylko chłopci posiadający bydło pociągowe (*ciąglyj skot*) lub chłopci odbywający swe powinności pieszo. Zwano ich właśnie z rosyjskiego ciąglymi i nieciąglymi. Istniała również nazwa „obroczeni”.

W inne uwagi p. Lewandowskiego nie wchodzi: raz ma rację, raz nie, mniejsza o to. Istotne jest, że takie *besserwisserstwo* jest najzupełniej jałowe dla czytelnika. W obliczu tak odkrywczą i pouczającą książki jak „Polacy na Ukrainie” naprawdę warto by podyskutować o czym innym aniżeli o tym, czy *dielo* należy raczej pisać *delo* czy *delo*. Ale w tym celu trzeba by myśleć o tym, co się czyta, a nie o tym, czym by się popisać!

Z poważaniem

St. TOPER

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1983.

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 9266.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Ceny na rok 1988		
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliessingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching, Tel.: (089) 611 36 57	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2888 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.480; półroczna — F.250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 440 — JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO NIZINNE

Autor czterech książek opublikowanych w „Kulturze” (pod nazwiskiem MAREK TARNIEWSKI) tym razem opisuje wydarzenia z powojennej historii Polski z perspektywy osobistej. Odpowiadając na pytanie, jak doszło do „sprawy taterników”, Jakub Karpiński opisuje szkołę w latach stalinowskich, październik 1956, Uniwersytet Warszawski, marzec 1968.

Str. 128.

Cena F. 55,00.



TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSŁANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.



TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyr; Przestroga; „Jubileuszowa”; „Kamieniolomy”; Sierota Euro-py; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.